

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 140.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

. 1875.

SERYA V.

Listopad.

TOM IV. — ZESZYT XI.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

Ukończono druk dnia 29 października 1875 r.

T R E Ś Ć.

stron.

I. HISTORIA. Społeczność Warszawy w początkach naszego stulecia (1800—1830). Przez K. Wł. Wójcickiego.	161
II. POWIEŚĆ. Z siedmioletniej wojny. Opowiadanie historyczne. Przez J. I. Kraszewskiego.	187
III. PODROŻE. O zasłudze naukowej ziomka naszego Kubarego. Przez A. W.	226
IV. LITERATURA. Obrazy ze współczesnej literatury niemieckiej. Przez Feliksa Jezierskiego	231
V. KRONIKA ZAGRANICZNA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.—Nowe dzieło Wiktora Hugo: Avant l'Exil.—Mowa akademicka: pochwała Lemerciera.—Listy Merimego do nowej nieznanomój.—Pani Delfina Girardin, jako publicystka i poetka, przez Imbert de Saint Amand.—Konferencya pana Leouzon le Duc, o kobietach skandynawskich i finlandzkich.—Sąd p. Cuviller Fleury, o korespondencyi Stanisława Augusta z panią Geoffrin.—Obyczaje Bearnów, przez p. Raimond.—Czarownice z Bearnu p. Lespy.—Uroczystości pamiątkowe na cześć Chateaubrianda, Argota, Michała Anioła i t. d.—Pomnik wzniesiony we Florencyi Michałowi Aniołowi.—Obrazek dramatyczny, odegrany w paryżkiem Wodewillu: Madame Lilli, przez p. Marc Monnier.	246
VI. NAUKI PRZYRODZONE. Z dziedziny przyrodoznawstwa. Przez T. Skomorowskiego.	276
VII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO. Kilka kwestyi, jako uzupełnienie zagadnień i kierunków, przez L. Szczerbowicza-Wieczora, Warszawa. Część I, 1874, część II, 1875 rok. Przez A.	286
Illustrowany Przewodnik po Krakowie i jego okolicach, z dodaniem wszelkich wiadomości i objaśnień potrzebnych dla podróżnych, oraz opisu wszystkich znaczniejszych zdrojowisk w Galicyi, ozdobiony 30 rycinami oraz planem miasta Krakowa. W Krakowie, nakładem księgarni i wydawnictwa „Czytelni ludowej“ A. Nowoleckiego, 1875 r. (w 16-cu str. XLVI, 174—88). Przez W. W.	291
Geografia Galicyi, podręcznik dla uczniów seminaryjów nauczycielskich i dla nauczycieli szkół ludowych i wydziałowych. Ułożył Lucyan Tatomir starszy nauczyciel Seminarjum męskiego we Lwowie. We Lwowie 1874 r., nakładem Karola Wilda, z godłem na czele: „Cu-	

(Dalszy ciąg na trzeciej stronie okładki).



STOW. I. 1.
SPOŁECZNOŚĆ

WARSZAWY

W POCZĄTKACH NASZEGO STÓLECIA.

(1800—1830).

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

III.

Jan Albertrandi pierwszy prezes Towarzystwa przyjaciół nauk. Wpływ jego na prace tegoż Towarzystwa.—Stanisław Staszic.—Zmiana kierunku.—Pogrzeb Staszica i grób na Bielanach.—Julian Ursyn Niemcewicz, towarzysz Tadeusza Kościuszki, wybrany prezesem Towarzystwa przyjaciół nauk.—Śpiewy historyczne. Polki ilustrujące to dzieło.—Trudności wydawnictwa.—Zawód literacki Niemcewicza.—Ustawa nowego Towarzystwa.—Lista jego członków.—Działalność.

W roku 1808 umarł w sędziwych latach, bo liczył 77 rok życia Albertrandi, pierwszy prezes Towarzystwa przyjaciół nauk. Urodzony 1731 r. w Warszawie, z rodziny włoskiej; miał już lat 33, gdy na tron wstąpił Stanisław August. Albertrandi był jezuitą: znakomity filolog, znał doskonale język hebrajski, grecki i łaciński, a z nowożytnych francuzki, włoski, niemiecki i angielski, przytóm był wielkim zwolennikiem i znawcą starożytności zgasłych narodów. Szczególna pamięć ułatwiała mu zdobywanie wiedzy. Będąc na dworze arcybiskupa Łubieńskiego, podsłuchawszy starego jezuitę, głośno dla wprawy w pokoju mówiącego swoje kazanie, które miał mieć nazajutrz w czasie summy, wszedłszy Albertrandi na ambonę, co do słowa je przedeklamował. Struchlał sędziwy teolog, słysząc własne kazanie tak dokładnie wypowiedziane, i biędak męczył się przez całą noc aby nowe napisać.

Prymas Łubieński powierzył mu wychowanie swego wnuka Feliksa, który później w dziejach Księstwa Warszawskiego, jako minister sprawiedliwości wysokie zajął stanowisko, i imię swe świetną aureolą sławy opromienił. Oprócz tego, prymas używał go często do prac gabinetowych, zasięgając nieraz jego zdania w sprawach publicznych. Po śmierci prymasa, Albertrandi udał się razem z uczniem swoim do konwiktów jezuitów, zostającego pod przewodnictwem uczonego Karola Wyrwicza. Tu dla młodego Łubieńskiego napisał



Historią rzymską i Dzieje Polski; następnie towarzyszył mu do akademii w Sienna we Włoszech i do Rzymu. Pobyt w tej stolicy chrześcijaństwa stanowi najważniejszy okres w życiu Albertrandego. Oddany z zapałem badaniom starożytności, zebrał dla ucznia swego dokładny zbiór medali greckich i rzymskich, uporządkował go i szczegółowo opisał. Wrócił do kraju 1773 r. Stanisław August zbiór ten medali od Łubieńskiego nabył; poznawszy zaś bliżej Albertrandego, mianował go swoim lektorem, oddał mu w zarząd własny księgozbiór i zbiór rycin, wiedząc z jaką starannością ogromną bibliotekę biskupa kijowskiego Józefa Załuskiego uporządkował. Kilka lat około pomienionych zbiorów królewskich pracował, zanim katalogi ich dokładne spisał; kiedy się zaś pokazały wielkie braki w nich do dziejów Polski, król opatrzywszy Albertrandego w potrzebne fundusze, wysłał do Włoch, aby dla dopełnienia zbiorów zabytkami ojczystemi, poszukiwania, w bibliotece Watykańskiej i innych zamożnych księgozbiorach, poczynił. Od roku 1782 trzy lata Albertrandi poświęcił mozolnej pracy, nietylko w wysłedzaniu ważnych dla historii polskiej materiałów, ale i w przepisywaniu takowych. Sto dziesięć *woluminów* własną ręką przepisał, pomnożył zbiory królewskie starożytności, bogatym plonem wykopalisk Herkulanum i Pompei, a wróciwszy z temi skarbami do Warszawy otrzymał medal z napisem: „*merentibus*” od króla, który go znowu w roku 1789 wysłał do Szwecji dla poszukiwań naukowych. Tam bowiem ze złupionej Polski przez Karola Gustawa za Jana Kazimierza, najważniejsze pomniki tak literatury jak i starożytności naszych przechowywano. Albertrandi nie ograniczył się na samym Sztokholmie, ale robił wycieczki po Szwecji, gdzie tylko powziął wiadomość, że zdobędzie jaki nowy przyczynek do dziejów Polski, i przez czas swego pobytu zebrał i przepisał kilkadziesiąt znowu woluminów. Król wyniósł Albertrandego, jako syna mieszczanina do stanu szlacheckiego, ozdobił orderem S-go Stanisława i przedstawił na biskupa, którą godność otrzymał właśnie w tej porze, kiedy już Stanisław August opuścił Warszawę na zawsze. Konsekrowany na biskupstwo Zenopolitańskie, gdy Prusacy zajęli nasze miasto ¹⁾.

Albertrandi siedm lat przewodnicząc Towarzystwu przyjaciół nauk, wpływem swoim przeważnym ulubione sobie nauki w niém rozkrzewiał i zaszczebiał. W tych pierwszych latach: „postępowało ono (pisze Fryderyk hr. Skarbek) nieśmiałym krokiem, wąpiąc poniekąd o siłach i samoistności swojej, i trzymając się dzieł starożyt-

¹⁾ Z tego ogromu rękopismów do dziejów Polski, wyszły po zgonie Albertrandego, wydane przez profesora Onacewicza: *Panowanie Henryka Waleczusza i Stefana Batorego*, dwa tomy. (Warszawa 1823 r.), *Panowanie Jana Kazimierza, Jana Alberta i Aleksandra Jagiellończyków*, (Warszawa 1827 r.; dwa tomy), *Dwadzieścia sześć lat panowania Władysława Jagielly*, Wrocław 1854 rok.

nych i cudzoziemskich, jako tych pasków, bez których pierwszych kroków czynić niepodobna. Ztąd erudycja, zagłębianie się w dziełach i pomnikach starożytności, za główne znamię uczoności brane, ztąd tłumaczenia dzieł cudzoziemskich, za główny środek wzniesienia literatury i wykształcenia języka narodowego poczytane; ztąd nieśmiałe obchodzenie się z pierwiastkiem narodowym z dziejów i obyczajów naszych wyczerpnąć się dającym."

To mówi jeden z najgorliwszych członków tego zgromadzenia, jego gorący wielbiciel, ale zarazem zacny miłośnik prawdy, a mąż przeważnych zasług dla kraju. Tak było rzeczywiście ¹⁾.

Po zgonie Albertrandego, jednomyślnie Towarzystwo Przyjaciół Nauk wybrało na swego prezesa Stanisława Staszica. Posągowa to postać tego okresu: znała go dobrze cała społeczność Warszawy. My studenci, chowaliśmy zawsze dla niego ulubione jego miejsce na *paradyzie* w Teatrze Narodowym, zkąd go i rzemieślnicy bliżej poznali.

Staszic wtedy aby go nie poznano, przywdziewał na głowę rudą perukę: oswoiliśmy się z nią dobrze.

W pobliżu niego, zasiadał często młody człowiek, równie wielki zwolennik sceny narodowej, i ze szczególną bacznością i zajęciem przysłuchiwał się granym sztukom. Zwrócił on Staszica uwagę; w poufnej rozmowie dowiaduje się, że jest uzdolniony ślusarz, który po kilkoletniej wędrowce zagranicą, pragnął zakład swego rzemiosła udoskonalać w Warszawie, ale brakło mu funduszu. Staszic wypytawszy się ze szczegółami o potrzebnej do tego summie, gdy następnie wywiedziały się o zdolnościach i dobrém sprawowaniu młodzieńca, bezimiennie przesłał mu złp. 10,000, za które Taszyński (tak się zwał ów młody człowiek) znakomity zakład ślusarski założył i rozwinął.

Za utworzeniem Księstwa Warszawskiego, Staszic powołany przez króla saskiego, zasiadł w Radzie Stanu, w urzędzie *referendarza*, i wtedy stanął zarazem na czele Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Wpływ jego zaczął przeważnie wybijać w tém gronie. Nowy przez zapatrywał się na nauki pod względem ich wpływu na stosunki społeczne i na praktyczną ich użyteczność w rozwoju sztuk i rzemiosł; mniej cenil erudycją, a wyżej stawiał pojmowanie potrzeb obc-

1) Dośó spojrzeń w poparciu słów Fr. Skarbka na prace samego Albertrandego od r. 1802 do 1808, któremi przepelniał Roczniki Towarzystwa; wyliczymy je tu szczegółowo: 1) O muzach, 2) Zabytki starożytności rzymskich w pieniądzech, pospolicie medalami zwanych, czasów Rzeczypospolitej i szesnastu pierwszych cesarzów, zbioru ś. p. Stanisława Augusta króla polskiego, postrzeżone i krótkim wykładem objaśnione. Rzecz ta zajmuje połowę tomu III i IV, i cały gruby tom piąty Roczników. Po śmierci Albertrandego w tomie VII znajdujemy jego rozprawę: „O słońcu jako bożku pogańskim, dla objaśnienia dwóch wklęsło-rytych starożytnych kamieni.”

nych kraju. Z pociechą własną zdając sprawę z prac Towarzystwa za lata 1817—1828, wymienia rozprawę Józefa Bema o robieniu rac kongrewskich, wychwalając prace w mechanice Abrahama Sterna żyda z Warszawy, jak „maszynę rachunkową“ i „wózek topograficzny.“ Pod jego przewodnictwem skierowały się usiłowania Towarzystwa, do badań przeszłości narodu i poznania własnej ziemi. Staszic w ostatnim roku istnienia Księstwa Warszawskiego 1814, składając sprawozdanie z czteroletniego działania tego zgromadzenia wyrzekł:

„Mamy początkowych wieków panujących domów kroniki, w nich zebrane wojny, szczególne wypadki, bez ciągłego między sobą związku, bez śledzenia i wykazywania głównej, ciągłej, w narodzie takowych wypadków przyczyny. Mamy później sławniejszych wodzów życia; mamy opisy obrad, zaburzeń i czynów pewnych stanów, pewnych przemożnych domów; ale nie mamy historii narodu. Tę rzeczywistość i w zupełności wygotować, przedsięwzięciem zgromadzenia się stało.”

W myśl tego założenia, członkowie Towarzystwa rozebrali pomiędzy siebie pojedyncze panowania i okresy dziejowe. Program całej historii wybornie zredagowany, wydrukował już poprzednio Ludwik Osiński w wydawanym przez siebie *Pamiętniku Warszawskim*. Zobaczmy następnie, jakie literatura nasza zebrała owoce z tych zacnych a gorliwych usiłowań Towarzystwa. Lat siedemnaście bez przerwy Staszic mu przewodniczył, otoczony czcią i poszanowaniem wszystkich. Wysokiego wzrostu, nosił zwykle długi surdut odpowiedni stanowi swemu duchownemu. Oblicze malowało duszę szlachetną tego męża. Twarz ściągła, nos długi, brwi gęste, czoło wyniosłe, zbrudowane, świadczyło że myśl ciągle pracowała.

W chwilach wolnych od zatrudnień urzędowych, w dnie pogodne na wiosnę i w lecie, do późnej jesieni, całe dnie w święta lub niedziele w samotnej ustroini lasku Bielańskiego przebywał, spoczywając Staszic pod ulubionym dębem, czytywał książki i kreślił w nich notatki ołówkiem. Panowała tu cisza majestatyczna, bo po wielkim gwarze *Zielonych Świątek*, kiedy cała niemal ludność Warszawy przepełniała i las i kościół na Bielanych, w inne dnie zwykle rzadki gość odwiedzał tę odległą okolicę od miasta. Miał Staszic widok piękny i otwarty na Wisłę i dalekie jej okolice; słuchał szumu tych starych sosen i starszych jeszcze dębów, do którego z rana i nad wieczorem łączył się głos dzwonu z klasztoru Kamedulów. Ukochał też tę ustron i polecił w testamencie, ażeby zwłoki jego pochowane przy tutejszym kościele zostają ¹⁾.

¹⁾ Stary, skromny koczyk i para starych koni, któremi powoził również stary furman Antoni, znane były powszechnie w całej Warszawie, jak przez Kamedulów na Bielanych. Zarzucony ogromem pracy, często przed obiadem nie mógł skończyć sessji wydziału przemysłu i sztuk w ministerium spraw wewnętrznych; dlatego odkładając na wieczór dalszy ciąg czynności, przyjeżdżał

Zakończył życie w dniu 20 stycznia 1826 roku. Dzień był pogodny, pamiętam dobrze, śnieg pokrywał ziemię i lekki mróz trzymał. Z gmachu Towarzystwa przyjaciół nauk na Krakowskiem-Przedmieściu, trumnę z dostojnymi zwłokami zgasłego męża, członkowie tegoż Towarzystwa wynieśli na swoich barkach, i zaraz przeszła na ramiona akademików Uniwersytetu Warszawskiego, którzy miłą całą ponieśli ją aż na Bielany do miejsca wiecznego spoczynku. Temu obchodowi żałobnemu towarzyszył tłum kilkudziesięcioletni tak mieszkańców Warszawy jak przybyłych z całego kraju obywatelstwa. Nad grobem przemówił Fryderyk hr. Skarbek członek Towarzystwa, w wymownym głosie oddając hołd pamięci znakomitego ziomka: temi słowy głos swój wymowny zamknął:

„Żądał umieszczenia zwłok swoich wśród tego świętego ustroja, w ziemi pod świeżą murawą, a nie pod głazem, którego by napisy, jego światowe znaczenie ogłaszały. Lecz ta skromna mogiła, którą dzisiaj uwielbionemu usypimy, nie wyjdzie z pamięci rodaków; gdy wiosna świeżemi okryje ją kwiaty, odwiedzić będziemy, i późne syny nasze przyjdą tu nieraz spocząć i powiedzą do dzieci swoich: „Tu spoczywa przyjaciel ludzi.“ My, cośmy nieśli drogie szczątki jego, miejmy dożgonnie dzień ten w naszej pamięci! Jeżeli by nas kiedy podszczenie lub namiętność do czynu niegodnego prawych obywateli podniecać miała, niechaj nam wtedy głos sumienia powtórzy: „Tyś dźwigał zwłoki Staszica!“ i niechaj ten odgłos wewnętrzznego uczucia, chroni nas od tego, aby kiedy o nas niepowiedziano, żeśmy ostatniego obywatela do grobu ponieśli.“

Sprawdziły się słowa Skarbka, ale nie na długo: kwiaty świeże mogiłę Staszica wieńczyły cztery następne lata; po nich nie było już nikogo do téj posługi, tylko szum tych samych sosen i dębów, które go widziały za życia, grał cichą pieśń starą nad tą samotną mogiłą wielkiego męża, i tenże sam dzwon wysyłał do niej dźwięczne swe

zmirzchem dla jęj wykonania. Zwykle kazał furmanowi do domu wracać, ale stary Antoni nie słuchał wcale pana i czekał przed pałacem Mostowskich. Zdarzyło się że sesya przeciągnęła się do dziesiątej w nocy. Antoni nie mogąc się doczekać pana, zszedł z kozła i poszedł do szynku pobliskiego na szklankę piwa. Wraca wkrótce, ale jakież jego podziwienie, gdy nie znajduje ani koni, ani koczka; przestraszony dopytuje woźnego: ten go objaśnia że pan minister przed kwadransem odjechał. Stary co temu biegnie do domu i znajduje stojące konie spokojnie przed stajnią. Wyprzągł je, a ustawwszy przy żłobie i zatoczywszy koczka w swoje miejsce, idzie do Staszica z zapytaniem: „A kto pana do domu przywiózł?“ „Któż inny jeżeli nie ty,“—odpowiada mu pan, równie zdziwiony jak furman. Wtedy wyjaśniło się, że konie przyuczone do jednej i téj samej drogi i odgłosu zatraskiwanych drzwiczek od koczka, bez przypadku Staszica do domu odwiozły, który nawet nie spostrzegł braku starego Antoniego na kozle!

echo na powitanie każdego dnia w poraniu i wieczorem na dobranoc! ¹⁾.

Trzecim i ostatnim prezesem Towarzystwa Przyjaciół Nauk był Julian Ursyn Niemcewicz, urodzony tak jak i jego poprzednicy w okresie panowania Augusta III, na dawnym Podlasiu, we wsi *Stokach*, o milę od Brześcia Litewskiego, z ojca Marcellego podczaszego Mielnickiego i Jadwigi z Suchodolskich. Młodszym był tylko o dwa lata od Staszica. Urodziwa była to postać, a oblicze jego piękne, więcej dla kobiety odpowiednie, tak białościę płci, żywością rumieńców, jak delikatnością rysów. Mamy z doby lat jego młodych, portret wielce podobny w *Wyborze pisarzy polskich Mostowskiego*, i równie podobny w sędziwych jego latach, przy powieści, *Jan z Tęczyna*.

Przez stosunki przyjacielskie jakie łączyły rodzinę Niemcewiczów z Czartoryskimi, młody Julian w roku 1776 oddany został do korpusu *Kadetów*, w którym ukończywszy nauki, pozyskał stopień adjutanta księcia *generala ziem polskich*. W jego towarzystwie, gdy objeżdżał dobra swoje na Podolu i Ukrainie poznał znaczną część ziem dawniej Rzeczypospolitej, a następnie ze Stanisławem Sołtykiem, który podał pierwszą myśl utworzenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zwiedził Niemcy, Włochy, Sycylią, Malte, Francją, i Anglią. Za powrotem do kraju w godności pośta inflanckiego na sejmie 1789 roku dał się poznać jako gorliwy obywatel i dobry mówca. Po upadku *ustawy*, Niemcewicz udał się zagranicę; kiedy jednakże podniósł sztandar Kościuszko, przy nim zaraz objął obowiązki adjutanta. W bitwie pod *Maciejowicami* 1794 roku, ranny dostał się do niewoli, i zawieziony do Petersburga, gdzie po dwóch latach uwolniony, wraz ze swym wodzem przybył do Szwecyi, ztąd do Anglii, a wkrótce do Ameryki popłynął.

Zimę całą w roku 1797 na 1798 razem przepędzili w Filadelfii, gdy przyszła wiadomość o śmierci króla Stanisława Augusta. Na

¹⁾ Wszystkie swoje prace piśmienne tak oryginalne jak tłumaczone wydał Staszio swoim nakładem w dziewięciu wielkich tomach. Pierwsze sześć tomów ogłosił w r. 1816, w których oprócz przekładów: *Iliady* Homera wierszem nierymowym; poematu *Rassyna*, *religia* prozą, pochwałę Marka Aureliusza z francuzkiego Thomas'a, *Numę Pompiliusza z Floryana*, i *Epok natury* Buffona, oryginalne utwory głównie przeważają. Do tych należy dzieło: „O ziemiorodztwie Karpat i innych gór i równin Polski.“ „Przestrogi dla Polski.“ „O statystyce Polski 1807 r.“ „Myśli o równowadze politycznej w Europie.“ *Mowy i zagajenia w Ionie* Towarzystwa, jak i publicznie miune. „*Obrona funduszów pojezuickich*“ wreszoie „*Kontrakt Towarzystwa Rolniczego Hrubieszowskiego* w zamiarze udoskonalenia rolnictwa i przemysłu, oraz wspólnego ratowania się w nieszczęściu.“ We cztery lata po wydaniu tych sześciu tomów, wydrukował w większym formacie 1820 r. jako tomy VII, VIII i IX, poemat ogromnych rozmiarów, obejmujący te trzy części wierszem białym p. n.: *Ród ludzki z dziesięcią stalorytami*. Publikacya ta dziś należy do rzadkości bibliograficznych.

wiosnę Kościuszko wyjechał do Francji, a Niemcewicz sam pozostawszy, pożyczony od Jeffersona wice-prezydenta Stanów-Zjednoczonych sto talarów, odbył za nie podróż po Ameryce, spisał jęj *Dziennik*, z którego mamy tylko mały ustęp p. n. „*Wiadomości o Waszyngtonie*.” (W *Wyborze pisarzy polskich* Mostowskiego).

Wtedy to poznał wdowę po przyjacielu Kościuszki, Lingvingston Kean i tę poślubił zrzekając się wszelkiego jęj majątku. Mając pierwsze potrzeby życia zapewnione, żył szczęśliwie na małym folwarczku, oddając się pracy gospodarskiej. Tak przeszły mu dwa lata pierwsze pożycia, i jak sam pisze:

„Spokojny i bezpieczny, pod skromną swą strzechą,
Praca była ucieczką, sumienie pociechą;
Zorza mnie zastawała nad mym polnym zbiorem,
A domowe ognisko czekało wieczorem.“

W roku 1802 otrzymał Niemcewicz smutną wiadomość, że ojciec mu umarł i wezwanie, ażeby dla interesów familijnych przybywał co rychléj. W lipcu opuścił Amerykę i powrócił do kraju, odwiedził *Puławy* i w *Końsko-Woli* witając dawnych przyjaciół, znalazł proboszczem Franciszka Zabłockiego, który po śmierci ukochanęj żony, przywdział suknię zakonną, a *Kniażnina* w obłąkaniu umysłu. Bawiac zimę w Warszawie, był przy zawiązku Towarzystwa Przyjaciół Nauk i został jednym z pierwszych jego członków. W roku 1803 odebrawszy spadek, wyjechał do Francji i w Paryżu trafił właśnie na zmianę rzezypospolitéj na cesarstwo. Porzucił tę stolicę świata, i na amerykańskim okręcie, przybył szczęśliwie do *Norfolk* w Wirginii, żkąd powrócił do żony i ulubionego domku, gdzie lat trzy w spokojnej zaciszy przebył.

Kiedy niespodzianie Napoleon I ogłosił Księstwo Warszawskie w 1806 roku, Niemcewicz otrzymawszy list od Stanisława Małachowskiego marszałka czteroletniego sejmu, który wzywał go jako dawnego posła inflanckiego, do stawienia się w kraju, pospieszył do Polski, gdzie mianowany został sekretarzem senatu i członkiem komissyi edukacyjnęj. Po utworzeniu Królestwa Polskiego na kongresie Wiedeńskim 1815 roku, Niemcewicz pozostał na urzędzie sekretarza senatu.

Oddany pracom literackim nabył pod Warszawą w pobliżu Willanowa mały folwarczek, który nazwał *Ursynowem*, i zamyślał resztę w nim dni sędziwych przepędzić. Tu go odwiedzał Juliusz Słowacki, i żywe wyniósł wspomnienia. Inaczęj jednak losy zrzędziły. We wrześniu 1831 roku opuściwszy Warszawę, dnia 21 maja 1841 roku, mając lat 83 wieku, zakończył życie, w obecności przyjaciela lat młodych generała Kniaziewicza, który stojąc nad jego grobem pragnał być razem z Niemcewiczem pochowany. Stało się wkrótce zadosyć życzeniu i woli znakomitego wojownika, bo gdy nie-

dlugo sam zmarł, zwłoki jego na cmentarzu w *Montmorency* obok zgasłego autora *Spiewów historycznych* spoczęły. W kościółku parafialnym w *Montmorency*, mają obaj pomniki obok siebie, dłuta znakomitego rzeźbiarza Władysława Oleszczyńskiego, w którym rok rocznie msza się za dusze zmarłych tych dwóch mężów, w dniu śmierci Niemcewicza odbywa.

Niemcewicz lubo jest jednem z tych ogniw, które łączyły wiek XVIII z naszym stuleciem, na polu literackim sam szedł z postępem czasu i rozwijających się nowych idei. On pierwszy przed Mickiewiczem dał nam poznać *Ballady* angielskie w swoim przekładzie, a co ważniejsza wskrzesił nam pamięć starożytnych pieśni dziejowych, przez swoje *Spiewy historyczne*.

Pierwsze ich ukazało się wydanie ozdobne z nutami i stałorytami w roku 1816, odbite w drukarni T. Mostowskiego, która pierwszeństwo pomiędzy zakładami typograficznymi w Warszawie utrzymała.

Na czele co do ilustracji ośmiu śpiewów, pełnych życia dramatycznego postawić musimy księżnę E. Sułkowską, dalej Laurę Potocką i C. Dembowską. Melodye dostarczyły: Cecylja Beydale, hrabina Chodkiewiczowa, F. Kochanowska, panna Konstancja Narbuttówna, panna Salomea Paris, Laura Potocka, pani Szymanowska słynna fortepianistka, a matka żony Mickiewicza; księżna Marya z Czartoryskich Württembergska, autorka pierwszej powieści polskiej: *Malwina czyli domysłność serca*, i *Zofia z Czartoryskich Ordynatowa Zamowska* ¹⁾.

Tak pożądane dzieło, wprędce rozchwytnane zostało, i autor musiał je w następnych wydaniach kilkakrotnie powtarzać. Niemcewicz w przemowie do pierwszej edycji tłumaczy się z powodu ogłoszenia tych śpiewów z objaśnieniami historycznymi.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk ogłosiło prospekt do pisania historii narodowej, i praca ta rozebrana została pomiędzy wielu pisarzy; ale będzie musiała zająć przeciąg czasu niemały. Poważny wszakże wykład dziejów, nie tak łatwo przystaje do młodej pamięci jak w krótkiej a udatnej pieśni. Z całą skromnością mówiąc o swoich *Spiewach*, żywi błogą nadzieję, że one znajdą gościnne przyjęcie u ognisk domowych, a tym sposobem główny cel jaki sobie założył spełnionym zostanie.

Pierwszą myśl do nich powziął Niemcewicz w dniach swjej młodości, jak to widzimy ze zbioru jego pism w wydaniu Mostowskiego, (dwie dumy o Żołkiewskim i Stefanie Potockim); ale żeby całość z tego utożyć, postanowił dopiero za powrotem z Ameryki w 1809 roku,

¹⁾ Melodye dostarczyli do tegoż dzieła Karol Kurpiński, hrabia Rzewuski i żyjący senator Franciszek Skibicki.

na wyraźne żądanie Towarzystwa Przyjaciół Nauk. „Trzeba było (mówi sam Niemcewicz) tak silnych pobudek, jakimi zachęcony byłem przez Towarzystwo królewskie, by w wieku moim podjąć się opiewać te czyny waleczne, tę świetną odwagę, które jak są krzepkiej i żywej młodości udziałem, tak przez nią najlepiejby opiewanemi były.“ (Liczył w 1816 roku lat 59 wieku). Siedem lat potrzebował do wykończenia ostatecznego wydania ozdobnego.

„W kraju jak nasz (pisze autor) pozbawionym artystów, osobliwie sztycharzów, pozbawionym papieru i w. i. potrzeb, gdzie wszystko z zagranicy sprowadzać, wszystkie ryciny zagranicą wykonywać przychodziło, wydawca nieskończonych trudności, zwłok i nakładów doznawać musiał. Publiczność zastanowiwszy się nad tylu przeciwnościami, opóźnienie w wydaniu dzieła tego zechce darować.“ Niemcewicz korzyść całą po potrąceniu kosztów wydawnictwa, poświęcił na rzecz Towarzystwa Przyjaciół Nauk: „żadnym funduszem, żadnym niewspartego zasileniem,“ jako sam wyraża.

W długim przeciągu zawodu literackiego, bo przeszło lat sześćdziesięciu, i ciągłej działalności na tém polu Niemcewicza, trzy głównie kierunki uwydatnione widzimy: liryka, sztuka dramatyczna, i rozpowszechnienie wiedzy historycznej o przeszłości dawniej narodu.

Zwolennik sceny pojmował doskonale wysokie znaczenie teatru, z tego powodu oddawał się z upodobaniem literaturze dramatycznej. Do najpierwszych utworów jego należy komedia *Powrót posła*, którą w młodym wieku napisał będąc posłem inflanckim na wielkim sejmie. Jestto arcydzieło Niemcewicza, wyborne, wierne zwierciadło typów zagasyłych z przeszłości, które w niém przechowane zostały. Do wszystkich utworów dramatycznych brał wątek i osnowę z dziejów krajowych; w tragedji *Zbigniew* wprowadził szczęśliwie chóry, i pierwszy raz na scenie zabrzmiała starożytna pieśń *Boga Rodzica*. Pomysł tego dramatu i plan cały gdyby był odpowiednio wykonany, postawiłby ten utwór na czele wszystkich tragedji polskich.

Badał Niemcewicz starannie ducha swój społeczności i jej potrzeby duchowe w danej chwili. Tak w 1812 roku wydał *Listy litewskie*, w 1816 *Spiewy historyczne*, w 1821 *Zbiór pamiętników o dawnej Polsce*, i równocześnie gdy liczne głosy podniosły się dowodzące naglącej potrzeby reformy żydów, rozgłosił romans *Lejbe i Siora*, w którym w najdrobniejszych szczegółach wykazał ich potworne przesady i zabobony. Gdy Walter-Skott dał przykład i popęd do powieści historycznych, w których kreśleniu ten wielki mistrz tak był nieporównanym, Niemcewicz napisał *Jana z Tenczyna*, jedną z najlepszych powieści historycznych z okresu do 1830 r.

Rzadko któremu z pisarzy naszych dozwoliła Opatrzność być świadkiem tylu zmian własnego kraju i brać w nich udział przeważny, jak Niemcewiczowi. Woronicz śpiewak *Sybilla*, on natchniony poeta

urodzony z nim w jednym roku, w stanie dachowym, nie miał pola tak otwartego jak autor *Śpiewów historycznych*. Ten wychowany w ciepłej jeszcze atmosferze tradycji czasów saskich, współczesny Krasickiego, Naruszewicza, Trembeckiego, Książnina, Zabłockiego i wielu innych, przeżył całe panowanie Ssańsława-Augusta, rozbiuru kraju, przebył okres Księztwa Warszawskiego i Królestwa, doczekał się w końcu epoki odrodzenia literackiego, epoki Brodzińskiego i Mickiewicza, będąc świadkiem gorącej walki klasyków z romantykami i zwycięstwa tych ostatnich.

Kiedy stale osiadł w Warszawie, biorąc udział w pracach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, przyjął na siebie obowiązek napisania dziejów panowania Zygmunta III i potem rozpoczynając studia i poszukiwania w zamożnej bibliotece Willanowskiej hr. Potockich, nie spuszczał z oka działań samego Towarzystwa. Pragnąc zaś nadać mu więcej życia i pożytku dla duchowych potrzeb społeczności, w roku 1815, a zatem na jedenaście lat przed zgonem Staszica i zanim sam objął godność prezesa zgromadzenia, z łona jego członków utworzył nowe Towarzystwo, któremu przepisał oddzielną ustawę.

Powodem do tego kroku Niemcewicz, była gorąca chęć obudzenia większego życia w głównych gałęziach literatury krajowej, za jakie uważał: ojcyste dzieje, literaturę piękną, sztukę dramatyczną i krytykę. Nie chcąc zaś osłabiać wpływu samego Towarzystwa Przyjaciół Nauk i jego powagi przez rozdział, a za tem idącą niezgodę, ale je podnieść, zebrał grono członków w bliższych z nim stosunkach zostających i silniejszymi spoił je ogniwami. Wpływ bowiem przeważny Albertrandego dobrze pamiętał, który paraliżował i stawiał zawady należytemu rozwojowi uczonego grona.

Podajemy wspomnianą ustawę w całości, jako dokument nikomu nieznany, dosłownie z autografu, który mamy przed oczyma.

„Kilku przyjaciół ojczystego języka postanowiło połączyć wspólną usilność i pracę, w celu rozkrzewienia i z bogacenia literatury krajowej. Osoby do tego związku wchodzące, zamierzają sobie:

1. Czytać w gronie dobranem własne stowarzyszonych lub innych rodzajów dzieła, w różnych literatury gałęziach wierszem lub prozą, oryginalne lub z obcych języków tłumaczone albo naśladowane, a to w celu zasiągnięcia o nich bezstronnego zdania.

2. Starać się o pomnożenie liczby sztuk dramatycznych w języku polskim, i pisania ich podług planu poprzedniczo w Towarzystwie rozbieganego i przyjętego, bez krępowania w tój mierze woli autora.

3. Czynić rozbiory dzieł tak krajowych jak obcych, poddawać je pod sąd Towarzystwa, końcem umieszczania ich w dziennikach polskich.

4. Dawać zdanie bezstronne o sztukach na Teatrze narodowym przedstawianych, tak co do ich treści jako i co do gry aktorów, a to

w celu, jeżeli zajdzie zezwolenie Towarzystwa, umieszczania ich w gazetach krajowych.

5. Cwiczyć się w czystym wysłowniu polszczyzny, unikając używania innego języka na posiedzeniach. Dla porządnego odbywania prac swoich, postanawiają stowarzyszeni następujących trzymać się prawideł:

6. Jeden z grona przyjaciół wybrany, kierować będzie pracami, wyznaczać dni posiedzeń i pilnować utrzymywania protokołu przez członka na to wybranego.

7. Liczba stowarzyszonych tymczasowo do dwudziestu się ogranicza. Każdemu stowarzyszonemu wolno jest podawać przez kierującego osobę na członka. Kierujący nie wydając podawającego, proponuje ją kolegom, a Towarzystwo stanowi o przyjęciu lub nie, większością dwóch trzecich części zdań wszystkich członków Towarzystwa przytomnych w Warszawie, lub nie przytomnych, lecz w kraju znajdujących się.

8. Stowarzyszony oddalający się od miejsca posiedzeń, wezwany będzie przez kierującego do jakiegokolwiek pracy, stosownej do celu Towarzystwa i sposobności stowarzyszonego.

9. Stowarzyszony, który przez ciąg roku nie przyniesie na posiedzenie dzieła jakiegokolwiek, do celu Towarzystwa stosownego, albo nie doniesie kierującemu o rzeczywistym zaprzątzeniu się pracą jaką literacką, przestanie być członkiem Towarzystwa, lecz na nowo obranym być może.

10. Każdy stowarzyszony obowiązuje się honorem i uczciwością, nie wyjawiać czynności Towarzystwa jak za zgodą onego.

11. Towarzystwo nigdy inaczéj stanowić nie będzie sądu o dziełach, rozbiórach i zdaniach na posiedzeniu czytanych, równie jako i o wyborze członków kierującego i trzymającego pióro, jak tajemni kreskami.

12. Kierujący ma prawo za zgodą Towarzystwa zaprosić osoby dostojne na szczególne posiedzenia, na których jednak w przytomności osób do Towarzystwa nienależących, nic stanowioném nie będzie.

13. Odmiana, poprawa lub rozwinięcie niniejszej ustawy nastąpić nie może jak na propozycję kierującego. Towarzystwo stanowi o tém, większością dwóch trzecich części członków swoich w kraju przytomnych.

14. Urzędowanie kierującego i trzymającego pióro trwać będzie miesięcy trzy.

15. Celu zamierzonego życzą sobie stowarzyszeni osiągnąć w skromnym utajeniu, nie przybierając nazwiska uczonego Towarzystwa, ani nadając tytułu jakiegobądź związkowi swojemu. Gorliwe oczystej literatury zamiłowanie, przyjaźń, wzajemna ufność, czyn-

ne przykładanie swojej, a bezstronne sądzenie cudzej pracy, będą ich podniętą, wsparciem i jedynym działaniem sposobem.

w Warszawie, dnia 4 maja, 1815 roku.

Niemcewicz J. Lipiński J. F. Tarnowski J. M. Fredro F. Morawski, Stanisław Plater, Feliks Czacki, Adam Matuszewicz, Ludwik Plater, Tadeusz Matuszewicz, Józef Kossakowski, Ludwik Kropiński, A. Czartoryski, Kajetan Koźmian, Konstanty Plater, Biernacki, Linowski, Alojzy Feliński, T. Mostowski, M. Wyszkowski, Józef Sierakowski, Józef Załuski.

Z tych podpisów widzimy, że Niemcewicz znalazł dorazu 22-ch ochotników do zamierzonego stowarzyszenia literackiego, a wszystko przyjaciół i życzliwych sobie. Nie mamy księgi protokołów tego Towarzystwa, wnioskować tylko możemy, że od tego roku pojawiające się czasowo artykuły treści literackiej tak w gazetach jak następnie w *Pamiętniku Warszawskim*, oraz krytyki teatralne pod imieniem *X-ów* (Iksów) z tego grona wychodziły.

W całej działalności literackiej J. U. Niemcewicza widzimy talent niepospolity, w pomysłach nieraz genialność, lubo co do wykonania zabrakło odpowiedniej siły i umiętności we władaniu formą i stylem poetycznym. Język nie wszędzie poprawny, lubo wiersz płynny, co przypisać należy długiemu pobytowi zagranicą i brakowi studyów pisarzy XVI stulecia.

Krytyka poważna może wiele zarzucać „Dziejom panowania Zygmunta III” i wykazać ich usterki, ale obok tak ujemnej strony, musi zarazem wyznaczyć, że z równą sztuką pisarską, z tyłą obrazami malowniczymi i pełnemi wymowy ustępami, literatura polska nie postawi obok tej pracy żadnego dzieła historycznego, z równemi zaletami aż do czasów Karola Szajnochy.

IV.

Towarzystwo Naukowe w Płocku.—Biskup Prażmowski.—Ustawy tego Towarzystwa.—Ks. Wojciech Szweykowski. List jego.—Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Lublinie. Jego ustawy.—Roczniki królewskiego Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk. Ważniejsze w nich rozprawy. Jan Woronicz. „Hymn do Boga.” „Sybilla.”

W pięć lat po utworzeniu w łonie Towarzystwa Przyjaciół Nauk nowego stowarzyszenia przez Niemcewicza, w roku 1820 utworzyło się Towarzystwo Naukowe przy szkole wojewódzkiej płockiej.

Pierwsza myśl tego wyszła z Towarzystwa Przyjaciół Nauk i jeden z jego członków, biskup płocki Prażmowski stanął jako prezes na czele. Towarzystwo to licząc na pomoc Warszawskiego, przepisało sobie ustawy, które na zebraniu swoim w dniu 3 czerwca 1820

roku przyjęto ¹⁾. Szesnastu członków takową podpisało: pierwszy biskup Prażmowski, ostatni jako sekretarz Kajetan Morykoni.

Energicznie zabrano się do wprowadzenia w życie powziętej myśli, Prażmowski rozwija tu wielką działalność. Zaproszono na

1) Podajemy takowe z autografu dosłownie:

„*Ustawy Towarzystwa Naukowego przy Szkole wojewódzkiej w Płocku.* Aby upowszechnić i wznosić ile możność dozwoli oświeceniu w kraju, zbiera się Towarzystwo Naukowe przy Szkole wojewódzkiej w Płocku, które w miarę szczęśliwego wzrostu zakreślać sobie może obszerniejsze postępowania zawody, w początku jednak, dla zbliżenia skutku przedsięwzięcia, następującymi działaniami swoje ogranicza przepisy:

§ I. *Zamiar Towarzystwa.*

1. Towarzystwo za główny cel staranności postanawia zebrać i opisać *dokładny obraz województwa Płockiego*. Wzywając przeto pomocy wszystkich obywateli, zamyśla:

- a) Zgromadzać wiadomości wyjaśniające pomniki dziejów narodowych, jakie w województwie znaleźć można.
- b) Opisywać rzeczy godniejsze uwagi, mogące służyć do publicznego użytku, albo do pomnożenia dotychczasowej z nich korzyści.
- c) Wystawiać we wszystkich względach potrzeby województwa dla polepszenia bytu mieszkańców.

2. Ułatwiając współobywatelom sposoby nabycia i rozszerzenia pożytecznych wiadomości, Towarzystwo starać się będzie:

- a) Zaprowadzić bibliotekę publiczną i księgarnię w Płocku.
- b) Podnosić niewiele dotąd znaczącą drukarnię Płocką.
- c) Zbierać naukowe zakłady, szczególnież co do pomników historycznych, albo płodów przyrodzenia.

3. Aby udzielać owoców usiłowań Towarzystwa Płockiego, a co będzie można przybliżyć się do zamierzonego celu, Towarzystwo wedle uznanej potrzeby, wchodzić może w związki z innymi utworzonymi już w kraju naszym Towarzystwami naukowymi.

§ II. *Skład Towarzystwa.*

4. Towarzystwo składa się z *członków czynnych i korespondentów*, dla protekcji zaś w działaniach swoich uprasza sobie *opiekunów*.

5. Na *członków czynnych*, wzywa Towarzystwo osoby, które przez dzieła swoje wsparły już, albo wesprzeć mogą zamiary Towarzystwa, tych szczególnież, którzy mieszkają w województwie Płockim, albo z urzędu swojego do Płocka należą.

6. Korespondentami będą obywatele województwa Płockiego, którzy działania Towarzystwa, wiadomościami swojemi wspierać zechcą.

7. Na opiekunów zapraszani będą mężowie, wznoszący w kraju naszym nauki.

członków tego Towarzystwa znane znakomitości. Czcigodny rektor uniwersytetu warszawskiego ksiądz Szweykowski, po otrzymanej odezwie, w tych słowach odpowiada:

„Wezwanie szanownego Towarzystwa pod dniem 3 czerwca r. b. odebrałem z uczuciem, jakie nielada zdarzenie zrodzić może w sercu

8. Każdy uczący w Szkole wojewódzkiej Płockiej, jak tylko żądanie swoje oświadczy, zostaje członkiem czynnym Towarzystwa.

9. Uczeń Szkoły wojewódzkiej kończący z chwałą klasy, może być obdarzony w Towarzystwie tytułem korespondenta, jeżeli zamiarom Towarzystwa dopomagać zechce, a zostanie członkiem czynnym jak tylko w pismach swoich złożonych Towarzystwu godnym się okaże.

§ III. *Obowiązki członków Towarzystwa.*

10. Obywatele województwa Płockiego, którym okoliczności dozwolą, jeżeli dopomagać zechcą zamiarom Towarzystwa, zbierając w okolicy swojej potrzebne do prac przedsięwziętych wiadomości i materiały, a przesyłając je Towarzystwu czy tylko do opisania, czy też sami robić będą dokładne postrzeganych rzeczy opisy, raczą przyjąć tytuł członków korespondentów Towarzystwa.

11. Członki czynne Towarzystwa, składający w niem radę, tak pracę podzielać będą, ażeby każdy ile możności raz przynajmniej co trzy lata, z jaką stosowną do zamiarów Towarzystwa robotą, czynność jego ubezpieczył.

12. Czynne Towarzystwa członki na pierwsze jego potrzeby składać będą po złp. 12 co pół roku. Mniej zamożnych a pożytecznych członków, rada Towarzystwa od téj daniny uwalniać może: wszystkie znowu większe ofiary, na fundusz przyjmuje.

13. Kto z członków czynnych lub korespondentów przez lat 6 ciągle nie uczyni żadnego zgłoszenia do Towarzystwa, a o śmierci jego nie będzie wiadomości, taki przestaje być umieszczony w liczbie składających Towarzystwo, dopóki jakiej nie zrobi odezwy.

§ IV. *Prace i posiedzenia Towarzystwa.*

14. Towarzystwo dwa do roku a przynajmniej jedno publiczne posiedzenie odbywać będzie, to jest w dzień świętego Józefa łącznie z uroczystością *Miłosierdzia Szkolnego* (?), a drugie w ciągu roku, kiedy najdogodniej wypadnie.

15. W każdym publicznem posiedzeniu, oprócz przypominania zawsze celu Towarzystwa, podany będzie raport jego czynności, a nadto czytowane będą prace członków Towarzystwa, albo po zgonie którego opisy, oo w Towarzystwie zrobił.

16. Każdą pracę która ma być z Towarzystwa publiczności udzielona, autor powinien oddać do przejrzania radzie, a ta postanowi, czyli dzieło w jego imieniu ogłoszone zostanie. Przez ten jednakże warunek nie tamuje się wolności piszących, ogłaszania robót własnych lub wynalazków, ale już nie w imieniu Towarzystwa.

ludzkiem. Jeżeli bowiem sama wiadomość o powstających instytucjach, szerzenie światła za cel mających, niemoże być dla miłośników nauk obojętną; tedy wezwanie tak dla mnie chlubne od Towarzystwa związanego przy tej szkole, i po części przez tych członków z którymi razem na jednej niwie zbierałem pośrednie zasługi zawodu me-

17. Jeżeli fundusze dozwolą, rzeczy ważniejsze z pism oddawanych Towarzystwu, jako też każdoroczny obraz czynności Towarzystwa drukowane być mogą.

18. Rada Towarzystwa do której wszyscy członkowie czynni należą, zbiera się w każdą ostatnią niedzielę miesiąca, albo w poprzedzającą ten dzień sobotę; nadzwyczajnie zaś, kiedy tego wypadnie potrzeba. Komplet rady stanowi siedm osób.

19. Na posiedzenia rady, rozdają się wyznaczonym członkom podane do roztrząśnienia prace, a po wysłuchaniu o nich raportu, lub po odczytaniu całego dzieła, decyzya następuje.

20. Posiedzenie rady ustanawia porządek sesyj publicznych, wykazuje rzeczy potrzebujące szczególniej zwrócenia uwagi pracujących członków, stanowi we wszystkich materyach ekonomicznych.

21. Gdyby kto z członków Towarzystwa przyjmujący do obróbenia jakie dzieło, wyznaczonych przez siebie terminów uchybił dwa razy, robotę swoją nadal innemu odstąpić musi, wyjąwszy konieczne odwłoki przyczyn.

§ V. Rząd Towarzystwa.

22. Towarzystwo większością zdań wszystkich członków, wybiera Prezesa, wzywa członków czynnych, zaprasza na opiekunów. Do tego niekoniecznie potrzeba osobistój przytomności, ale przez korespondencyą zdania zbierane być mają.

23. Prezes Towarzystwa raz wybrany, piastuje ten urząd dopóki go nie złoży.

24. Prezes oddalający się z miasta Płocka, wyznacza do zastępowania siebie w radzie Towarzystwa, jednego z czynnych członków; gdyby zaś nie mógł przewodniczyć publicznemu zgromadzeniu, rada jakiego z czynnych członków lub opiekunów Towarzystwa wcześniej uprosić powinna do zastąpienia w publiczności obowiązków prezydującego.

25. Protokół każdej czynności rady zapisywany będzie przez jednego z członków, który dokładne pełnienie wszystkich obowiązków sekretarza przyjmie na siebie, przez rok przynajmniej cały, a to dlatego, aby mógł mieć ciągłą spraw Towarzystwa znajomość.

§ VI. Biblioteka i księgarnia.

26. Na zakład biblioteki, Towarzystwo wszystkie przyjmuje ofiary od członków swoich i od każdego ze sprzyjających naukom.

27. Starać się wypadnie ażeby biblioteki instytutów publicznych w Płocku zebrane zostały do jednej biblioteki publicznej wojewódzkiej.

go nauczycielskiego, nie mogło nie wzbudzić we mnie uczuć nadzwyczajnych.

„Jakkolwiek że wysoki tytuł ofiarowany mi od Towarzystwa, każe się domyślać wyższych nad możność moję obowiązków, z tém wszystkim i świętość zamiaru i wdzięczność za zaufanie, nakazują

28. Osoby obcące brać książki do domu, a nie mające innego prawa używania z biblioteki publicznej, na jój utrzymanie składać będą po złp. cztery co miesiąc.

29. Nie należący do Towarzystwa a choący w bibliotece czytywać pisma peryodyczne i inne książki z biblioteki, płacić będą po złp. 18 na rok: uozniowie jednak wolni od téj opłaty.

30. Przychód z biblioteki od czytających zbierany, obracany będzie na opał biblioteki, światło, posługę, oprawę książek, szafy i opłatę pism peryodycznych, jak wiele wystarczy.

31. Biblioteka otwarta będzie po dwie godziny cztery razy w tydzień, dla czytania pism peryodycznych, a dwa razy na tydzień dla tych, którzy mają czytywać w domu.

32. Może jeszcze Towarzystwo przez kredyt w drukarniach albo przez zebrany od członków zasobny tymczasowy fundusz, sprowadzać potrzebne dla okolicy Płocka na sprzedaż książki, a zysk ztąd będzie korzyścią biblioteki.

33. Gdyby tym sposobem fundusze Towarzystwa biblioteczne znacznie wzrosły, może być utrzymany oddzielny bibliotekarz za umówioną opłatą. Pierwój zaś członki Towarzystwa tę pracę podzielać muszą, a do tego wybieranym będzie wydział biblioteczny, w którym rektor i professor bibliotekarz szkolny, z urzędu miejsce mieć powinni.

34. Dalsze przepisy biblioteczne, szczególniej oo do czytania książek wyjęte będą z wewnętrznego urządzenia szkół wojewódzkich, w artykule: „urządzenie biblioteki” na karcie 45 i dalszych, z zastosowaniem jednak do okoliczności miejscowych i do przepisów Towarzystwa.

§ VII. *Drukarnia płocka.*

35. Nic z Towarzystwa nie będzie drukowane tylko w Płocku, korektę dzieł takich członkowie Towarzystwa wezmą na siebie.

36. Dobrze także będzie, jeżeli papier sam, tylko z fabryk płockich używany zostanie.

§ VII. *Muzeum.*

37. Każdą osobliwość natury, pomnik historyczny, albo jakąbądź rzecz naukową, Towarzystwo z wdzięcznością do składów swoich przyjmuje.

38. Muzeum Towarzystwa połączone być może z muzeum i gabinetami szkoły wojewódzkiej, ale starać się wypadnie o wolność nadania tym składom tytułu: *Muzeum województwa Płockiego.*

39. To muzeum dla okazywania publiczności, w pewne czasy otwierane być może.

stosować się do woli szanownego Towarzystwa. Oby Opatrzność dozwoliła założycielom tej pociechy, a mnie najmilszej sładocy, iżby Towarzystwo nasze plockie zakwitło jak najpomyślniej, iżby wydało owoc obfity, a tém samém stało się hasłem dla wszystkich okolic Polski, aby wszędzie łącznemi siły starano się rozszerzać i podwyższać oświatę w narodzie.

Dan w Warszawie d. 10 października 1820 r.

Ks. Wojciech Szweykowski rektor królewskiego Warszawskiego Uniwersytetu, kanonik katedry plockiej, członek komisyy rząd. W. R. i O. P., doktor teologii i członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk Warszawskiego i Krakowskiego."

Na opiekuna zaproszono Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk. Odebrawszy tę odezwę Staszic jak i wszyscy członkowie, z wdzięcznością ten dowód braterskiej ufności przyjąwszy, bezwzględnie odpisali. Podaję z autografu który posiadam, dosłownie tę odpowiedź:

„Czytając Towarzystwo Królewsko-Warszawskie Przyjaciół Nauk, ustawy sobie udzielone Towarzystwa naukowego, które się w roku bieżącym zawiązało przy szkole wojewódzkiej plockiej, między opiekunami przez rzeczone Towarzystwo zapraszany, i siebie postrzegło. Za ten dowód zaufania ma Towarzystwo królewskie sprawiedliwy powód do wdzięczności dla Towarzystwa naukowego w Płocku, i oświadcza gotowość swoje usługi gdzie dobro i sława narodowa tego wymaga. Wspierane chęci w zamiarze szlachetnym, bez korzyści ogólnej zostać nie mogą. Sładkie są trudy naukowe, gdy świetność ojczyzny i jój dobro jest jedynie na widoku usilności pracujących. Przy takich zamiarach znajdzie Towarzystwo naukowe plockie i ochoczych pomocników i godnych siebie naśladowców.

W Warszawie, dnia 30 listopada 1820 r.

Prezes Towarzystwa, *Staszic*
Sekretarz Towarzystwa, *Ks. Edward Czarniecki*."

Żałować przychodzi że nie znamy dalszego rozwoju i prac podjętych przez Towarzystwo Naukowe Plockie. Z członków jego przeszli w pamięć dziejów literatury krajowej, oprócz prezesa, profesorowie Augustyn Źdzarski, Andrzej Kucharski i Hipolit Gawarecki, który do dziejów Mazowsza wiele zebrał i wydał ważnych materjałów.

§ IX.

40. Szczególne przepisy uzupełniające te ustawy, rada Towarzystwa stanowić może, bez naruszenia jednak pierwotnych zamiarów; każdą zaś w ustawach zmianę lub znaczny dodatek, większość tylko zdań wszystkich członków postanawia.

41. Sporządzona zostanie księga, w której zapisywaó się będą wszystkie zbierane ofiary i wszystkie dla Towarzystwa wypracowane dzieła, a przez sąd jego przyjęte i potwierdzone.

Wcześniej, bo na lat dwa przedtém zawiązało się Towarzystwo Lubelskie Przyjaciół Nauk. Zebrane grono obywateli tak nam cele swoje objaśnia.

„Długo miłośnicy nauk w województwie Lubelskiem ubolewali, że przy niemożności połączenia sił swoich i bez wzajemnego udzielania swych myśli, nie mogli dość korzystnie naukowemu poświęcić się zawodowi; niedostateczna ich liczba w samym Lublinie, a trudność komunikacyi z mieszkającymi na prowincyi, była temu przeszkodą. Zebranie się wreszcie „Rady obywatelskiej“ na posiedzenia swe w miesiącu maju roku 1818, tak długo oczekiwaną podało sposobność. Jakoż za staraniem kilku mężów, równie zaszczyconych pięknymi nauk zalety, jak gorliwych o skutek tych zbawiennych zamiarów, pierwsza zawiązka Towarzystwa tego, w samejże radzie, w dniu 23 miesiąca maja roku 1818 utworzoną zastała. Towarzystwo to, złożone wówczas z radców wojewódzkich, których imiona w poczęcie członków, będą dla nich zawsze chlubną pierwszszą zasługą zaletą, z urzędników, nauczycieli wojewódzkich i niektórych wojskowych przybrało tytuł: „Towarzystwo Przyjaciół Nauk,“ a za cel działań swoich, nie tak wyższych nauk przedmioty, jak raczej pierwiastkową młodzieży instrukcją i staranność o rozkrzewienie nauk początkowych w szkołach elementarnych wiejskich i miejskich, w zamiarze tym niniejsze ustawy, na dniu 21 miesiąca czerwca roku 1818 przyjęło. Aby zaś w zbawiennym tym zamiarze, z tém większą działać powagą, podało Towarzystwo raport Komissyi rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego, przedstawiający plan swój, która go zatwierdzić raczyła.“

Reskrypt tój władzy dosłownie przytaczamy.

„Rozważywszy nadesłane sobie ustawy zawiązującego się Towarzystwa Przyjaciół Nauk w województwie Lubelskiem, z prawdziwem ukontentowaniem widzi chwalebne gorliwych obywateli zamiary rozszerzania oświecenia przez najistotniejsze środki, a między innymi przez usiłowania mające ułatwić rozkrzewienie szkół elementarnych. Nie wątpi komissya rządowa, iż wytrwanie członków Towarzystwa w dążeniu do tak zbawiennego celu, znakomite przynieść może dla kraju pożytki, i tém chlubniejszemi staną się wykonane ich

42. Gdyby kiedy Towarzystwu braknąć miało członków czynnych, własność jego zostanie własnością szkoły wojewódzkiej, a każdy z członków historyą działań Towarzystwa, jego postępu i upadku, opisaną przez siebie, złożył może do biblioteki z własnym jednakże podpisem.

Te ustawy i przepisy Towarzystwa Naukowego przy szkole wojewódzkiej płockiej, przyjęto zostały na pierwszym zebrańiu się członków zakładających Towarzystwo. Dnia 3 czerwca 1820 r. Z szesnastu podpisów wyczytał tylko mogliśmy, oprócz już wyżej wymienionych następnie: Brzozowski komisarz oświecenia, Stanisław Dembowski pułkownik, A. Kobylecki, ks. Kolumban Żagier, Grobicki i ks. Mszczęński.

prace, że będą mogły posłużyć na wzór i zachęcenie dla innych województw. W Warszawie, dnia 7 lipca 1818 r.“

Po upoważnieniu powyższém Towarzystwo powoli zorganizowało się, przepisało sobie *ustawy*, które daleko obszerniejszy obejmują program od Towarzystwa naukowego w Płocku; zbliżało się więc do Towarzystwa Przyjaciół Nauk Warszawskiego, a za główny cel wzięło oświatę ludową, przez popieranie i rozszerzenie szkółek elementarnych tak miejskich jak wiejskich. Ustawy te podajemy w przypisiku, jako zajmujący i nauczający pomnik współczesnego okresu, a zarazem jako wspomnienie zacnych usiłowań obywatelskich 1).

1) USTAWY TOWARZYSTWA LUBELSKIEGO PRZYJACIÓŁ NAUK.

R o z d z i a ł I.

Cel Towarzystwa i prace, które sobie zamierza.

Art. 1. Towarzystwo zakłada sobie za cel działań, dążenie do upowszechnienia oświaty w województwie Lubelskiem, a to szczególnie w rozkrzewianiu nauk początkowych w szkołach elementarnych miejskich i wiejskich.

Art. 2. W skutek tego członki Towarzystwa starać się będą:

- a) Nad wszelkimi metodami początkowej instrukcyi zastanawiać się i te do okoliczności miejscowych zastosowywać.
- b) Do zakładania szkółek miejskich i wiejskich zachęcać i ile możności, zaprowadzenie onych ułatwiać.
- c) Ułatwiać w takich szkołach sposobność czytania użytecznych książek i ich nabywania.
- d) Robić wyjątki z pism peryodycznych, mających związek z zamierzonym celem, i wiadomości takie Towarzystwu udzielać.
- e) Udzielać wszelkie pisma oryginalne w przedmiotach nauk i umiejętności.
- f) Przekładać na język ojczysty dzieła wzorowe, zwłaszcza takie, których upowszechnienie szczególnie byłoby użytecznem.
- g) Ułatwiać funduszami swemi drukowanie dzieł użytecznych, których autorowie nie byłiby w stanie potrzebnychłożyć nakładów.

Art. 3. Dalszemu wzrostowi swemu zostawia Towarzystwo podział prac swoich na trzy działy, to jest: nauk, umiejętności i instrukcyi elementarniej.

R o z d z i a ł II.

Skład Towarzystwa i obowiązki członków.

Art. 4. Towarzystwo składa się z członków czynnych i honorowych.

Art. 5. Członków czynnych w Lublinie mieszkających obowiązkiem, znajdować się na każdym Towarzystwa posiedzeniu, lub o ważnej przyczynie, dla którejby przytomni być nie mogli, przydującego uwiadomić: nieobecni zaś w Lublinie, lecz mieszkający w województwie Lubelskiem na dwóch przynajmniej oocznie posiedzeniach, znajdować się powinni.

Pierwszym prezesem tego Towarzystwa był Joachim Owidzki, wiceprezesem Andrzej Smolikowski, sekretarzem znany z nauki Jan Kanty Krzyżanowski; członkami, między innymi: Antoni Baranowski generał w. p., Leon Dembowski poseł, ks. Glass pastor, Stanisław Grabowski senator kasztelan, Wojciech Gutkowski podpułkownik inżynier, Kazimierz Nahajewicz professor, Rozenberg fizyk woje-

Art. 6. Każdy członek czynny obowiązany będzie w przeciągu lat trzech wypracować jedną przynajmniej rozprawę oryginalną, lub złożyć przekład z obcego języka.

Art. 7. Nadto, wszelkie od Towarzystwa poleczone sobie czynności, jak najściślej i na czas oznaczony uskuteczniać, a w przedmiotach dłuższego czasu potrzebujących, o postępie zdawać sprawę.

Art. 8. Na podejmowanie potrzebnych Towarzystwu kosztów, członkowie jego będą robić składkę, nie mniej jak po złp. 2 miesięcznie, która to opłata, przynajmniej ratami kwartalnymi ma być wnoszoną, za kwitem utrzymującego kasę Towarzystwa. Że zaś dochód ten nie jest prywatnym Towarzystwa funduszem, ale raczej uposażeniem szkółek elementarnych w województwie, zaczęm i członki honorowe, obywatele tego województwa i zamieszkali w niem, składkę tę opłacać będą.

Art. 9. Każdy członek czynny, któryby dla zatrudnień powołania swego lub innych nie był w stanie złożenia Towarzystwu własnego płodu naukowego, w czasie przepisany, obowiązany będzie innym rodzajem ofiary przyłożyć się do celu Towarzystwa.

Rozdział III.

Art. 10. Towarzystwo dwojakię odbywać będzie posiedzenia: *zwyczajne i publiczne.*

Art. 11. Dwa będą corocznie publiczne posiedzenia, to jest w drugą niedzielę każdego konstytucyjnego zebrania się rady obywatelskiej.

Art. 12. Posiedzenia zwyczajne odbywać się będą co miesiąc, w pierwszą niedzielę każdego miesiąca, od godziny 10 z rana.

Art. 13. W miesiącach sierpniu i wrześniu, żadnego nie będzie posiedzenia, a natomiast przypadające w nich, przenoszą się na pierwszą niedzielę każdego konstytucyjnego zebrania się rady obywatelskiej.

Art. 14. Na posiedzeniach zwyczajnych nastąpi najprzód:

- a) Odczytanie dziennika posiedzenia poprzedzającego.
- b) Zapisanie imion członków obecnych.
- c) Załatwienie przedmiotów, które i w jakim porządku, na ostatniem posiedzeniu uchwalone zostały.
- d) Wniesienie nowych od prezesa i członków Towarzystwa, nakoniec:
- e) Odczytanie dziennika wraz z listą obecnych, tudzież nieobecnych a niewymówionych i podpisanie tegoż przez prezesa.

Art. 15. Prezes może wstrzymać czytanie pisma nie odpowiadającego powadze Towarzystwa, lub dotyczącego osoby; wszelkie zaś pisma na posiedzeniach odczytane, powinny być w aktach Towarzystwa złożone.

wódzki, Jan hr. Suchodolski radca wojewódzki, Tomorowicz sztabs lekarz, Antoni Woelke późniejszy professor Uniwersytetu Warszawskiego i ksiądz Franciszek Zabłocki proboszcz w *Końskowoli*, słynny komedyo-pisarz XVIII stulecia, i uczestnik uczonych obiadów króla Stanisława Augusta.

Pomiędzy honorowymi członkami, czytamy na liście imiona znane w kraju: Grzymały senatora kasztelana, księcia Macieja Jabło-

Art. 16. Pisma składające się w aktach, powinny być zadekretowane, czy na posiedzeniu publicznem czytane być mogą. W czem, jak i we wszelkich innych przedmiotach narad, zdania głośnie stanowią; na wniosek jednak którego z członków, kręskowanie tajemne miejsce mieć może.

Art. 17. Na publicznych posiedzeniach, najprzód czyniony będzie przez prezesa krótki raport z działalności Towarzystwa, tudzież ogłoszenie ubytych i przybyłych członków, tak czynnych jak honorowych; poczem nastąpi odczytanie celniejszych prac członków, których wybór i porządek czytania, na ostatniem posiedzeniu zwyczajnem ustanowiony będzie.

Art. 18. Gdyby prezes Towarzystwa rozprawę jaką napisał, téj nie będzie do raportu dołączał, ale ją w kolei członkom odczyta.

R o z d z i a ł IV.

Urzednicy Towarzystwa i ich obowiązki.

Art. 19. Towarzystwo ma swego prezesa, wiceprezesa, sekretarza, inspektora, archiwum i kassjera.

Art. 20. Urzednicy ci obierani będą co dwa lata z członków czynnych na posiedzeniu zwyczajnem w miesiącu czerwcu.

Art. 21. Obowiązkiem prezesa jest przydować: *a)* na posiedzeniach i obrady zagajając, *b)* pisywać w imieniu Towarzystwa, odpowiadać, zapytywać, się i w razie potrzeby nadzwyczajne posiedzenia zwoływać; może nawet rozważyć jakiegokolwiek rzeczy, lecz raz tylko do następującego posiedzenia odłożyć, *c)* równość zdań rozwiązywać, *d)* wyznaczać osoby do recenzji rozpraw i zdania o tychże raportu, *e)* na ostatniem publicznem posiedzeniu urzędowania swego zdawać sprawę z prac Towarzystwa, w tym ciągu czasu dokonanych lub przedsięwziętych.

Art. 22. Wiceprezes zastępuje prezesa w razie potrzeby, a w niebytności obudwóch, członek starszy, wyborem, a przy równości wyboru, starszy wiekiem na posiedzeniach przydaje.

Art. 23. Obowiązkiem sekretarza jest: *a)* być pomocą prezesowi, *b)* utrzymywać dzienniki posiedzeń Towarzystwa, *c)* mieć nadzór nad składem papierów, *d)* dozwolone wypisy z akt zgromadzenia zaświadczać, *e)* utrzymywać listę członków od założenia Towarzystwa, z wyrażeniem daty przyjęcia każdego, *f)* na posiedzeniach wszelkie pisma do Towarzystwa lub prace członków nieobecnych odczytywać.

Art. 24. Inspektor archiwum mieć będzie pod swoim dozorem skład aktów Towarzystwa, książek i wszelkich pism od sekretarza sobie oddanych

nowskiego, Kajetana Kozmiana radcę stanu, najgłośniejszego poetę pomiędzy klasykami, Stanisława Potockiego prezesa senatu i ministra oświecenia i Stanisława Staszica radcę stanu.

I o tém Towarzystwie Lubelskiém jak i o Płockiém dalszych wiadomości niemamy: nie znamy więc działań jego użytecznych po

i tego w niebytności zastępuje. Za powiększeniem się Towarzystwa i biblioteki, może mu być dodany bibliotekarz.

Art. 25. Kassyer trudnić się będzie poborem składki i wszelkich doobodów, zaspakając wszelkie wydatki, utrzymywając rachunki i składając je corocznie przed komisyją z trzech członków od prezesa wyznaczoną.

Art. 26. Wszelkie wydatki czynione będą tylko za postanowieniem Towarzystwa przez większość głosów, z tych zaś znaczniejsze jako to: na drukowanie dzieł, zakupienie ich i tym podobne, nie mogą być uchwalone jak na posiedzeniach przynajmniej z dwunastu członków złożonych.

R o z d z i a ł V.

O wyborze członków.

Art. 27. Wybór członków tak czynnych jak honorowych, uskutecznia się przed każdém posiedzeniem publiczném.

Art. 28. Na przedostatniém zwyczajném posiedzeniu, każdy z członków czynnych, podać może kandydatów na piśmie, z wyrażeniem ich zalet naukowych i zapewnieniem o obęci należenia do Towarzystwa.

Art. 29. Podanie takowe na posiedzeniu następném, ostatniém przed publiczném, roztrząsaném będzie, poczem przystępuje się do wyboru kandydatów, w czém większość głosów stanowi.

Art. 30. Prezes o zaszyłym wyborze kandydata uwiadomi przesyłając mu niniejsze ustawy, z wezwaniem aby przed, lub na samém publiczném posiedzeniu złożył akt przyjęcia (akceptacyi); czynny zaś, aby sam znajdował się dla uroczystego wprowadzenia go w grono Towarzystwa.

Art. 31. Prezes, czyniąc raport na posiedzeniu publiczném i wymieniając członków nowoobраниch, wspomni w krótkich słowach powody przyjęcia i wezwie czynnych do zajęcia miejsc w Towarzystwie.

Art. 32. Gdyby który z członków czynnych nowoobраниch, dla ważnych przyczyn na posiedzeniu publiczném znajdować się nie mógł i nie przyszedł przynajmniej aktu akceptacyi, będzie uważanym za niechającego korzystać z okazanego mu przez Towarzystwo względu.

Art. 33. Komplet wszelkiego posiedzenia stanowi sześciu członków, wyborowego zaś dziesięciu, prócz prezesa i sekretarza.

R o z d z i a ł VI.

O wyborze urzędników.

Art. 34. Gdy urzędnicy Towarzystwa co dwa lata obiorani być mają, zaczm w téj epoce, posiedzenie zwyczajne miesiąca czerowca zamieni się w wyborowe.

ustaleniu, ani daty w której umilkło. Członkowie obu tych naukowych zgromadzeń dawno pomarli, a archiwa ich i zbiory poszły w rozsypkę.

Tymczasem Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie, coraz energiczniej zabierało się do pracy, we wszystkich gałęziach nauk, coraz też częściej zaczęły się pojawiać jego *Roczniki*.

Art. 35. Prezes Towarzystwa może być obrany z mieszkających na prowincyi, któryby jednak miał łatwość przybyć w każdym razie potrzeby; inni zaś urzędnicy z miejscoowych obierani być winni.

Art. 36. Wybór prezesa w następujący odbywa się sposób: a) sekretarz Towarzystwa przysposabia wcześniej listę wszystkich członków Towarzystwa na tyle rąk ile być może głosujących, i tę na posiedzeniu *wyborowém* każdemu doręczy; b) każdy z członków podkreśli na niej imię tego, którego prezesem mieć żyzy; c) większość kręsek wybór stanowi; w przypadku równości między dwoma, powtórne na nich kreskowanie nastąpi; gdy i to nie rozstrzygnie, starszy wiekiem pierwszeństwo otrzyma.

Art. 37. Wiceprezes takimże obrany będzie sposobem; na inne urzędy prezes kandydatów przedstawia, obrani zaś mogą być prostą większością zdań głosnych; na wniosek jednak którego z członków, kreskowanie nastąpi.

Art. 38. W przypadku śmierci lub oddalenia się którego z urzędników, prezes wyznacza tymczasowego zastępcę, aż do nowego wyboru lub powrotu jego.

Ro z d z i a ł VII.

O sposobie sądzienia pism.

Art. 39. Wszelkie pisma tak przez stowarzyszonych wypracowane, jakoteż nadesłane przez członków honorowych, lub osoby do składu Towarzystwa całkiem nienależące, podpadają poprzedniczemu Towarzystwa roztrząśnieniu, nimby cokolwiek względem nich postanowioném być miało.

40. Prezes odebrane pismo oddaje deputacyi z trzech osób do reocenzyi wyznaczonej, która w czasie oznaczonym, to jest, według rozciągnięcia pisma, na następném drugiem, lub trzeciem posiedzeniu, winna z niego zdać sprawę. Każdy członek oddzielnie winien podać na piśmie spostrzeżenia swoje, a jeden z deputacyi ułoży raport obejmujący dokładnie treść pisma, oraz zdanie i uwagi recenzentów.

Art. 41. Po odczytaniu uwag deputacyi, Towarzystwo stanowi, czy dzieło jak jest, ma być czytaniem na posiedzeniu publiczném, lub też tylko do akt oddane, dla późniejszego użytku.

Art. 42. Jeżeliby zaś osądzono rzecz za potrzebującą poprawy przed dalszém z nią postąpieniem, wtenczas po roztrząśnieniu na posiedzeniu, uwagi deputacyi udzielone będą autorowi, dla sprostowania miejsa wytkniętych.

Art. 43. Wolno jest autorowi nie przyjąć tych uwag, ale rzecz jego ani pod imieniem Towarzystwa drukowaną, ani na publiczném posiedzeniu czytana być nie może.

Art. 44. Jeżeliby zaś autor odwoływał się tylko, przeciwko uwagom recenzentów, do ogólnego zdania Towarzystwa, może żądać odczytania na po-

Piérwszy ich tom wyszedł w roku 1802 w drukarni księży Pija-rów. Na czele mieści odezwę Towarzystwa warszawskiego Przyja-ciół Nauk, wraz z reskryptem króla pruskiego zatwierdzającym po-mienione Towarzystwo.

Odezwę tę cechuje duch prawdziwie obywatelski i szczególna skromność. Z niej czerpiemy wiadomości, że król pruski, będąc uprzedzonym iż jednemu z członków tego grona uczonych, polecono napisać dzieje narodu, pozwolił przejrzeć sekretne archiwum mi-strzów krzyżackich w Królewcu: dalej że plan komissyi edukacyjnój pomimo zmiany rządu, otrzymał zasłużone pochwały, a w ostatku powiadamia Towarzystwo o ukończeniu przekładu w całości *Iliady* Homera, w części *Eneidy* Wirgiliusza, i Żywyoty sławnych ludzi Plu-tarcha. Przytém zaprasza wszystkich miłośników literatury krajo-wój o pomoc w opracowaniu terminologii naukowych i kończy w tych słowach:

„Niech każdy się przekona, że sława nauk jest najtrwalsza, że ośmilenie się do pracy, zwyciężenie nawet skromności, jest długiem należnym naukom ojczystym, a na ich ołtarzu złożona ważna i uczą-ca księga, daje mu niezaprzeczone prawo do wdzięczności obecnych i przyszłych pokoleń.“

Oprócz mów zwykłych przy zagajeniach zebrań i kilku rozpraw naukowych prezesa Albertraudego, w trzech tomach do roku 1804

siedzeniu zwyczajném i pisma swego i uwag deputacyi, wówczas trzy czwarte części zdań nie głośnych, przyjęcie lub usunięcie pisma stanowią.

Rozdział VIII.

Przepisy dodatkowe.

Art. 45. Członki Towarzystwa przyrzekają sobie nawzajem, wszel-kie oznaki szacunku i związku i w dowód tego, w przypadku ciężkiej słabości którego z członków, Towarzystwo mieć będzie potrzebną troskliwość o stanie zdrowia, a wrazie i o potrzebach chorującego, w przypadku zaś śmierci, Towa-rzystwo w gronie, zwłokom towarzyszyć będzie.

Art. 46. We wszystkich przypadkach nieobjętych niniejszemi ustawa-mi, Towarzystwo bierze za zasadę, wrazie potrzeby stosować się do ustaw To-warzystwa Królewskiego Warszawskiego.

Art. 47. Towarzystwo zostawia sobie władzę przejrzenia tych ustaw co dwa lata i sprostowania niedogodności, do téj zaś opoki literalne onym po-słuszeństwo zastrzega.

Powyższe ustawy na posiedzeniu dnia 25 czerwca 1820 r. poprawione i zatwierdzone zostały. (Wydrukowane zostały wraz z listą członków czyn-nych i honorowych p. n. *Ustawy Towarzystwa Lubelskiego Przyjaciół Nauk*. W Lublinie, w drukarni Karola Pruskiego, roku 1820. Nakładem Towarzy-stwa Przyjaciół Nauk, w 8-cc. Broszurka ta dziś do rzadkości bibliograficz-nych należy).

które za czasów tak zwanych *pruskich* wyszły: mamy pochwały przez Stanisława Kostkę Potockiego, Józefa Szymanowskiego, Grzegorza Piramowicza; przez Franciszka Dmochowskiego, pochwałę Ignacego Krasickiego; przez Piotra Maleszewskiego mowę na obchód pamiętki Ignacego Zaborowskiego, obok prac astronomicznych Jana Sniadecznego, jego sławną rozprawę o *Koperniku*; Tadeusza Czackiego o *Dziesięcinach*, i prace filozoficzne Józefa Kalasantego Szaniawskiego: „*O znamienitych systemach moralnych starożytnych*,” i „*System chrystyanizmu krótko wyłożony*.” Autor ich był to jeden z głębszych myślicieli, świetny reprezentant *filozofii* przez ciąg dwudziestu lat prawie naszego stulecia. Towarzystwo Przyjaciół Nauk chętnie go w grono swoje policzyło, lubo później sam słyszałem, pełne gorczy wyrazy sędziwego J. U. Niemcewicza, zwrócone przeciw J. K. Szaniawskiemu. Skarga ta była słuszna, bo autor *Systemu chrystyanizmu*, nie po chrześcijańsku postąpił.

Utworki poetyczne znajdujemy tu także: przekład „listu Horacyusza do Juliusza Flora,” przez F. Dmochowskiego, i J. U. Niemcewicza „*Dumą o Glińskim*,” wraz z tłumaczeniem z angielskiego elegii Greya: „*Na cmentarzu wiejskim*.”

Nie możemy pominąć rozprawy Jana Kossakowskiego biskupa wileńskiego p. n. „*Rzut oka na literaturę czeską, i związek języków słowiańskich*.”

Pierwszy to głos od epoki Jagiellonów, przypominający nam braterstwo w duchu i języku z tym szlachetnym narodem, odżywienie pamięci owych dawnych a serdecznych stosunków, gdy z łona Czechii pierwsi przynieśli nam apostołowie wiarę chrześcijańską, gdy nas nauczyli nowego sposobu walczenia w obronnych *taborach*.

Spała wówczas cała Czechia snem letargicznym, pierwszy jej filolog Józef Dobrowski, bawił się naukowo ojczyzną mową, po niemiecku ją studyując, jako umarłym językiem; rękopism *królodowski* na wieży kościelnej w pyle zapomnienia się tarzał; nieobfity też zebrał plon Kossakowski, i tylko na dawną przeszłość tego narodu mógł się odwoływać.

W dniu 5 maja 1803 r. Jan Woronicz kanonik katedralny, odczytał na publiczném posiedzeniu rozprawę swoją: „*O pieśniach narodowych*.” W niej głównie zwrócił uwagę na pieśni religijne zaczynając od *Boga Rodzicy* do Karpińskiego, pragnąc odżywić zarazem i pieśni historyczne, któreby pamięć świetniejszych zdarzeń z dziejów krajowych mogły rozpowszechnić i utwalić. Głos to był poety kapłana, wymowny i porywający, a zarazem wskazujący, że znał lepiej od współczesnych całe bogactwo poetyczne z upłynionych wieków. W części życzenia Woronicza spełnił J. U. Niemcewicz „*Spiewami historycznemi*,” ale „*pieśnioksięgu*” religijnego dotąd niemamy.

Tom czwarty *Roczników* pojawia się w roku 1807, już po ogłoszeniu Księstwa Warszawskiego; tak w nim jak i w czterech następ-

nych znajdujemy więcej wierszopisarskich utworów Ludwika Osińskiego i prawdziwą poezją natchniony ów przepyszny, wzniosły *Hymn do Boga* Woronicza. Pierwszy on raz wystąpił tu jako wieszcz narodowy, gdyż poemat swój *Sybillę*, jakkolwiek wykończony starannie ukrywał, i w jedenaście lat później, bo w roku 1818 jeden z przyjaciół wykradłszy drukiem ogłosił w staranném wydaniu, z godłem na czele:

„I odpuść nam nasze winy.“

Przepraszając autora, że nadużył jego zaufania, ale cel usprawiedliwił go w oczach każdego miłośnika literatury ojczystej. Woronicz mało za życia drukował, portret jego dał A. E. Odyniec w noworoczniku swoim: *Melitele* z r. 1830, wraz z jego wierszem p. n. *Ślubny upominek*.

Z wydatniejszych prac zwracają uwagę: rozprawy ks. Ksawerego Bohusza: „*O początkach narodu i języka Litewskiego*,” i Staszica „*O ziemiordztwie gór*.“

Tom VIII w roku 1812 wydany składa się z dwóch części: druga obejmuje opis uroczystości obchodzonej dnia 22 grudnia 1809 roku, po oswobodzeniu Księstwa Warszawskiego od napadu armii austriackiej.

W żadnej chwili życia nie był równie wymownym Stanisław Kostka Potocki, jak gdy pisał *Pochwałę walecznych*, którą odczytał na tém zebraniu, ani J. K. Szaniawski, gdy wskrzeszał pamięć poległego przyjaciela Cypryana Godebskiego, ani Ludwik Osiński nigdy nie uczuł wyższego natchnienia poetycznego, gdy kreślił swoją *odę*, czcząc w porywającym wierszu tych samych, o których przemawiał Potocki. Wydawnictwu tego tomu już towarzyszył daleki grzmot dział i okrzyk wojenny, jako smutna wróżba upadku Napoleona Wielkiego.

Zmęczona społeczność nasza w śród tej zawieruchy światowej, tęsknym okiem spoglądając w około, wyglądała z biciem serca, jak się zakończy ten straszny a krwawy dramat. Po dwóch latach, przecież pokój zawitał, i każda pierś odetchnęła swobodnie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z SIEDMIOLETNIEJ WOJNY.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Tom drugi.

V.

(Ciąg dalszy).

Było to dnia 14 października 1756 roku, w dniu, który żalobną pamięcią zapisał się w dziejach Augusta III. Zima zbliżała się, ale wojny przerwać nie mogła; z obu stron gromadziły się siły, poruszały oddziały i nieustanna walka na granicy, prawie zawsze na korzyść Prusaków wychodziła.

Miesiąc upływał od czasu, gdyśmy w Pirnie króla widzieli; on i Brühl z całym dworem lękając się wpaść w ręce nieżyczliwego króla pruskiego, przenieśli się do tego Koenigsteinu, w którym tyle ofiar wprzód lata powolnej męczarni spędziło. U stóp twierdzy odegrywała się ostatnia scena pierwszego aktu tego dramatu, w dziejach zowiącego się siedmioletnią wojną.

Wkrótce po oznajmieniu generała Spörkena, iż wojska pruskie usiłować będą odciąć obóz od czeskiej granicy, Fryderyk w istocie śmiałym marszem wystąpił pod Lowositz i pierwsze odniósł tam zwycięstwo.

Po niem był już prawie panem wojska saskiego, które nie rychło zebrawszy się na zbudowanie mostu pod osłoną twierdzy w Koenigsteinie, przeszło go mglistą nocą z dnia 13 na 14 i znalazło się wycieńczone trzydniowym głodem a więcéj niż czterotygodniową blokadą, w rękach oczekujących już na nie Prusaków. Nie pozostawało już nic nad zdanie się na łaskę i niełaskę nieprzyjaciela. Generał Rutowski ze swojemi 16,000 kapitulować musiał. Wszystkie wąwozy, drogi, przejścia zawczasu były obsadzone.

Pułki saskie rade nierade, siłą wcielone zostały do armii Fryderyka, który nawet gwardyi Augusta uwolnić nie chciał, aby jak mówił, drugi raz ją brać w niewolę nie był zmuszony. Oficerów tylko na słowo puszczone. Saxonia była bezsilną w rękach zdobywcy, który ze zwycięstwem łączył to nielitościwe, cyniczne szyderstwo, które go cechowało.

Z wierzchołka niezdobytéj twierdzy, Brühl widzieć mógł zastęp ostatnich obrońców kraju, który jego winą wpadł w ręce nieprzyjaciela, składających broń i wdziwiających sinoczerwone barwy pruskie. Królowi i teraz jeszcze, wraz z Brühlem, którego imienia Fryderyk wymówić ani napisać nigdy nie chciał, ofiarowano paszporta do Polski, dodając przestrogę, iż się przecież na sejm wypadało pospieszyć.

W tak rozpaczliwém położeniu, do którego przywiódł Saxonję zarozumiały a słaby minister, umiał on jeszcze Augusta III-go pocieszać tém, iż zwycięstwo pozorne Prusaków krótko trwać miało. Lada chwila sprzymierzeni wszyscy runąć musieli i obalić miotającego się rozpaczliwie Fryderyka. August III wzdychał, a pociechu przypominał, że najlepsza pora jesienna do polowania, bezpowrotnie przepadła. Saxonję odzyskać było można, ale nie stracone łowy! Na Koenigsteinie téż smutne było życie: te mury do których tyle westchnień i jęków przyłgnęło, zdawały się rozpacz i smutek wyziewać.

Tegoż dnia 14 października, po mglistéj nocy, w chłodny poranek, kwatery króla Fryderyka znajdowała się w małej wioszczynie u stóp góry niedaleko Lilienstein. Feldmarszałek Keith, któremu poleconém było spisanie kapitulacyi, zajmował obszerniejsze nieco domostwo; król swym obyczajem, z pewną ostentacją surowego żołnierza mieścił się w ciasnym domku, w którym żadnych wygod nie było. Z téj izdebki nagięj dyktował on rozkazy i rozporządzał zabranami kilkunastu tysiącami niewolnika, który wojsko jego miał zwiększyć. Rozesławszy generałów, z jednym majorem Wangenheimem na dyżurze, naprzeciw rozpalonego ognia na kominie siedział Fryderyk zamysłony, trzymając na kolanach ulubioną charcicę. Na prostym stole leżało kilka książek i kilka kart atramentem poplamionych, obok nich na talerzu stały jabłka i gruszki, które król przez cały dzień jadł chętnie. Kilkunastu żołnierzy składało straż

całą. Milczenie panowało w domku, do którego niekiedy wpadali adjutanci po rozkazy i zbyci kilku słowami, natychmiast do kwatery feldmarszałka wracali.

W tym człowieku zmęczonym, okrytym ładajakim mundurem, zbłoconym i opylonym, którego twarz więcej przebiegłości i energii, niż gieniuszu zdradzała; trudno było poznać króla i wodza. Nic w nim nie było dla oka ludzkiego, dla opanowania ludzi i olśnienia ich wielkością; w stroju i postawie odbijał się charakter pogardzający człowiekiem i świadomy tego jednego, iż siłą na nim wszystko wymódz można. Z okien tego domku i izby widać było w oddaleniu majestatyczny, wspięty na skale Koenigstein. Oko Fryderyka zwracało się czasem na te mury, nie zatrzymując się na nich długo: uśmiech naówczas przebiegał usta.

Na ten dzień dosyć długo czekał, dość się nad nim napracował zwycięzca, a jednak rozpromienienia z twarzy widać nie było, raczej troskę i zamyślenie. Dla innych był to krok stanowczy, on widział iż wojna zaledwie była rozpoczętą, świetnie wprawdzie; lecz ileż razy wiele obiecujący początek zawodem się kończy??

Wangenheim wszedł powoli.

Fryderyk twarz ku niemu obrócił.

— Generał Bellegarde z listem króla polskiego...

Skinął aby go proszono.

Słusznego wzrostu, piękny mężczyzna, w mundurze, z twarzą smutną wszedł na próg i skłonił się przed Fryderykiem.

— Dzień dobry generałowi, jak się on ma?... z czem—że tam?.....

Bellegarde długo się wahał, nim usta otworzył.

— Jeśli on chce odemnie jakiegokolwiek ulgi w kapitulatory, to napróżno—odezwał się Fryderyk.—Nie mogę. Jestem do tego zmuszony co czynię; często mimowoli, z musu.....

— Jednakże gwardya, N. Pana!—odezwał się Bellegarde.

— Poco mu gwardya? Niech jedzie do Warszawy, tam ma pospolite ruszenie panów „nie pozwalam”... Nie ma tu czego siedzieć..... Wasz minister, którego imię gdybym ja wymówił, ustaby mi splamiło; wasz to minister na mnie naszczuł Europę całą; a jednak tego szacownego półgłówka puszczam

wolno, ażeby się król w drodze nie nudził. Dam mu paszporta, niech rusza i poluje!!

Bellegarde stał poważny, na rozmowę w tym tonie nieznajdując odpowiedzi.

Fryderyk spojrział nań.

— Powiedz, generale, królowi, że go szanuję, że mu dobrze życzę, ale sobie jeszcze lepiej. Trudno, bym pozwolił się zredukować, jakeście chcieli na margrabię Brandeburga; wołę aby kurfirst saski zszedł na Miśnieńskiego Landgrafa!!

Niech do Polski jedzie: zawsze mu zostało królestwo tak bogate w lasy jak żadne, a ja oskoczony muszę się bronić, niemając piędzi ziemi bezpiecznej.

Po chwilce podniósł głowę.

— Ma mi on co więcej do powiedzenia?

— Król JM. prosi o gwardyę!— powtórzył generał.

— To próżno! boleję nad tém, ale jój nie puszczę, aby nie poszła zwiększyć austriackiej siły.

Pozdrów króla odemnie. Paszporta gotowe; niech na Wrocław jedzie: drogi bezpieczne i przepzęgi mieć będzie dobre.

Bellegarde stał jeszcze, gdy Fryderyk odwrócił się, pojęty kapelusz uniósł nieco i skinął głową:

— Nie mogę więcej, adieu....

Generał wyszedł wzdychając, a król oczyma za nim pogonił.

Zaledwie się drzwi zamknęły, gdy major Wangenheim wszedł.

— W. Kr. Mość pozwolisz mi więźnia tego przypomnieć?

— Jakiego?

— Młodego Polaka, którego przed kilku tygodniami wzięto, gdy się z Pirnej do Drezna chciał dostać.

— Polaka!—odezwał się król—który się tak zuchwale stawiał?

— Lecz nie przy nim nie znaleziono, a przez czas jak jest pod strażą, mogliśmy się przekonać, iż wcale Sasom nie sprzyja. W. Kr. Mość byłeś łaskaw przyrzec mu uwolnienie, ośmielam się za nim wstawić.

Fryderyk pomyślał.

— Niech mi go tu przyprowadzą.

Wangenheim wyszedł, a w kwadrans potem dwóch żołnierzy przywiodło do drzwi odartego Masłowskiego, odzianego w kożuszek stary, w chodaki zamiast butów, bez czapki, podobniejszego do włóczęgi niż do owego śmiejącego się chłopaka, który tak rażno dawniej na świat spoglądał.

Nędza ta jednak i niewola, choć go wymizerowały, nie odjęły mu ani dawniej buty, ani tej wesołości rozpaczliwej, która czasem w pewnych charakterach na rusztowanie nawet towarzyszy.

Prowadzony Masłowski stanął u drzwi w milczeniu. Fryderyk na niego z pogardą popatrzał, a potem rzekł:

— A co, wypościł się on?

— Z łaski W. Kr. Mości—krótko rzekł Masłowski—dosyć.

— A drwa pan szlachcic rąbał?

— Tak jest, N. Panie.

— I wodę nosił?

— Tak jest, N. Panie.

— Niech-że wie, że ja zuchwałych odpowiedzi nie lubię—zawołał Fryderyk i żywo dodał:

— W wojsku on nie chce służyć?

— Nie życzę sobie.

— Może w saskim?

— Ani w pruskim, ani w saskim.

— A w jakimże?

— We własnym lub w żadnym.

Król zamilkł, parsknął śmiechem i powoli wymówił przesadnie: „Nie pozwalam!”

Na bladą twarz Masłowskiego wystąpił rumieniec.

— Fort! wracaj sobie do Drezna, lub jedź z królem polować na niedźwiedzie. Żołnierza z ciebie dobrego nie będzie, bo gdybyś lepszym był, o pozwolenieby cię nie pytał, poszedłbyś pod karabin i basta.

Król podniósł kij groźnie—i powtórzył—*Fort!*

Masłowski się odwrócił do wyjścia, a Wangenheim wskazał mu, drzwi otworzywszy, drogę, gdy w sieniach chaty pan Ksawery, oko w oko spotkał się tu z bardzo dziwnym zjawiskiem, które go powstrzymało zdumionego.

Stało tu dwóch ichmościów, *Cabinet* sekretarzy J. Kr. Mości, w rodzaju mundurków dosyć niepoczesnych, z papierami pod pachą. Czekali widać ażeby ich zawołano. Jeden z nich pocieszenie pękaty i mały, w peruczce z lokami nad uchem i harcapkiem z jasną wstążką, żuł coś w ustach, korzystając z wolnego czasu, widocznie nie interesując się wcale tem co się koło niego działo. Kiedy niekiedy ręką sięgał do kieszeni, wyjmował coś z niej i sypał do gęby, pracowicie natychmiast obrabiając ten materiał pożywny zębami. Na wygolonej twarzy znać było ruchy mięśniów pospieszne, pozwalające odgadywać głodną łapczywość. Drugi obok z miną roztargnioną, tak się zdał Masłowskiemu do Simonisa podobnym, iż na chwilę osłupiał. Nie musiał to jednak być ów elegant kawaler, chociaż twarz nadzwyczaj go przypominała, bo spojrzawszy na Masłowskiego nie okazał najmniej ażeby go poznał. Owszem, z uwagą nań popatrzał, ale z obojętnością zupełną i oczy zaraz ku drzwiom obrócił. P. Ksawery stał jeszcze niewiedząc czy mu się przypomnieć, czy go spytać, gdy major Wangenheim powtórzył mu rozkaz króla, aby dopóki wolnym jest, ruszał gdzie chce. Radził mu, co najbliżej dostać się do Koenigsteinu do Brühla, gdzieby odzież lepszą mógł dostać.

Nieszczęśliwego Masłowskiego, gdy po sprawieniu poselstwa przedzierał się do Drezna, schwyciły były placówki pruskie. Zaprowadzono go do głównej kwatery, okrzyczano szpiegiem. Zrazu była mowa o rozstrzelaniu. Zimna krew, przytomność, obce może pochodzenie, brak wszelkich dowodów, tłumaczenie się śmiało, zjednały chłopcu opiekę starszyny wojskowej. Powiedziano o nim królowi, który z początku kazał go być wcielnić do wojska: Masłowski się temu oparł. Stawiony przed królem, powiedział że jest szlachcicem polskim, z czego Fryderyk drwił tylko sobie; jednakże trochę francuzczyzny a wiele przytomności umysłu wyjednały mu tyle względów u króla, iż mu dał do wyboru: albo drwa rąbać i wodę nosić przy obozie, lub wdziać mundur. Masłowski poddał się niewoli na upartego. Wodzono go za obozem z kilką innymi więźniami, aż go major Wangenheim wyprosił.

P. Ksawery mógł się pochwalić że przetrwał jedną z najcięższych prób, jakie w czasie wojny spotkać mogą, i to zwy-

ciężko. Na chwilę nawet, przy chłodzie, głodzie, wśród znęcania się i urągowiska żołnierzy, nie opuściła go krew zimna i humor wesoły. Ci co mu dokuczali wydziwić się nie mogli praktycznej filozofii chłopaka i nieustraszonemu jego mężstwu. W czasie bitwy pod Lowositz, na chwilę był w ogniu najstraszniejszym, wlaźł na wóz, patrzył na potykających się, śmiał się i bił brawo. Ta odwaga jednała mu podziwienie i serca. Zdawało się że człowiek z takim usposobieniem, powinien był nabrać smaku do wojennego rzemiosła; lecz Masłowski na ponowione propozycje odpowiadał, że woli z musu nosić wodę, niż z ochoty bić się za prusaków.

Wangenheim o tym osobliwszym oryginalnie mówił podobno Fryderykowi, a król z przekąsem nazywał go „*panem nie pozwalam*”; koniec końców uwolnić go jednak kazano. Nie pozostawało Masłowskiemu nic innego, tylko dostać się do najbliższego Koenigsteinu, bo w stroju jaki miał do Drezna w zimną porę, trudno się było wybierać. Strój ten jakieśmy mówili, składał się ze zgrzebniej, bardzo brudnej koszuli, w części dziurawej; ze szkaradnego i zatłuszczonego kożuszka dziurawego, także ze spodni płóciennych i chodaków, które niegdyś były skórzane, a trzymały się tylko dzięki misternie poczepianym sznurkom. To co się nazywało czapką, było w istocie kawałem łachmana, w którym mógł się bardzo domyślny znawca, badać resztki futra i tkaniny, która sukniem być mogła. Nadto Masłowski nie posiadał narazie więcej nic, oprócz kawałka prostego sznura, znalezionej gdzieś na drodze, którym się opasywał. Wymizerowany był strasznie, a mimo biedy, oczy mu się śmiały i usta drgały, byle cośkolwiek zabawniejszego nad żołnierzy pruskich zobaczyć. Na polu bitwy pod Lowositz zdobył był sobie płaszcz, buty i niejaki zasób po austriackim oficerze, z którego trupem się spotkał; lecz w kilka godzin gwardya J. Kr. Mości łup ten sobie przynależny odebrała.

Masłowski jeszcze stał przypatrując się temu mniemanemu czy prawdziwemu Simonisowi, który go weale znać nie chciał; gdy Wangenheim szepnął mu, aby do kancelaryi poszedł po biulet, za którymby mógł się dostać do Koenigsteinu.

I w tej chwili zwrócił się do stojących cabinet-sekretarzy króla.

— Niech który z panów pójdzie napisać uwolnienie temu panu.

Z dwóch kandydatów do pisania, pierwszy który był zajęty pożywaniem tajemniczego zapasu wydobywanego z kieszeni, uczynił taki ruch, jakby mu niezmiernie było pilno spełnić rozkaz; lecz w ruchu tym, napozór gwałtownym, łatwo było dostrzedz, że mimo pośpiechu rad się był dać swemu koledze wyprzedzić. Poruszał się bowiem w miejscu, nogami tupiąc, przechylając, ale zarazem w zgarnianiu papierów trzymanyh szukając pretekstu do pozostania. Simonis czy téż jego Sozia zdawał się nie chcieć zrozumieć, że rozkaz się do niego stosował.

Skutkiem tego żaden z nich się nie ruszył, a major zniecierpliwiony, zawołał palcem wskazując pierwszego:

— Proszę iść, napisać bilet....

Masłowski tak był nawykły do podrzędnej roli, iż za próg się nie ruszył pierwszy. Widocznie nie rad z danego mu polecenia Simonis, (nazwijmy go tém imieniem) milcząc wyszedł szybko, nieoglądając się za siebie, wprost do domku sąsiedniego, w którym pracowali wojskowi pisarze i kancelarya przyboczna. Nie wielka przestrzeń rozdzielała go od kwatery króla. Masłowski wysunąwszy się za nim natychmiast, naprózno usiłował dogonić idącego przodem, który jakby naumyślnie pośpieszał i doszedł drzwi kancelaryi, nim pan Ksawery mógł za nim zdążyć.

Aż nadto było widoczném, iż unikał spotkania z więźniem, co pana Masłowskiego utwierdziło w przekonaniu, iż to był prawdziwy Simonis. Jaką on tu grał rolę? sługi czy zdrajcy? odgadnąć było trudno. Wrazie gdyby drugą przyjął na siebie, trzeba mu było przyznać odwagę niepospolitą: Masłowski się jój po nim nie spodziewał. Bądź co bądź jakimś zdrajcą był zawsze Simonis, albo króla pruskiego lub dwór saski poświęciwszy dla widoków swoich.

Panu Ksaweremu sprawiło to pewnego rodzaju obrzydliwość i obudzało w nim pogardę.

Gdy za Simonisem wszedł do małej izby, w której się znajdowali pisarze, znalazł tu ścisk, gwar i wrzawę, tak, że trudno się czego było dopytać. Niepodobne to było wcale do

królewskiej kancelaryi, ale raczej do jakiegoś kordygardy i gospody. Żołnierze różnej broni, obdartusy najosobliwsze, więźniowie, księża, przekupki, wszystkiego tu było pełno. Do stołów przy których pisano, docisnąć się było trudno. Pan Ksawery od progu się przypatrywał temu malowniczemu widokowi, gdy go z piórem za uchem, pisarzyna wezwał do drugiej izby. W téj już się był skrył ów Simonis. Była to kancelaryja osobna sekretarzy gabinetowych, mało co porządniejsza od pierwszej, ale przynajmniej niedostępna dla tłumu. Tu już za stołem przybyły sekretarz zajęty był pisaniem.

Masłowski w progu stanąwszy nie spuszczał go z oka.

— Dokąd się waćpan chcesz udać?—nie podnosząc nań oczów spytał piszący.

— Przez Koenigstein do Drezna, bo przynajmniej buty i koszulę spodziewam się dostać u J. Kr. Mości, jeżeli król ma ich dwie pary.

Simonis nic nie odpowiedział, widocznie znać nie chciał Masłowskiego, chociaż głos go zdradzał, i już omylić się ani wątpić nie było podobna.

— Czy mogę panu sekretarzowi—rzekł cicho Masłowski—służyć czém, jeżeli szczęśliwie do Drezna dopłynę?

Czekał na odpowiedź, ale téj nie otrzymał. Po pewnym przestanku, w ciągu którego pilno zajmował się pisaniem sekretarz, podniósł głowę, spojrzął na Masłowskiego, namarszczył się i palec położywszy na ustach, wnet się wziął znowu do wy-ciskania pieczęci na bilecie.

P. Ksawery nic już nie mówił nawet, uśmiechał się tylko szydersko. Simonis przygotowany bilet porzuciwszy na stoliku, wybiegł do pierwszej izby wrzawliwej, zahałasował tam bardzo, pokręcił się, wrócił, drzwiami okrutnie trzasnął za sobą, obejrzał się w okno poza którym chodziła straż, kiedy niekiedy się ukazująca za szybami; pobiegł do szafki, wziął z półki kawałek chleba razowego i przybliżywszy się do Masłowskiego wcisnął mu go w rękę, szepnąwszy: „Spörken na zamku...” Potém co najprędzej chwycił bilet już gotowy i począł po niemiecku krzyżeć na cały głos na Masłowskiego, aby sobie szedł do dyabła, dopóki cały. Otworzył mu drzwi łając jeszcze i zawołał na cały głos:

— Wynos mi się!...

P. Ksaweremu na śmiech się zbierało, ale chleb za koszulę wcisnąwszy wyszedł bilet trzymając w ręku. Niemiał już tu co robić, obejrzał się tylko ku obozowi saskiemu, w którym zamęt i hałas panował niesłychany, aże jeszcze most którym wojsko w nocy przeszło stał naprzeciwko Koenigsteinu, powoli się skierował ku niemu. Po drodze pełno spotykał Prusaków, którzy już dokoła Sasów posterunki zajmowali. Naprawdę też, oprócz oficerów trudno było jedno wojsko od drugiego rozpoznać; głodnym Sasom dano chleba, piwa i wódki i wszyscy popołu z Prusakami chciwie się odżywiali, bo od dni trzech mało który co miał w gębie. Po drodze leżały konie zdechłe, wozy połamane i ludzie którym nagłe osłabienie lub choroba dalej iść nie pozwoliła. Widok to był straszny i litość obudzający. Nie było jednak komu litować się i ratować, tak każdy sobą i własnym losem był zajęty. Masłowski szedł, stawał, patrzył ale i jemu spieszyć się trzeba było, bo i on ostatnich dni wiele sił stracił, a pomódz nikomu nie mógł. Po razy kilka zatrzymywały go strażę pruskie, pokazywał swój pass i szedł dalej. Minęło go kilku saskich oficerów puszczonych na słowo, popatrzeni i poszli. Most na rzece jeszcze był cały, przeszedłszy go powoli skierował się na zamek. Tu resztki gwardyi szczupłe, straż trzymały u bramy. Wdrapawszy się na górę i wpuszczony przez sklepienie wrota do środka, p. Ksawery zaraz w nich spotkał się z Wernerem, paziem Brühla, który poznawszy go krzyknął.

— Prowadź mnie — rzekł — do J. Excell, żebym przynajmniej miał się w co odziać i powrócić do Drezna.

Trudno się tu było czegokolwiek dopytać, taki popłoch panował na zamku. Werner przy najlepszej chęci usłużenia dawnemu towarzyszowi, nie mógł narazie lepiej mu się przysłużyć, jak wprowadzając go do ciepłej izby i obiecując jedzenie.

Wypocząwszy i odzyskawszy swój humor, Masłowski potrafił nawet już między paziami nabyć sobie na kredyt ubranie porządne i ciepłe, nie chciał go jednak włożyć, pragnąc przedstawić się ministrowi tak, jak z niewoli powrócił.

Z południa ledwie wezwano go do domu komendanta, w którym i król i Brühl się byli schronili. Minister widząc

zbliżającego się odartego człowieka, cofnął się ze wstrętem przed nim, gdy Masłowski dał się mu poznać.

Załamiał ręce Brühl.

— Co się z waćpanem dzieje?

— Tak mi się służba przy boku W. Ekscelecyi poszczęściła — rzekł Ksawery — iż na całe życie będę miał co opowiadać i o czém pamiętać.

— Jakim sposobem?

Masłowski przerwał.

— Opowiadać W. Ekscelecyi takie smutne przygody moje, byłoby zadługo, dosyć że mnie Prusacy zmusić chcieli do służby i miesiąc im drwa rąbać musiałem, nie chcąc karabina nosić; nareszcie mnie uwolniono.

— Pomścimy się za to wszystko! — szepnął Brühl — A cóż waćpan myślisz robić z sobą?

— Ja muszę do Drezna — rzekł Masłowski. — Z tamtąd prawdopodobnie na Wrocław do Polski powrócę, bo tu się już W. Ekscelecyi przydać nie mogę.

— Jako? i owszem — zawołał Brühl — dwór mój rozbity. My prawdopodobnie też do Polski na jakiś czas z królem się udamy. Waćpan zostaniesz przy mnie.

Masłowski się skłonił.

— Ale proszę W. Ekscelecyi o pozwolenie udania się do Drezna, bo tam wszystko co mam zostało, a w dodatku i długi.

Brühl roztargniony nie zdawał się słuchać, chodził po izbie z namarszczoném czołem.

— Gdzie waćpana trzymano? — zapytał.

— Przy wojsku, razem z połapanemi włóczęgami. Wycierpiałem wiele, lecz nabrałem doświadczenia: nie skarżę się.

— Cóż to tam za wojsko tego króla — przerwał Brühl — to zbierana drużyna, kupa rozbójników, obieżyświaty; kogo tam niema: to być musi lichota!

— To prawda — rzekł Masłowski — ale kij i groźba trzyma to w takiój rzyzie, że ot biją najprawowitszych w świecie Austryjaków.

— Przypadek i nieopatrzność — szepnął Brühl.

Zamilkł i zbliżywszy się do Masłowskiego zapytał cicho:

— Słyszałeś tam waćpan co? cóż myślą dalej? Co mówią o dekrete banicy, który Rzesza wydała przeciw królowi?

— Śmieją się—rzekł Masłowski.

Brühl spojrział srogo.

— Jak? cóż to ma znaczyć?

— Ale bo to ta nieszczęśliwa omyłka druku!

— Jaka?

Brühl nie wiedział nic. Wistocie drukowany dekret zawierał najszkaradniejszy *lapsus*, jakiego się mógł zecer kiedy dopuścić. Któż wie czy niepopołniono go umyślnie. „*Spięszące posiłki państwa*“ drukarz zmienił na „*nędzne posiłki*“¹⁾.

Nieśmiało wytłumaczył Masłowski, co się w dekrete znajdowało. Minister zamilkł.

— Król J. pruski—dodał—wszystko to przypisuje W. Ekszellencyi, do której ma największy żal; to też w obozie nieraz się słyszeć dawały odgródki, że skoro czas będzie potemu, oczyszczą Prusacy i kamienia na kamieniu nie zostawią, w dobrach W. Ekszellencyi w Nischwitz pod Wurzen, w Grochwitz pod Herzbergien, a nawet na zamku w Pforten na Łuzycach.

— Niedoczekanie ich!—mruknął Brühl.

Masłowski uzyskawszy tytułem pożyczki zasiłek i pożegnawszy ministra, który dłuższej rozmowy unikał, wybrał się do towarzyszków. Nazajutrz miał odjeżdżać do Drezna generał Bellegarde, przy nim więc wybrać się postanowił.

Prusacy od czasu osadzenia i zabrania w niewolę Sasów, daleko mniej się obawiając, nie pilnowali już tak komunikacji pomiędzy Dreznem a resztą kraju. Królowi dozwolono ściągnąć ztamtąd co mu do podróży było potrzebném, gdyż stanowczo za sześć dni do Polski jechać wprost miano. August III najmocniój przekonany, iż to wygnanie długo się pociągnąć nie może, przyspieszał sam wybór na sejm i wypoczynek w Warszawie. Brühlowi też dosyć było pilno wyrwać się z zasadzki i znaleźć dalej nieco od nieprzyjaciela, który się nań odgrażał.

Niezapomniawszy o owym kawałku razowego chleba, przeznaczonym dla Spörkena, p. Ksawery umyty, uczesany, odziany, podobniejszy do człowieka, weselszy coraz, dosiadł jakiegoś lichego konia pożyczonego mu tutaj i pokłusował za generałem do Drezna.

¹⁾ Zamiast *Eilenden Reichshülfe*, wydrukowano: *Elende*.

Dostał się tu jeszcze w porę, aby po miesięcznej przeszłości niebytności dostrzedz niezmierną różnicę między ową stolicą Augustów mocnego i słabego, a miastem zajętem przez pruską załogę.

Nietknięto wprawdzie zamku, w którym królowa, niezważając na nieprzyjemności spotykające ją i niebezpieczeństwo na jakie narażoną być mogła, chciała pozostać do końca; lecz przebrzmiała w nim muzyka, teatr był zamknięty, włosi rozpedzeni, liczny dwór zmniejszył się dezercyą, prześladowaniem, brakiem funduszków na jego utrzymanie. Król Fryderyk który całą zajmował Saxonią i kiedy niekiedy wypłacał coś komuś fałszywymi pieniędzmi, które umyślnie na te ciężkie czasy bić kazał, królowej pensyi odmówił, życząc aby się o nią udała do męża i ministra.

Cicho więc i smutno a pusto było na zamku królowej.

W mieście królowało wojsko i militarny panował porządek. Na wałach i murach ustawiono już owe magdeburskie działa, w pysznym pałacu japońskim zrobiono skład słomy dla wojska; koszary na Nowém mieście, gmach korpusu kadetów, geardhaus, ratusz zmieniły się na lazarety, do których zwieziono rannych z pod Lowositz i ze wszystkich utarczek. W ulicach więcej widać było wojskowych niż mieszczan i ludu. Nad Elbą dwadzieścia kilka pieców z saskiej mąki, na saskiem drzewie wypiekało chleb dla żołnierzy Fryderyka. Generał Wylich rządził w mieście. Z rozkazu protektora Saxonii, wprowadzając słuszną oszczędność, kancelaryom ze 190,000 talarów, pensyą zredukowano do trzydziestu. Talary z dobrego srebra zabierano do kass pruskich, a mieniano je na Efrainy różnego rodzaju, w których miedzi więcej niż srebra było.

Masłowski wjechawszy do Drezna poznać go nie mógł: ani owych lektyk złożonych, ani świetnych ekwipażów, ani elegantów dworskich, nie widać było nigdzie. W pałacu Brühla Prusacy zrobili odwach i szpital. Pożegnawszy generała, któremu towarzyszył, Masłowski pojechał wprost do Fuchsowej. Tu go bodaj za zabitego miano. Gdy stanął u drzwi i szukał oczyma, komuby powierzył konia, spostrzegła go i poznała gospodyni i jak szalona ze wschodów ku niemu zbiegła.

Zabrakło jej tchu i głosu, gdy go witać zaczęła. Ludność domu całego zbiegła się zmartwychwstałego oglądać. Ma-

słowski ledwie z serdecznych uwolniwszy się uścisków, poszedł na górę. Szczęściem Fuchsowa obroniła się była od pruskiego oficera, którego jej chciało dać na załogę; mieszkanie było wolne, a rzeczy, z wyjątkiem niewielu obróconych na użytek w rachunku należności, znalazły się jeszcze całe. Fuchsowa wchodziła, wychodziła, śmiała się, płakała; rozpowiadała jak ją officer chciał gwałtem pocałować, jak mu się heroicznie obroniła, i nie dała spocząć Masłowskiemu, póki nie postrzegła że słuchając jej, padłszy na łóżko, mimo wymownego opowiadania usnął głęboko i chrapał.

VI.

Nazajutrz rano, pan Ksawery nie zapomniawszy o chlebie przeznaczonym dla barona Spörkena, poszedł najprzód do kościoła. Królowa najczęściej teraz słuchała mszy świętej w kaplicy małej zamkowej, nie pokazując się w łoży. I tym razem Masłowski pustym go zastał prawie. Przed wielkim ołtarzem, kilka osób się modliło, msza była cicha. Nie uważał nawet że u góry w jednej z łoż odsunięto firankę i kobieta zakwiefiona uklękła się modlić. On też modlił się, czegoś smutniejszy dziś niż zwykle, przynajmniej chwilowo milczący ów kościół przejął go jakimiś przypomnieniami kraju, młodości, nabożeństw okazałych i głośnych. Dom ojcowski, życie owo szlacheckie, towarzysze, zabawy, wszystko mu przyszło na pamięć i zateśknął do powrotu; miał już dosyć tego co przecierpiał, a choć z początku śmiał się ze wszystkiego, na krwawém pobojoisku po raz pierwszy uczuł, że nie w każdej chwili i nie z każdego wypadku śmiać się godzi. Ta wojna, w której żadna strona nie pociągała go ku sobie, gdzie czasami mimowolnie rad był pobitym Sasom, niekiedy litował się nad niemi, oburzając przeciw Fryderykowi, nużyła go już, jak zbyt długo przeciągnięte widowisko.

Po skończonej mszy wszedł powoli na zamek, zamierzając szukać generała Spörkena, gdy u wschodów zastąpiła mu drogę piękna Pepita. Spojrzała nań i mimowolnie załamała piękne rączki.

— Mój Boże! — zawołała — cożeś to waćpan wycierpieć musiał, kiedy tak na nim znać doznauc cierpienie. Myśmy nie o nim nie wiedzieli.

— A kogożby to obchodzić mogło, co się zemną stało, przy tylu innych nieszczęściach!—rzekł wesoło witając ją Masłowski.

— Ja nie wiem—odparła żywo panna Nostitz—nie wiem czy kogo to obchodziło, ale zaręczyć panu mogę, że ja często myślałam o nim.

— Jużciż nie tak często jak o Simonisie?—przebąknął złośliwy Masłowski.

Boronówna się zarumieniła i potrząsnęła główką tylko.

— A wie pani com robił przez ten miesiąc—zawołał Masłowski—rąbałem drwa na kominek króla JM. pruskiego, nosiłem wodę, pasłem konie, wszystko to dlatego żem munduru włożyć nie chciał. I chodziłem bosi, w starym kożuszk, aż mi samego siebie strach było. Nareszcie zabrawszy całe wojsko saskie, mnie uwolnili widząc że żołnierza nie zrobią z takiego kloca niezgrabnego.

Panna Nostitz słuchała z uwagą. Ksawery spojrzął na nią, ale i na jej twarzy, choć spokojnie na zamku siedziała, znać było przebolełe dni trwogi i upokorzenia. Zbladło świeże lice, smutek oblewał je i zamyślenie w jej wieku przedwczesne. Zestarzało biędne dziewczę. Nie śmiała go pytać o nic, długo, ale się wpatrywała nieśmiało, wahała się, jakby niewiedząc od czego zacząć, aby się niewydać niepotrzebnie.

Oszczędzając jej zakłopotania, Ksawery odezwał się:

— Widziałem kawalera de Simonis w nowych jego obowiązkach, ale dopiero ostatniego dnia; mówić z nim jednak ja nie mogłem, a on zemną nie chciał.

Panna Nostitz przystąpiła bliżej.

— Gdzie? jak go pan widziałeś? co robi? nic nie polecił panu?

Milcząc dobył Masłowski kawałek chleba z zasukni, i trzymając go w ręku, ukazał baronównie.

— Ten chleba kawałek przeznaczony dla barona Spörken...

Dziewczę sięgnęło po niego ręką, ale p. Ksawery przypomniał że powinien był oddać baronowi.

— Chodźmy więc do niego,—zawołała Pepita—chodźmy.

W pokoju generała siedziała hrabina Brühlowa. Na widok Masłowskiego wymizerowanego, znędzniałego, posypały się pytania, na które długo odpowiadać musiał.

Słuchając opowiadania Brühlowa płakała, ale łzy to były nie bólem, tylko gniewem wyciśnięte. Na twarz jej buchały płomienie, w oczach błyskał ogień dziki. Spörken tymczasem ów chleb w drugim pokoju rozciął i wyjął zeń cyfrowaną kartkę, ledwie czytelną, którą odczytać się starał. Hrabina Brühlowa poszła mu dopomódz, a baronówna została sam na sam z Masłowskim. Pytaniom nie było końca, przybyły musiał opowiadać, a Pepita słuchając, często ocierała łzy z oczów.

— Zostaniesz pan z nami?—spytała w końcu pocichu.

— Nie, pani—odpowiedział Masłowski,—jam tu nie potrzebny wcale, a w domu stary ojciec może choć teraz zażęknął za mną, gdy się o wojnie dowiedział. Cóż wam tu ze mnie?

Spojrzała baronówna.

— Gdybyś pan w istocie nie był nam potrzebnym, nie wątp że byłbyś miłym zawsze. Jednym więcej uczciwym i szlachetnym człowiekiem czuć przy sobie, to zawsze szczęście wielkie. My ich tu nadto nie mamy!

Doświadczamy, niestety, co może siła, szczęście i niedola. Powoli opuszczają nas wszyscy, zostajemy same; ludzie biegną kłaniać się wschodzącej, choćby łunie pożarnej.

I zamilkła w okno spoglądając a potem zwróciła się doń zmieniając rozmowę:

— Powiedz mi pan jak wygląda Simonis? jak go znalazłeś, gdzieś go widział?....

I niedokończywszy tego pytania, zarumieniona dodała zaraz:

— Nie posądzaj mnie pan: nie rozpytuję o niego dlatego żebym miała czulsze powziąć dlań sentymenty. Jestem dosyć szczerą i śmiałą, że do tegobym się przyznała; ale nie tak jest. Pytam, bo mam dla niego obowiązki wdzięczności: z mojej przychyny rzucił się w paszczkę lwu, (poprawiła się nagle), przepraszam, wilkowi: uczynił to dla mnie. Wiesz pan w jakim znajduje się położeniu. Należy mu się, choć wspomnienie i o los jego troska.

Masłowski słuchał z uwagą, głos jej drżał, ale w istocie nie odzywała się w nim czułość, raczej obawa i sumienie. Z największymi więc szczegółami opisał jej spotkanie, znalezienie się jego i nadzwyczajne ostrożności, któremi się otaczał widząc z nim nawet bez świadków.

Słuchając Pepita ręce załamała.

— O nieszczęśliwe położenie, które nas zmusza, nas kobiety, mnie nawet do mieszania się w takie sprawy, z których co chwila płyną łzy, a co moment krew wytrysnąć może.

Obejrzała się na drzwi pokoju, w którym była Brühlowa.

— Nie dziwuję się hrabinie, ją to nawet bawić może; ale mnie! mnie! I posługiwać się często takimi ludźmi, do których wstręt czujemy i czynić na co się wzdryga niewieście serce.!

Spuściła oczy.

— Już ciż do tych ludzi w których się czuje wstręt, nie liczy panna baronówna tego nieszczęśliwego Simonisa.

— Dla niego nie mam ani wstrętu, ani nadzwyczajnej sympatii—odpowiedziała z wyrazem szczerości—mam obowiązki.

! na czém się to skończy!—zawołała nagle—i kiedy się to skończy. Król wyjeżdża do Polski, my z królową zostajemy same, kobiety, na wyłomie....

I zakryła sobie oczy.

Masłowskiemu żal się zrobiło dziewczęcia, spojrzął na nią: łzy w oczach miała.

— Gdybym ja się pani na co mógł przydać!—rzekł cicho.

— Nie chcę was mieć na sumieniu—odparła baronówna. Prawda, że na świecie, teraz szczególnie czuję się bardzo osamotnioną; że czyjeś silne ramię i poczciwe serce brata, bardzo by mi było pożądanem: ale możnaż wymagać takiej ofiary i czémżebym ją mogła opłacić? ja co nie mam nic, nawet swobody rozporządzania sobą. Ja nie należę do siebie—dodała—kazano mi się poświęcić dla interesów królestwa. Żołnierze oddają za kraj życie, dlaczegóżbym ja szczęścia oddać nie miała?

Te wyrazy szybko wyrzekłszy, panna Nostiz wybiegła nie patrząc na Masłowskiego, który przez chwilę pozostał jak wry-

ty u okna; potem przeszedł się po pokoju, a gdy baron Spörken wyszedł, pożegnał jego i hrabinę Brühlową.

— W Pan zostajesz z nami?—zapytała żona ministra—która pragnęła do swoich intryg wmieszać i mieć pod ręką jak najwięcej osób.

— Jego Ekscellencya kazał mi wracać do Polski, gdyż dworu będzie w Warszawie potrzebować—odezwał się Masłowski. Muszę być posłusznym, jednakże nie wiem kiedy wyjadę, bo wypocząć muszę i czuję że drodzebym teraz nie podołał, po służbie u Prusaków...

— Dopóki waćpan nie wyjedziesz—dodała hrabina mierząc go oczyma, w których siłę wierzyła jeszcze—proszę się zgłaszać do mnie.

Z tém Masłowski wyszedł.

Nie mając nic do czynienia, umyślnie przesunął się po mieście, ciekaw przeistoczeniu jakiemu uległo. Znajomych nie spotykał prawie nikogo, inna zupełnie ludność krążyła po ulicach, miasto całe wyglądało na koszary. Nierychło znużony i znudzony pan Ksawery powrócił do mieszkania. Ostatnia rozmowa z baronówną tkwiła mu w myśli, gniewał się sam na siebie.

— Nietylko pan stolnik ale ja sam sobiebym dał na kobiercu, gdybym się miał w niemieckiej baronównie zakochać dlatego, że jej oczy czasem łzami zachodzą, a w głosie brzmi coś tak serdecznego; ale Pepita istotnie niebezpieczna. Już mi się do domu odechciało, choć rano miałem najmocniejsze postanowienie.

Uderzył pięścią w stół gniewnie.

— Nie wart jestem być polskim szlachcicem!

Wyrzuty te jednak czynione samemu sobie nic nie pomogły, obraz pięknej baronówny stał mu przed oczyma. Masłowski nie mając czém się rozerwać, aby się od téj zmory, jak powiadał uwolnić, położył się spać z rozpaczą.

VII.

Nadeszła zima, która dała odetchnąć Fryderykowi, a raczej do nowój, upartszój i straszniejszój przygotować się walki.

W Dreźnie napozór nie zmieniło się nic. Na zamku ta sama gromadka wiernych, coraz szczuplejsza otaczała królową, ścisnąc się i kupiąc koło niej. Tu wrzała codzien rosnąca nienawiść przeciwko Fryderykowi, z każdym dniem potęgująca się namiętności i najrozpaczliwsze przeciwko niemu spiski. Na czele najczynniejszych nieprzyjaciół jego, stała zemstą pałająca hrabina Brühlowa. Przedłużające się położenie to, które co chwila pogorszać się zdawało, rodziło szal jakiś bezsilny, rzucający się do wszelkich środków możliwych przeciwko Fryderykowi. Ztąd wychodzili potajemni posłańcy śledzący każdy krok jego, upatrujący zręczności, w którejby podstępem, zdradą, opanować go można, pochwycić, nawet pozbawić go życia. Nie zastanawiano się ani nad trudnością wykonania planów podobnych, ani nad brakiem sił i narzędzi. Posługiwano się ludźmi jacy się nastreczali, wierzone we wszystko co przynosili płatni szpiedzy, łudzono się możliwością tego co było niepodobieństwem.

Z drugiej strony król pruski, który tak zwanych swych: „*cujons*” opłacał sowicie, przez rozsianych po całym kraju, w postaciach różnych najemników, uwiadomiony był o usposobieniach przeciwko sobie dokładnie, a jeśli nici żadnego spisku schwycić nie mógł, miał się na baczności, czując że one go otaczają. Brühlowa posyłała ludzi do kwatery Fryderyka, król pruski słał na dwór saski coraz gęstsze szpiegi. Z obu stron ostrożności były największe, owoce tego potajemnego śledzenia bardzo szczupłe. Fryderyk wreszcie z rodzajem fatalizmu zaniechał zbytnej ostrożności, spuszczać się na szczęście swoje. Brühlowa, królowa, generał Spörken, z zaciętością trwali w swych zamiarach.

Simonis namówiony, wyprawiony zręcznie dostał się do kancelaryi, otrzymał miejsce sekretarza gabinetowego; i choć z największymi ostrożnościami, przysyłał wiadomości o projektach, miejscu pobytu, sile straży otaczającej i ludziach, których można było pozyskać. Oprócz niego kamerdyner króla Glasau, zjednany był oddawna, opłacony i baron Spörken z hrabiną Brühlową usiłowali go skłonić, aby królowi wyspał do czekolady proszek, który mu powierzono. Glasau wziął go wprawdzie, ale nie przyrzekł że użyje: wstręt jakiś i obawa go wstrzymały.

Ludzono się tém, iż zasadzka, których już przygotowano kilka, potrafi żywcem pochwyć króla i uwięzić go do austriackiego obozu. Środek ten mniej się wydawał wstrętnym, a nawet łatwiejszym do wykonania.

Tymczasem król się z miejsca na miejsce prznosił, osnute plany niespodzianie się obróciły w niwecz, a Glasau naglony, ostatecznego środka użyć się wahał.

Pobożna królowa, chociaż nie wiedziała o środkach, domyślała się spisków i modliła z dobrą wiarą za ich wykonanie szczęśliwe. O. Guarini nie pochwalając nic, nie biorąc udziału w niczem, bardzo zręcznie umiał tłumaczyć, nawet przykładami biblijnymi, jak dla ocalenia kraju i wiary, daleko zejść było można. Całe to tajemnicze krzątanie się, pokrytém było dla oczu ludzkich pozorną rezygnacją; lecz baczniejszy wzrok łatwo się istnienia zabiegów skrytych mógł do badać.

Stary generał Wylich, komendant Drezna ówczesny, jeden może nie domyślał się, nie przypuszczał, aby coś podobnego istnieć miało.

Wyżły jego przychodziły często z doniesieniem że na zamku coś się smaży, że nieustanne narady, biegania, szeptu, nie mogą być bez celu i znaczenia. Żołnierz i człek prosty śmiał się z tego i odpowiadał że się bab i babskich intryg nie lęka wcale.

Ciągnęło się to więc coraz żywiej wzmagając, bo czas i bezkarność ośmielały hrabinę Brühlową.

W początku zimy, Simonis który miał ciągłe stosunki z generałem Spörken, umiał bardzo zręcznie wyrobić sobie pozwolenie a nawet polecenie do generała Wylicha. Sam król ustnie kazał mu ostrzedz komendanta Drezna, iż na zamku knują spiski, że wysyłają przekupionych, że stosunki mają nawet w jego otoczeniu, których dotąd dojść było niepodobna.

Słuchając téj instrukcyi, Simonis musiał zebrać całą siłę swą i odwagę, aby nieokazać, jaką go przejęła trwoga. Spodziewał się wprawdzie urzędowej missyi, ale nigdy tak niebezpiecznej, tak ciężkiej.

Fryderyk który z posług Szwajcara dosyć był zadowolony, a nie powziął dotąd najmniejszego podejrzenia, kazał mu dać małą gratyfikacją i prędki powrót zalecił. Ktoby był wi-

dział naówczas Simonisa po krótkiej rozmowie wychodzącego z pokoju, z zaschlami usty i językiem do podniebienia przylgłym, bladego, z oczyma obłąkanemi, byłby się może domyślił, jaką trwogę miał w duszy. Simonis wiedział bardzo dobrze iż narażał się na szubienicę. Nierychło cokolwiek mógł przyjść do siebie, a w drodze dopiero wstąpiło w niego cokolwiek odwagi. Przychodziły mu wszakże myśli i przypuszczenia tak straszne, że w podróży już chciał się wyrzec wszystkiego i gdziekolwiekby szukać bezpiecznego schronienia.

Glasau wiedział o Simonisie, tak jak on też znał całą historią przekupionego kamerdynera, nad którym dozór miał polecony a na charakterze jego nie polegał wcale. Zmuszony oddalić się, lękać się zaczynał aby Glasau trwogą przejęty lub pochwycony na jakim uczynku, nie wydał jego współnictwa. Jechał do Drezna, gdzie na dany znak łatwo go mogli pochwycić.

Im bardziej zbliżał się do stolicy, tém ta trwoga więcéj go opanowywała. Nawet obraz pięknej Pepity, dla której poświęcił wszystko z długióm od niej oddaleniem, stracił na potędze i uroku. Zbliżenie się wreszcie do Fryderyka i poznanie lepsze charakteru energicznego wodza, kazało mu wątpić na jaką stronę waga zwyczajtwa się przechyli.

Szczególniej ta ostatnia wątpliwość podziałała na Szwajcara, w którego charakterze przemagała piecza o interes własny i wyratowanie, naprzód siebie. Przybywał więc do Drezna w usposobieniu wątpliwém, z obawą wielką, ostygły znacznie, namyślając się co począć dalej. Zaczynał wierzyć w ducha, że mimo 700,000 sprzymierzonych przeciwko niemu, Fryderyk ze swemi 260,000 może zwyciężyć. Naówczas Simonis był zgubionym. W drodze jednak nie uciekł do Szwajcaryi, chociaż wielką miał do tego pokusę. Chciał widzieć naocznie jak rzeczy stały na dworze królowej.

Rozbrojenie wojsk saskich, wcielenie ich do pruskiej armii, wyjazd króla i Brühla do Polski, moralne znękanie Saksonii, zwycięztwa odniesione nad Austryakami, wszystko to przyczyniło się wielce do zachwiania postanowieniem Simonisa, poświęcenia sprawie dworu saskiego.

Jadąc z poleceniem króla, musiał naturalnie stawić się, zameldowawszy u bramy, wprost generałowi Wylichowi.

Godzina była bliska południa, gdy go wpuszczono do komendanta, który właśnie się do obiadu zabierał. Stary żołnierz nabrał był obyczajów cynicznych króla swego i przesaadzał jeszcze grubijaństwem i szorstkością.

W izbie do której go wpuszczono, stół był nakryty na dwie osoby. Simonis przez drzwi otwarte postrzegł niezmiernie zdziwiony, siedzącą dawną swą znajomą pannę Doris, wyróżowaną, wybieloną i dosyć strojną, która na widok jego o mało też nie krzyknęła.

Wylich z rękami w kieszeniach, z fajką w ustach powitał go z wysokości swój komendanckiej godności.

Nieznacznie, po przywitaniu, dał mu do zrozumienia przybywający, że miał doń poufne od króla polecenie.

Wylich panie Doris, odwróciwszy się kazał iść... do diabła. Francuzka schowała się tylko do trzeciego pokoju, od którego komendant drzwi zamknął. Naówczas Simonis, łagodząc nieco, zdał mu rozkazy królewskie, dotyczące się spisków i knozań zamkowych.

Wylich wysłuchał ustami kręcąc.

— Dobrze, dobrze—rzekł—posłów nie ścinają ni wieszają, ale to są bzdurstwa, któremi królowi JMości zdala nabijają głowę. To moja rzecz. Ja tu wiem o najmniejszym szepcie, mojego oka nic nie uchodzi. Nie ma się tu czego lękać. Królowa się modli, Brühlowa się wścieka i po wszystkim.

Ręką machnął.

— Co więc?

Simonis odpowiedział na pytań kilka i zamilkł. W pół godziny skończyła się i wyczerpała rozmowa, Wylich stanął w oknie, a Simonis zabierał się do wyjścia.

— Panie generale—rzekł—mam polecenie dowiedzenia się cokolwiek i przypatrzenia zblizka temu co się w zamku dzieje; oznajmuję więc o tém.

Wylich się rozśmieł.

— A wleź sobie choć na wieżę i rozpatruj się w czém chcesz, to mi wszystko jedno.

Uwolniony w ten sposób, Szwajcar wy dobył się na swobodę i poszedł szukać mieszkania, któreby nazbyt na oku nie

było. Wynalezienie łątwa nie przyszło, tak Prusacy wypełniali miasto całe. Prywatne nawet domy, gdziekolwiek obszerniejsze znalazło się mieszkanie, zajmowali chorzy oficerowie i gawieź wojskowa.

O zmroku już wybrał się z pewnemi ostrożnościami, aby łątwa nie być poznanym i wyszpiewowanym do zamku. Nie bardzo pewnym był do kogo się udać dla dowiedzenia o baronównę, gdy na dole u wschodów spostrzegł Masłowskiego. Pan Ksawery opóźniwszy bez powodu wyjazd do kraju, kręcił się częściej niż było potrzeba około zamku i sam przed sobą wyznawał, że zasługiwał na to, co mu ojciec przyrzekł. Nie chciał się zgodzić na to, żeby był zakochany w Baronównie, ale mówił sobie iż go bardzo zajmowała i miał wielką dla niej... sympatyą i przyjaźń.

Posługiwał jój jak umiał, jak mógł, a korzystał z tego, żeby ją widywać jak najczęściej. Widok twarzy Simonisa przykre bardzo na nim uczynił wrażenie. Ścisnęło mu się serce. Nie umiał nawet pokryć niechęci, z jaką rad nie rad go witał. Zwykle wymowny aż nadto, tym razem stał jak słup.

— Chciałbym się widzieć z baronówną — odezwał się Simonis pocichu.

Masłowski wskazał mu palcem drogę na górę, ale prowadzić go nie miał ochoty, ani dłużej rozmawiać. Poszedł więc rozglądając się Szwajcar i trafił do mieszkania barona Spörkena, który go z niewymownym wzruszeniem przywitał. Lecz że sam przez się nic nie czynił, ruszył się natychmiast dać znać hrabinie Brühlowej.

Napomknęliśmy już kilkakrotnie o roli, jaką odgrywała hrabina. Namiętnój tój, nieszczęśliwej, zbłąkanój kobiecie, potrzeba było zawsze czegoś do zabawy, coś coby ją budziło do życia i usnąć jój nie dało. Od wyjścia za mąż gorączkowo tak chwytła się wszystkiego, co sztuczny cel próżnemu sercu jej dać mogło. Wychowywała dzieci, któremi już rozporządzono, i które się jój wprzód z rąk wrywały, a teraz zupełnie uciekły. Miłości ich nawet zyskać nie mogła. Zaprzątała się tak z kolei wszystkiem co życie może uczynić znośnem, co o ranach pozwala zapomnieć. Fantazyje czasem dochodziły do szaków,

po których znowu następowała apatya, milczenie, ziewanie, nudę. Naówczas gorączkowo zajmowała się jakimś Blumli, jakimś Seyfertem, starała się z nich uczynić ludzi... ideały serca, a kończyło się to jak ze Seyfertem pod pręgierzem, jak z Blumli na wyczerpaniu i pogardzie.

W takich paroksyzmach pragnień i rozczarowań przeżyła Brühlowa aż do dni ostatnich; Fryderyk Wielki obumierając już wskrzesił do życia, do zemsty. Rzuciła się z całą gwałtownością charakteru swojego do wojny przeciwko niemu. Prowadziła ją jak dotąd wszystkie życia sprawy, nie znając miary w namiętności i nieprzebierając w środkach.

Bezskuteczność starań tych, zaczynała ją nudzić i niecierpliwić. Czekać nigdy nie umiała. Życie przy królowej znękanéj, fanatycznie pobożnéj, pół dnia spędzającéj na religijnych praktykach przykrzyło się. Brakło jéj tego dworu młodego, dawnych lat, z którego sobie wybierała ofiary. Nie była już tą panią wszechwładną, na której skinienie twarze się zmieniały, jawili się i znikali ludzie.

Gdy baron Spörken dał jéj znać o przybyłym Simonisie, hrabina była właśnie w tém usposobieniu apatyczném, znużona, tęskniąca prawie do śmierci. Wiadomość ta poruszyła ją. zelektryzowała. Zerwała się i pobiegła.

Simonis już dawniej był wpadł jéj w oko i—fantazya została nie spełnioną. Miała mu za złe, że tak łatwo mógł się jéj wyrzec. Trochę zemsty czuła w sercu. Niepokazała mu jéj wszakże i wyszła, spojrzawszy w zwierciadło, chcąc być piękną, ożywioną, więcéj udając gorączkę niż w istocie rozgorączkowana.

Wchodząc podała mu rękę.

Spörken usunął się nieco.

— Przecież! rada jestem że was widzę nareszcie. Tak długo czekałam wiadomości, tyle czasu upłynęło bez skutku! Cóż się dzieje? co robicie! My z założonemi rękami, a Prusacy zwyciężcy. Król...

— Pani—odezwał się Simonis—czyniliśmy co mogli, nie było sposobu stanowczego przedsiębrać kroku.

— A Glasau? wszakże to każdego dnia się spełnić może. Cóż mówi Glasau?

— Ociąga się, zwleka—rzekł pocichu Simonis—mieliśmy nadzieję, nie uciekając się do tego środka.

— Tu nie ma co w środkach przebierać—przerwała namiętnie Brühlowa.— Szkodliwego zwierzęcia pozbywa się na wszelki sposób. Glasau zdradza nas, a pan... pan nie dosyć go przynaglasz... Wszystkie trzy plany pochycenia tak wybornie osnute w niwecz się obróciły.

— Nie z naszój winy—odparł Simonis— król zmieniał kwaterę, a z nią zmieniły się warunki.

Brühlowa odwróciła się pogardliwie, lecz wprędce zmieniając usposobienie, łagodniej przemówiła i pociągnęła Simonisa ku oknu. Tu jakby w głąb jego duszy zajrzeć chciała, męcząc go wejrzeniami wyzywającemi, badawczemi, zagadkowemi dłań; przedłużyła rozmowę niepotrzebnie, niedając mu odejść i powracając do jednych zarzutów, wymówek i badań.

Simonis dosyć zręcznie zrazu uniewinnił się, potem tok téj rozmowy zmieniać się zaczął. Brühlowa wywodziła skargi, malowała swe położenie, uczucia, czyniła zwierzenia, starała się okazać zajmującą, czułą, nieszczęśliwą. Z niezmierną zręcznością i świadomością środków, z zalotnością kobiety, która przeszła przez długie doświadczenia, starała się wywrzeć wrażenie na Simonisie, zapisać tę chwilę w jego pamięci, słowem, zawrócić mu głowę.

Długą godzinę trwało to, póki Szwajcar nareszcie nie zebrał się na przestrzeżenie o tém, z czém go Fryderyk wyprawił. Zalecał ostrożność. Śmiała się Brühlowa.

Spörken znużony oczekiwaniem, wyszedł zostawującich sam na sam. Przedłużyło to jeszcze narady, w ciągu których hrabina tyle obcych wtrącała przedmiotów, iż byłyby mogły trwać nie wiem jak długo, gdyby baronówna, dowiedziawszy się od generała o przybyciu Simonisa, nie weszła do pokoju.

Przywitanie było z obu stron pełne zakłopotania jakiegoś i chłodniejsze niż spodziewać się było można. Pepita nigdy nie miała nazbyt gorącego uczucia dla człowieka, dla którego musiała być tylko przynętą. Simonis wahał się już czy iść dalej... spotkali się więc jak często po długim niewidzeniu bywa, zimniejsi daleko. Hrabina szydersko popatrzywszy na oboje, nie dozwoliła im zostać sam na sam i postanowiła być natrętną.

Słów kilka zaledwie mogli przemówić do siebie; baronównie zwykle wymownej i odważnej, słów brakło.

— Nie spodziewaliśmy się pana bardzo—rzekła—wiemy jak trudno ze szpon króla się wydobyć.

— Ja też na sznurku tylko wypuszczony jestem z klatki—odpowiedział Simonis—i natychmiast powracać do niej muszę.

— Tak—wtrąciła Brühlowa—byłe tylko skuteczniejszą była ta wyprawa. Każda godzina dla nas wiekiem.

— A! pani!—zawołał Szwajcar—czémże ona dla mnie dopiéro?

— Myślę żeś się pan z tém przeznaczeniem trochę pogodzić musiał—szydersko dopowiedziała Brühlowa.

Simonis westchnął spoglądając na pannę Natalię.

Hrabina odstąpiła tylko na chwilę, aby się przejść po pokoju, ale nie spuściła ich z oka. Szyderski jęj uśmiech zarówno Simonisa jak Pepitę ostudzał; bali się ust otworzyć. Szwajcar w końcu nie mogąc dłużej pozostać, aby nie ściągnąć podejrzenia, kilka słów przemówiwszy, wysunął się.

Uważał, że baronówna mniej niż dawniej była śmiałą i trzymała się w niejakiem oddaleniu.

Już był w korytarzu, gdy hrabina wyszła za nim i skinęła.

— Potrzebuję z panem zupełnie na osobności pomówić bez świadków... tak nawet, aby drudzy o tém nie wiedzieli; jest to konieczném. Tu niepodobna.

To mówiąc zbliżyła się doń i oddając mu klucz, opowiedziała w którym domu w zamkowej ulicy czekać na niego będzie przed nocą. Dom ten przez Georgenthor łączył się z zamkiem samym; hrabina miała w nim, jeśli nie mieszkanie, to kryjówkę, w której przyjmowała swych powierników. Simonis zrazu chciał się wymawiać, lecz nakazujące, ponowione żądanie usta mu zamknęło. Hrabina nie rozumiała tego, aby jęj coś odmówić było podobna.

Gdy z głową jakby upojoną i rozmarzoną dziwnie, rozdrażniony Simonis znalazł się sam nareszcie, i zszedłszy w podwórze, spotkał się znowu z Masłowskim, którego się tu spodziewał i który czekał w istocie na niego, długo przemówić nie mógł, potrzebując znowu przyjść do zwykłego stanu. Brühlowa potrafiła dokazać co chciała; Simonis czuł się pijanym wszystkim tém, co niby niechęć rzucała mu w duszę.

— Umyślniem tu na was czekał—rzekł Masłowski—bo, kto wie czybyście gdzieindziej chcieli się widzieć ze mną. No? cóż z wami?

— A wy?—spytał Simonis.

— Ja, to nic: mam długi i te mnie za poły trzymają. Szwajcar westchnął.

— Gdybyście się nie obawiali—szepnął Masłowski—zaprowadziłbym was do gospody Brühlowczyków. Reszta dworzan ministra, która się tu mimowoli została, schodzi się wieczorami kłać Prusaków.

— Którzy was podsłuchują—dodał Simonis.

— Gdyby tylko jeden wieczór słuchali, jużby nas tu za dnego nie było—rzekł Masłowski śmiejąc się.

— A gdzież ta wasza gospoda?

— Idziesz ze mną?—zapytał Ksawery.

— Zawahał się sekretarz gabinetowy.

— Nie mogę—rzekł—wybyście się obawiali mnie, a ja was; nie mogę.

Pożegnali się i Masłowski zniknął w ciemnej ulicy.

Szwajcar zaszedł do swęj gospody spocząć, a o wieczornej godzinie naznaczonej znalazł się z kluczem u drzwi domu przy ulicy Zamkowej. Zabawił tam późno w noc, a gdy wyszedł rozmarzony bardziej jeszcze niż z rana, nie uważał nawet, iż miał jakiegoś anioła stróża za sobą, który z daleka odprowadził go do gospody.

W pierwszym planie Simonisa, zatrzymanie się w Dreźnie nie wiele miało zabrać czasu; nazajutrz wszakże z gospody się wyniósł niewiadomo dokąd i przed Masłowskim przyznał się, iż zapewne dłużej zostanie niż myślał. Drugiego dnia poszedł do generała Wylicha. Żołnierz go tak przyjął jak zwykle wojskowi biuralistów przyjmują, nie tając mu pewnego rodzaju lekceważenia.

— A waćpan tu jeszcze?

— Tak jest panie generale, przyszedłem mu dać znać, iż zapewne dni kilka zabawić będę musiał, bo trafiłem na poszlaki pewne, z których będę musiał zdać sprawę.

Generał na niego popatrzał i pokiwał głową.

— Dobry wyżeł z waćpana — rzekł mruczając — ale i my tu też nosy mamy... To do mnie nie należy... Wąchaj sobie waćpan i... kłaniam się! — głośniej dodał drzwi ukazując — kłaniam się.

Ztąd poszedł Szwajcar do Béguelina, który go przyjął z niezmiernym respektem, wiedząc już że ma do czynienia z jedynym z sekretarzy króla. Béguelin w obec władz wojskowych zmalalał był i smutną miał postać. Séry stały zamknięte i nie wydawał się z niemi, aby ich w rekwizycyą nie wzięto. Posadził gościa na czarnej kanapce i na wojnę w ogóle uskarżać się zaczął.

— Niewygodne położenie — rzekł skrobiąc się w głowę — Austriacy gotowi bombardować, a bomby nie pytają gdzie który radzca mieszka... Uchowaj Boże, wezmą Drezno... nasz król będzie niechybnie odbierał i spali...

Podniósł ręce do góry.

— Do czego te wojny! — mruknał — handel psują, ludzi dużo ginie i spokojności nie ma...

Beguélin był tego zdania, że należało lepiej zły pokój zawrzeć, niż najszcześliwszą wojnę przedłużać.

Zabiwszy trochę czasu, Simonis wrócił do zamku, ale do baronówny dostąpić nie mógł. Spotkał Brühlowę, która go na krok nie puszczała. Narady były ciągłe, we dnie i wieczorami.

Baronówna też niebardzo się narzucała Szwajcarowi i oboje teraz znaleźli się daleko więcej obcemi niż byli. Kilka dni upłynęło nim Simonis pochwycił zrzeczność rozmówienia się z Pepitą.

— Jestem bardzo nieszczęśliwy — rzekł do niej — bo choć tu już dni kilka siedzę, zbliżyć się do pani mi nie wolno.

— Czy moja w tém wina? — spytała Pepita — mów pan otwarcie.

Simonis się trochę zmieszał.

— Ja prawdziwie nie wiem, z mojej strony ja także winy nie czuję.

— Może przeznaczenie? — odezwała się baronówna.

Szwajcar milczał.

— Niepodobna ażebym ja was szukała—ciągnęło dalej dziewczę coraz śmielej—tego po mnie wymagać nie możecie, a bądźcie szczerzy; czy wam z tém bardzo źle: ja nie wiem?

— Pani wątpi?

— Nie, ja jestem pewna, że zbyt za mną nie tęsknicie. Proszę was nie zmuszajcie się do żadnych czułości sztucznych. Ja w razie potrzeby słowa dotrzymam, nie potrzebujecie się silić na zakochanie we mnie.

Mówiła to tak chłodno, bez żadnego gniewu, bez zazdrości, iż Simonis uczuł się tém dotkniętym.

— Widzę że zupełnie łaski u pani stracił—szepnął.

— Bądź pan spokojnym—dodała Pepita—spełnij tylko coś przyrzekł, bądź nam wiernym, a na moje słowo rachować możesz.....

To mówiąc jak gdyby rozmowy przedłużać nie chciała, odeszła. W chwilę potem Brühlowa zabrała go z sobą dla narady z generałem Spürken.

Przybycie Simonisa było jakby bodźcem do coraz bardziej gorączkowej czynności. Co dzień coś nowego było na stole, a rozprawy o każdym kroku, zabierały godziny. Tego dnia znowu odebrano wiadomość, iż ułożone porwanie i wydanie generałowi Bour króla pruskiego, udać się w żaden sposób nie mogło.

Brühlowa była gniewna.

Chodziła po pokoju niekryjąc swojego oburzenia i narzekając na niedołęztwo wszystkich co tyle kosztowali, a nic dotąd zrobić nie mogli.

— Należy natychmiast wyprawić do Glasau'a—dodała—ostatniego użyć środka... zmusić go aby nie zwlekał... Waćpan napiszesz zaraz do niego, a generał wyśle pismo przez zaufanego człowieka.

Simonis się zawahał, ale niecierpiąca sprzeciwienia się najmniejszego kobieta, tupnęła nogą i wskazała mu miejsce przy stole.

— Ja to biorę na moje sumienie, na odpowiedzialność moje: czasu dosyć zmarnowano... niech Glasau spełni co przyrzekł..... Nie słucham nic... poślijcie mu co zechce... ja oddam co mam..... Zapłacimy mu ile każe.....

Zmuszony do pisania, przelękły Szwajcar usiadł. Nie było sposobu się oprzeć, spojrzął kilka razy na hrabinę, nie dała mu mówić. Powtarzała ciągle: ja to biorę na moje sumienie.

Simonis napisał co mu kazano, obwinęto papierem tym rulon dukatów. Spörken go opieczętował i wyszedł. Max wstawał blady od stołu.

— Pani mi daruje—rzekł cicho—jakkolwiek Glasauowi udać się może...

— Musi!—przerwała hrabina.

— Lecz gdyby coś niespodzianego zdradziło.

— To nie może być.

— Jednakże—wtrącił Simonis—ja nie wiem czy w takim razie potrzeba żebym i ja padł ofiarą?

— Waćpan?—przerwała, za rękę go chwytając hrabina—waćpan! nigdy w świecie! Jesteś mi potrzebny. Ja losu jego się podejmuję. Baronównę możesz odstąpić komu chcesz, waćpan niepotrzebujesz jój, ja zapewnię jego przyszłość.

Skłonił się Simonis i dosyć poufale spytał cicho:—Lecz jeśli tak jest, czy nie lepiej abym czekając na wypadek, skrył się. Jeżeli Glasau chybi.....

— Glasau chybić nie może!—z gniewem w oczach i głose odparła Brühlowa—niecierpliwisz mnie!

Dopiero ochłonawszy, rzekła rękę mu kładąc na ramieniu:

— Tak jest Simonis, na tym obrzydliwym świecie możliwe wszystko: skryj się. Masz jakieś przecucie. Ja straciłam wszelkie: gdy przeczuwam dobro, przychodzi zło, a gdy się zła spodziewam, ono jedno niezawodzi. Tak skryj się—dodała głosem drżącym—ja potrzebuję cię....

Głowę otuliwszy dłońmi, przeszła się kilka razy po pokoju milcząca i zamyślona. Widać było, że myśl o zemście, o sprawie królowej, o kraju, ustąpiła bliższej jakiegś o własnych losach.

Zwróciła się do Simonisa.

— Waćpan powinienes stanowczo zerwać z baronówną—rzekła—ona go nie kocha, to są więzy. Ja tego nie chcę.

Baronówna!—dodała—baronówna nie ma więcej nad kawałek ziemi w górach i pusty zamek. To wszystko niewiele

warte. Mój mąż wyrobi wam dar od króla znaczniejszy, ja potrafię mu uzyskać posadę. Ta wojna wiecznie trwać nie może; a jeśli Glasau.....

Ale nie chcę ani mówić o tém, ani rachować. Choćby Glasau chybił, są inne środki...

Tak, tak—zawołała coraz się rozgorączkowując—choćby się sto razy nie powiodło, choćby wszyscy się ulękli i cofnęli, ja nigdy, nigdy! Moja miłość i nienawiść nie kończą się, mogę usnąć, ale się budzę jutro rzeźwiejszą jeszcze. Chybabym umarła.

Przeszła się tak kilka razy po izbie, i uspokoiła nareszcie; przystąpiła do Simonisa zdejmując soliter z palca i trzymając go w ręku—rzekła po cichu:

— Ten pierścień dawno miałam od króla, daję go wam na znak że spełnię com wyrzekła. Zerwij z baronówną, ja się dzielić z nikim nie mogę.

Simonis całował jęj rękę blady, gdy generał i Pepita weszli i przerwali tę scenę. Brühlowa zapewne chcąc ułatwić to zerwanie, którego się domagała, natychmiast wysunęła się z generałem do drugiego pokoju, oczyma nakazując Simonisowi, aby spełnił jęj rozkaz.

Baronówna wchodząc do pokoju, choć nie postrzegła może oddawania pierścienia, mogła się domyśleć poufałego zbliżenia z postawy hrabinęj i pomieszania Simonisa, który zbyt spieszenie postrzegłszy ją się cofnął. Nadto wiele wiedziała i słyszała życia ówczesnego piękna Pepita, aby się jego tajemnic i intryg domyśleć nie mogła; życie hrabinęj było jęj znane dobrze. Miłość własna ucierpiała może w piérwszj chwili, lecz po rozmyśle uspokoiła się łatwo. Chłodna więc i na pozór zupełnie obojętna znalazła się naprzeciw Simonisa witając go ję z nadskakującą grzecznością.

Spojrzała mu w oczy z takim wyrazem wszechwiedzy i spokoju, że Max się trochę zmieszał, czując odgadniętym.

— Może przeszkodziłam?—odezwała się.

— Nie, wszystko skończone—odparł Max.

— Spodziewam się że szczęśliwie—dodała spoglądając na pierścień, który Simonis ukryć zapomniał.

Nie odpowiadając na to obwiniony spuścił oczy.

— Tak jest, tak—rzekł—ale kiedyż można być pewnym, że to co się wydaje szczęśliwem, rzeczywiście się powiedzie.

— Masz pan wielką słuszość, jest to prawda, która w całym życiu zastosować się daje. Nie jesteśmy nigdy niczego pewni.

— Niestety!—westchnął Max.

Pepita spojrzała nań i rozśmiała się.—Cóż dalej?—zapytała.

— Najsmutniejsze to—odpowiedział Simonis—że ja zapewne będę zmuszony przez czas jakiś się ukrywać, i że nie będę miał szczęścia widywać pani.

— Ale czyż to się mogło szczęściem nazywać—odezwała się baronówna—mnie się zdaje że to kłopot niepotrzebny. Ja się wcale nie łudzę.

— To ja powinienem z tych słów pani, a podobno i z wielu innych—podchwycił Szwajcar—wnieść że nie powinienem się łudzić. Nie mam u niej łaski.

— Ale masz pan słowo moje—rzekła zimno Pepita—to dosyć.

— Jeśli nie mam i muszę się wyrzec serca?—dodał Simonis.

— Któż może mówić o sercu!—rozśmiała się baronówna.—Gdybym chciała dać je, nie mogę; bo serce nie daje się, ale zdobywa.....

— A ja nie umiałem, nieprawdaż?—zapytał Simonis.

Pepita zamilkła.

— Musi to być panu obojętnem.

— Przepraszam panią—rzekł Max—gdybym się miał wyrzec serca, wyrzekłbym się ręki.

Zdziwioną trochę zdawała się baronówna.

— Za pozwoleniem—odezwała się—czy to wyrzeczenie się miałyby za sobą pociągnąć i odstępstwo od naszej sprawy? mów pan otwarcie?

— Tęj sprawy ja już odstąpić nie mogę—z uśmiechem przykrym dodał Simonis—podpisałbym wyrok na siebie.

Panna Nostitz stała z jakąś niepewnością, obawą i jakby promykiem nadziei na twarzy.

— Panie de Simonis—rzekła—umiem cenić to coś mi powiedział, przyjmuję to zrzeczenie się serca i ręki, a co się tyczy majątku.....

Max nie dał jój dokończyć, skłonił się nisko, zakręcił — i rzekł głośno:

— Godzina nagłaca, pani daruje.....

— Zatem ja jestem wolna! — spytała, rękę wyciągając baronówna z nietajoną już radością.

— Najzupełniej — odparł Max i chwycił za kapelusz do wyjścia.

Usłyszawszy kroki, Brühlowa wyszła na próg drugiego pokoju, zmierzyła oczyma Pepitę i Simonisa i podała mu rękę na pożegnanie. Max wybiegł.

W tydzień po téj rozmowie, jasnego zimowego dnia, pocztalion w ciężkich butach, obmarzły cały, na koniu z którego para buchała, zatrzymał się przed kwaterą generała Wylicha. Była to poobiednia godzina, podstarzały żołnierz drzemał z fajką, a piękna Doris grała na gitarze po cichu w drugim pokoju. Wpadnięcie niespodziane kuryera, który do drzwi nawet nie zapukawszy, jak stał wtoczył się do generała i podjąwszy płaszcz, z torby skórzanéj papierów zaczął dobywać, rozgniewało pana komendanta. Już miał na ustach *lumpen...* jakieś osolone, gdy spojrzawszy na papiery, do których przyklejony był kawał pióra na znak pośpiechu; na pieczęcie ogromne, na notatki u góry, zamilkł i drzwi od Doris zamknawszy, zaraz się rzucił do papierów. Pocztalionowi ręką wskazał aby odszedł.

Generał Wylich miał dosyć złe oczy, pismo było pilne i sekretne, zdawało się wiele zależeć na niem; zadzwonił więc wzywając w pomoc pisarza, choć się nim posługiwać nie lubił.

Pisarz ten nazwiskiem Blind, człowiek do wszystkiego niezmiernie zręczny. Kalligraf niezrównany, koncepcista osobliwy, posiadający wszelkie style, piszący wiersze, domyślający się prawdy, przy sądach wojennych ułatwiający śledztwa; jedném słowem genialny robotnik, był zarazem najniebezpieczniejszym stworzeniem, jakie ziemia kiedy nosiła. W wojskowym trzymany rygorze, chodził posłuszny jak koń dobrze wytresowany, lecz było mu na chwilę popuścić cugli, spłatał zawsze coś takiego, za co mało było nawet kijów powszednich. A jednak bez Blinda obejść się nadzwyczaj było trudno. Generał Wylich wzięwszy go w spadku po towarzyszu, trzymał przy

sobie jak w więzieniu. Na oko Blind był chłop nie szpetny i silny, chociaż czerwonymi plamami okrytą miał twarz i nieco kulał. Ubiór zakrawał na pewną elegancyą.

Zobaczywszy go generał, poszedł pannę Doris zamknąć w trzecim pokoju, a sam wróciwszy kazał mu czytać depesze. Szły one wprost z głównej kwatery w.....

Blind rzuciwszy okiem na ogromny arkusz na wpół zapisany, pobladał i zachwiał się.

— Co ci jest! czytaj.

Zaczął w istocie czytać Blind jękając się, lecz ledwie pierwsze słowa wymówił, Wylich mu papier wyrwał z rąk i ręką gębę zatulił. Pokazał pięść, krzyknął: milczeć i wypchnął za drzwi.

Depesza była największej wagi i sekretna, niegodziło się, by na niej oko kancelisty spoczęło. Generał nie rad był z siebie, iż dozwolił Blindowi pokosztować tego owocu zakazanego. Co najgorzej, że znając spryt tego wisusa, pewien był iż raz spojrzawszy na papier, cały już połknął i umiał go z końca w koniec napamięć. Takie przynajmniej miał o Blindzie wyobrażenie.

Zamknawszy drzwi generał wziął się do papierów, czytał je drżący. W ostrych nader wyrazach skreślone było pismo. Król wyrzucał w niem Wylichowi, iż ślepy, nieudolny, zarozumiały dozwolił pod swoim bokiem knuć spiski na życie króla, wysyłać szpiegów i morderców, korespondencye i pieniądze, że dopuścił na zamku w biały dzień konspirować żonie ministra, generałowi Spörken i królowej.

Cała ta sieć intryg, której o mało Fryderyk nie padł ofiarą, tylko jego własną przytomnością umysłu i bystrem spojrzeniem odkryta została. Niejaki Glasau, opiekawa depesza, będący w służbie kamerdynera przy królu, przekupiony przez Brühlową, będący w stosunkach ze świeżo zbiegłym byłym sekretarzem gabinetowym niejakim de Simonis, nasłany także przez żonę ministra i zdradzającym tajemnice, jakie mu były powierzone, dał się pieniędzmi skłonić do podania J. Kr. Mości trucizny w czekoladzie. Król gdy mu ją przyniesiono, spojrzawszy wypadkiem na twarz Glasau'a, postrzegł na niej pomieszanie, bladeść, coś podejrzanego. Zapytał go surowo co mu

jest; kamerdyner złożył to na niezdrowie. Czekoladę postawiono na stoliku. Fryderyk nie miał ochoty pić jęj zaraz, czytał właśnie Plutarcha. Tymczasem Thisbi charcica skoczyła na stolik i łapczywie zaczęła zajadać królewskie śniadanie. Gdy król się obejrzał, czekolady połowa już była wypita, a suczynka prawie natychmiast poczęła skowyczeć, tarzać się, pienieć i zdechła.

Pochwycono kamerdynera Glasau'a, a resztę napoju dano na próbę wiejskiemu psu, który w kwadrans potém nie żył. Trucizna była więc dowiedziona. Nakazano jak najsurowszą tajemnicę, nie chciał bowiem król, ażeby wiadomość o tém stała się powszechną. Glasau'a stawiono natychmiast, zapewniając mu życie, jeśliby wyznał wszystko. W ten sposób odkrytą została zdrada Simonisa, stosunki z Dreznem; papiery nawet, które wprawdzie imion osób nie zawierały, lecz stwierdzały zeznania Glasau, i spisek uknuty w Dreźnie, jeśli nie z wiedzą królowej, to nie bez milczącego jęj przyzwolenia.

Do opisu wypadku przyłączony był rozkaz najsurowszy, wyprawienia natychmiast hrabinęj Brühlowej do Warszawy, poszukiwania i uwięzienia Simonisa, najsurowszego nadzoru nad wszystkimi co do zamku uczęszczali i mieli z nim stosunki.

Generał Wylich utonął w mnóstwie szczegółów, spotniał czytając, a co najgorzjęj czuł że winę swą miejscem okupi i że wkrótce przez kogo innego zastąpionym zostanie ¹⁾). Ażeby na straszniejszy jeszcze gniew króla nie zasłużyć, chwyciwszy się za głowę, jął się zaraz krzątać około czynnego wystąpienia. Ale od czego tu począć było??

Zadzwoił na Blinda.

Nadszedł żołnierz oznajmując, iż go nie było, że przed chwilą wybiegł na miasto. Generał przelękł się, tego domyślając, słusznie czy nie, że Blind rozgadać może przedwcześnie to co było i powinno zostać tajemnicą.

Chwili czasu nie miał do stracenia. Ubrał się więc, przywołał adjutanta, wziął żołnierzy i że mu najwięcej szło o Simonisa, pobiegł do jego mieszkania.

Tu dowiedział się że od dni dziesięciu Szwajcar *wyjechał*. Posłano przetrząsać wszystkie domy, które szpiegi wskazać

¹⁾ Zastąpił go generał Schmettau.

mogli, uganiano się do wieczora napróżno, nareszcie Wylich kazał zamek ostawić strażą, i postanowił w nim robić poszukiwanie.

Wiedział bardzo dobrze, iż nawet za brak uszanowania dla królowej lub jej dzieci, pewnie ukaranym nie będzie. Generał von Spörken wyszedł naprzeciw komendantowi.

— Co się stało? panie generale? zapytał.

— Nie wiecie jeszcze, no to się dowiedziecie—odpowiedział oburzony Wylich.—Niejaki de Simonis przechowuje się w zamku, były sekretarz króla, zdrajca którego szubienica czeka, jeśli nie ówiertowanie; albo mi go wydajcie, lub....

— Niema go tu, za to mogę zareczyć—rzekł generał Spörken.

— Od dachu do lochów strząsę wszystko,—krzyknął Wylich.

— Sile się nie możemy oprzeć, jużemy tego doświadczyli—odezwał się Spörken—czyńcie co się wam podoba. Lecz jeśli później Europa cała, za znieważenie rezydencyi J. Kr. Mości i kurfirsta następcy....

Wylich nie dając dokończyć—zawołał:

— Was wszystkich i waszą Europę nie mam za tyle.... (Wyraził się jeszcze ostrzej). I krzyknął na żołnierzy:

— Na zamek!

Spörken znikł ażeby przygotować królowę. Gdy komendant wchodził na pokoje, pierwsza mu drogę zabiegła hrabina Brühlowa: straszna była gniewem, ale zarazem i trwogą.

Wylich nie witając się z nią nawet, odezwał się grubiańsko:

— Mam rozkaz waćpanią wyprawić do Warszawy. Słyszysz pani?

— Co to jest! jakto?

— Rozkaz króla, który zostanie spełniony.

— Cóż za powód?

— Nie mam potrzeby przed waćpanią się tłumaczyć.

Gdy się to działo w sali, na której progu przeciwnym, królowa za portjerą ukryta słuchała i przypatrywała się, rozjątrzona do żywego tą napaścią, zamek patrole przetrząsali jak najpilniej.

Hrabina Brühl wiedziała, że szukano Simonisa. Na kilkanaście minut wprzód Blind, który oddawna był ujęty, dał znać o tém co z depeszy miał czas wyczytać. Kawaler de Simonis w istocie znajdował się na zamku, ale w tych starych murach tyle było kryjówek, przejść, schówek, drzwi zamaskowanych, podłóg odmykających się, zwierciadeł za któremi w grubości muru wyźłobione były gabinety ciemne, które za Augusta II służyły do czarodziejskich niespodzianek, a dawniej może na straszniejsze narzędzia kary, tyle tu było tajemnic ledwie niewielu osobom znanych, że żołnierze pruscy, wedle wszelkiego podobieństwa nic znaleźć nie mogli. Simonis w jedném z takich wyźłobień w wielkiej sali ukryty, słyszał jak żołnierze przechodzili ją, jak się do koła drzwi odmykały, jak zamek tętniał przekleństwami, wykrzykami i ciężkiem stąpaniem Prusaków, jak Wylich kłął i niecierpliwiał się i czekał losu jaki go miał spotkać. Na kilka dni wprzód przewidując niebezpieczeństwo, opatrzył się był w truciznę, którą trzymał w pogotowiu, gdyby wypadkiem ci co ściany opatrywali i bili w nie szukając gdzieby zadzwoniła próżnia, trafili na ukryty gwóźdź, cienkie utrzymujący zwierciadło.

Dwie godziny trwało nadaremnie przetrząsanie zamku, w czasie którego pokoje królowej nie były oszczędzone. Żołnierze zaglądali pod łóżka, zrywali opony, wciskali się w najciaśniejsze kąty. Ołtarz domowej kaplicy otworzono z tyłu, myśląc że tam się zbieg ukrywa.

Późno już było, gdy generał Wylich, coraz gniewniejszy, strażę u bram zostawując, kazał nareszcie poprzestać. Wszedł jednak raz jeszcze na górę i przywołanej hrabinie oświadczył surowo, żeby się natychmiast w podróż wybierała.

— Jeżeli chcecie wiedzieć o przyczynie, to wam jój taić nie będę—zawołał generał.—Schwymano tego któregoście zakupili dla dania królowi trucizny. Wszystkie wasze sprawy wiadome. To gniazdo osie oczyścimy.

Brühlowa przymuszonym ale głośnym wybuchnęła śmiechem, a Wylich się oddalił.

Na zamku panowała trwoga i oburzenie, dworska służba stała niema, Spörken przechadzał się po galerii zzymając się i naradzając sam z sobą.

Nie obawiał się on wcale, ażeby Prusacy kryjówkę mieli odgadnąć, lecz nie zupełnie był pewnym swęj służby, aby któryś z nich pobytu na zamku nie zdradził. W owych czasach nikomu zbytnio dowierzać nie było można. Dlatego niespuszczając się na nikogo, sam ukrył Simonisa. Kilku jednak ludzi o poprzedniem jego mieszkaniu na poddaszu wiedziało.

Przez cały czas poszukiwań hrabina Brühl stała po nad wschodami, z zaciśniętymi usty, drgając na każdy wykrzyk głośniejszy, cisnąc ręką pierś zburzoną i nieumiejąc w sobie ukryć niepokoju, jaki nią miotał.

Kilka razy słabnąc, chwyciła się galeryi. Przywiązanie jęj do Simonisa, niedawno jeszcze, przeszło w namiętność, która niedługo może w sercu trwać miała, lecz tem tęż teraz była gwałtowniejszą. Spoglądała błagajaco na Spörkena, który jęj dodawał męztwa a gdy się wreszcie skończyło wszystko, poszła bezsilna paść na krzesło.

Simonis był wprawdzie ocalonym chwilowo, lecz należało go z zamku uprowadzić i ułatwić mu ucieczkę.

Pośpiech był koniecznym, a wykonanie zdawało się prawie niepodobnem. We wszystkich bramach stały strażę. Wśród tego tłumu jaki jeszcze napełnił zamek, łatwo się było szpiegów domyślać.

Hrabina błąkała się tak myślami, nieumiejąc znaleźć środka, gdy baronówna stanęła przed nią, a widząc że jęj nie postreżono, lekko dotknęła ręką dłoni Brühlowej, która krzyknęła z przestachu.

— To ja—odezwała się spokojnie Pepita,—to ja. Potrzeba radzić.

— Straciłam głowę! Glasau pochwycony, stracone wszystko. Simonisa ocalić niepodobna.

— Musimy to uczynić—odpowiedziała baronówna.

Hrabina spojrzała jęj w oczy.

— Wiesz sposób...?

— Trzeba go szukać, jest ich tysiąc, a najprzód czekać spokojnie i nie wydawać się z obawą.

Na te słowa wszedł Spörken, wszystko troje stanęli milczący, gdy szmer zwiastował wnijsćie czyjes: Brühlowa spostrzegła idącą królową i podniosła się.

Królowa Józefa nosiła już w sobie zaród téj choroby, która ją wkrótce życia pozbawić miała. Błada, drżąca, z oczyma pełnemi łez i gniewu, wlokła się raczêj, oparta na ramieniu jednéj z panien, niżeli szła. Stawać musiała co chwila, i oddychać.

Z poszanowaniem dla téj niedoli rozstąpili się wszyscy.

Królowa była jakby w gorączce boleści, która jêj nadawała powagę męczennicy i natchnienie wieszczki. Powiodła oczyma niewidząc nic.

— Cóż więcêj nas czeka?—zawołała—jakie jeszcze upokorzenie? jakie urągowisko? Mówcie, ja zniosę wszystko; jam zniosła już tyle, że z méj rodziny nikt zemną na równi stanąć nie może.

— Generale, mów!...

— N. Pani—odezwał się Spörken—niema nic nowego, ani nic zagrażającego J. Kr. Mości.

— Nie oszczędzajcie mnie—poczęła królowa—Bóg wie co i dlaczego zsyła.... Jam przysła tu abym grzechy ojców naszych zmasała pokutą. Niech ręka Boża chłoscze, ażeby krew zmyła plamy, ażeby pokolenia następne czyste były i wolne. Karz nas Boże a przebacz plemieniowi naszemu!

Mówiąc to płakała, a mówiła nie dla tych co ją słuchali, ale jakby sama do siebie, zmuszona do téj spowiedzi uczuć i myśli.

— To nie koniec — rzekła po chwili — to początek drogi krzyżowêj, a każdy na niêj krok zmywa plamę. Karz Boże! chłosczcz mnie, abys dzieciom przebaczył! — powtórzyła bijąc się w piersi.

Podano krzesło gdyż Józefa osłabła i siły ją opuściły nagłe. Wszyscy stali nieporuszeni. Usta jêj jakby cichą, szybką odmawiały modlitwę.

Upłynęło minut kilka, zdawała się nieco uspokojoną.

— Spörken — rzekła — ja widziałam tych napastników, wiem że znowu popełnili tu gwałt; ale nie wiem przyczyny. Cóż się stało?

— N. Pani—poczęła hrabina Brühlowa głosem ochrzypłym od połykanych łez — targnął się ktoś na życie tego, który sam targa się na wszystko. Przypisują ten zamach, nie wiem komu;

mnie może, bo mi precz ztąd jechać kazano... na zamku szukano wspólników.

Królowej oczy się ożywiły ciekawością.

— Zamach? co to było?

— Mówią... trucizna... którą pies wypił...

— Biedny pies—odezwała się pocichu królowa.—Kazano ci wyjechać?—zapytała Brühlowej.—Jesteś szczęśliwszą odemnie, ja nie mogę ruszyć się ztąd, bom powinna dotrwać na stanowisku; moje miejsce jest tutaj: ja tu umrę...

Spörken odezwał się uspokajając królowę, zaczęli mówić wszyscy, opowiadano szczegóły, których królowa zdawała się słuchać z zajęciem. Powoli poruszenie, gniew, boleść uśmierzyły się, królowej Józefie wróciła jój rezygnacya i dała się swym kobietom nakłonić do przejścia do swych pokojów. Po drodze tylko wstąpiła do kaplicy, a kapelana przywołano na wieczorne modlitwy.

Na zamku uciszało się powoli, światła gasły, i tylko strażę u bram, chodem ciężkim i szcękaniem broni ją przerywały.

(Dokończenie nastąpi).

O zasłudze naukowej ziomka naszego Kubarego.

Różne dzienniki ogłaszają dziś naukowe zasługi ziomka naszego, p. *Kubarego*, który szczęśliwie i pilnie zwiedza wysepki i wyspy Oceanu Południowego, badając tak obyczaje ich mieszkańców, jako i płody natury tamecznej.

P. Kubary jest rodem z Warszawy, gdzie ukończywszy akademiczne nauki w byłej Szkole Głównej, udał się do Hamburga. Świat uczony wie że w tém mieście żyje mąż, któremu nauki przyrodzone, a osobliwie historia naturalna szczególniejszą winne są opiekę, który te nauki miłuje i znaczne dla ich wzrostu z majątku swojego poświęcenia czyni. Mówimy tu o panu Janie Cezarym Godeffroy, założycielu znanego muzeum, w którym zgromadza wszystko to co do poznania wysp Oceanu Wielkiego należy, a nie przestając na wystawieniu tych zbiorów dla znajdujących Hamburg, ogłasza je całemu światu w osobnym piśmie peryodycznym, obejmującym dokładne opisy i kosztownie wykonywane wizerunki wszelkich nowo na tych wyspach odkry-

wanych przedmiotów ¹⁾. Z tymto panem Godeffroy spotkał się Kubary w r. 1868, epoce w której muzeum rzeczzone już od lat piętnastu istniało. Pan Godeffroy zaproponował Kubaremu bliższe zbadanie tak nazwanęj przez niektórych geografów Mikronezyi, to jest wysp ciągnących się na Oceanie Wielkim na północy równika, pomiędzy 0°—10° sz. półn. a 134°—172° dług. wsch. zwanych archipelagiem Karolin Wielkich, archipelagiem Marshall'a i t. d. Kubary który jak wyznaje, od kolebki marzył o puszczeniu się kiedyś w dalekie podróże, czując się wspartym wiadomościami z historii naturalnej, której wykładowi w naszej Szkole Głównej z zajęciem słuchał, przełożenie pana Godeffroy z radością przyjął, i w maju 1869 r. opuściwszy Hamburg, po 130 dniach żeglugi przybył na wyspy Żeglarskie (*Navigator Islands*) zwane po krajowemu Samoa, gdzie mając kilka miesięcy czekać na sposobność do dalszego udania się na Mikronezyę, zajął się częściową eksploracją wyspy Sawai, mianowicie jej północno-wschodniego brzegu. Na Sawai bawił sześć miesięcy. Tam między innymi znalazł ptaka będącego typem nowego rodzaju, który opisany został przez d-rów Fintsch'a i Hartlauba, pod nazwiskiem *Pareudistis pacificus*. Na innej tego archipelagu wyspie, Upolu, znalazł wyłącznie tam utrzymującego się rzadkiego gołębia *Didunculus strigirostris*, będącego niby miniaturą zaginionego dronta (*Didus*). Samoa opuszcza w maju r. 1870, poczem udaje się na wyspy Marszałkowskie (*Marshall islands*), gdzie przez 5 miesięcy badał tęczowe rafy koralowe i faunę wysp Ebon. Znalazł między innymi piękny okaz koralu *Pavonia papyracea*, żyjącego tylko w wielkich głębiach i nader rzadkiego w zoologicznych zbiorach. Przez pobyt na wyspie Ebon, poświęcał się także nauce krajowego języka, i wygotował słowniczek jego wyrazów, ogłoszony w pierwszym zeszycie Dziennika muzeum Godeffroy. Następnie udał się na wyspę Iap (*Yap*), którą badał tak pod względem etnograficznym jak zoologicznym. Sprawozdanie w tej mierze ogłosiło Towarzystwo zoologiczne Londyńskie.

Iapczanie stanowią oddzielny typ pomiędzy Mikronezyjczykami. Wyspa Iap jest jedną z wysokich, tojest plutonicznego powstania; ma 5 do 6000 mieszkańców. Ci mają język oddzielny, należący do rodziny Malajsko-Polinezyjskiej ²⁾. Co do rasy są bardzo pięknie zbudowani, zazwyczaj wzrostów smagłych, brachycefale, cery brunatnej, o długich czarnych włosach. Rozszerzone kości licowe, brak zarostu i czasami wyraźnie skośne oczy, świadczą o domieszaniu się Azyatyckiego żywiołu do rasy iapskiej. Iapczanie jak i największa część Mikronezyjczyków, tatuują się, ale w sposób właściwy sobie, odmien-

¹⁾ *Journal des Museum Godeffroy. Geographische, ethnographische und naturwissenschaftliche Mittheilungen. Hamburg in 4-to.* Znany dotychczas w Warszawie 8 zeszytów tego kosztownego dzieła.

²⁾ Przypominamy tu, że lingwistyka dzieli języki na klasy, familie czyli rodziny, i gałęzie.

ny od sąsiednich wyspiarzy. Żują silnie betel, skutkiem czego mają czarne zęby, tém bardziej że je sztucznie farbują. Jakkolwiek charakteru łagodnego, są bardzo przebiegli, zmysłów bystrych i rozwiniętego umysłu, chociaż przez swą religią wprowadzeni w chaos zabobonów. Iapczanie niedawno zetknęli się z cywilizacją i nie zatracili jeszcze typu pierwotnego. Religia ich jest zbiorem wielu tradycji nie mających żadnego związku z fetysyzmem. Kamienie, łąki, gaje mają dziś u nich pamiątkowy jedynie charakter: pewna tylko jaszczurka *Hydrosaurus marmoratus*, stanowi wyjątek, bo jeszcze jest przedmiotem religijnych przesądów, lubo tylko w powiecie Tomil. Politycznie dzieli się wyspa na bardzo wiele państweczek, których liczba do 50 dochodzi; z tych jednakże tylko Rul, Tomil, Gror i cztery inne mają większe znaczenie, wszystkie inne podlegają tym, chociaż mają każda swój samorząd. Rząd jest absolutny; władza zostaje zwykle w ręku króla-kapłana i dziedzicznie przechodzi z ojca na syna, co jest na Mikronezyi zupełnie wyjątkowe. Iapczanie są bitni, wojowniczo usposobieni, i nader przedsiębiorczy żeglarze. Łódki ich wypływają na otwarte morze, czego nie ma u sąsiednich im Pelewczan, to jest mieszkańców wysp Pelew. Kobiety lubo w ogóle nie są źle traktowane, zginają się pod brzemieniem ciemnych i poniżających zwyczajów. Osobliwszem jest w religii Iapczan wyobrażenie o życiu przyszłym: dusza po śmierci zdaje sprawę z tego co czyniła za życia. Przybywa ona nad brzeg przepaści, przez którą prowadzi wążki most kokosowy. Na środku mostu zatrzymuje się i duch jakiś, sędzia, ocenia jej zasługi, a podług tego sądu albo przechodzi na drugą stronę do państwa duchów na wyspy Pelew, albo zostaje strącona w przepaść. To że duchy Iapczan spotykają się w drugiem życiu z duchami Pelewczan, dowodzi że te ludy spólne mają pochodzenie, chociaż dzisiaj wielka jest pomiędzy nimi różnica a nawet nieprzyjaźń.

Kubary przybył na wyspy Pelew (Palau) w lutym 1871 roku i bawił na nich półtrzecia roku. Wyspy te są równie jak Iap wyniesionemi, pochodzenia plutonicznego. Formacja ich przedstawia już bazalty, już wapienie (wyniesione rafy koralowe): podług tego okolice mocno są odmiennie wejrzeniem i wegetacją. Nie w jedno wyspa jest otoczona zawałem rozległych raf koralowych, między któremi środkuje głęboka i obszerna laguna (szlamowisko). Wyspy Pelew, które Kubary nazywa Palau, odkrył Anglik Wilson, a kartę ich zjął Mac Chluer. Ta jednak karta nie ze wszystkiem była dokładną, dziś z poprawami Kubarego wydana została w Hamburgu przez Friedrichsena. Obszerne opisanie wysp Pelew ogłosił Kubary w IV i VII zeszytach Dziennika muzeum Godeffroy. Opuścił te wyspy r. 1873 w maju, i udał się przez Karoliny Wielkie, na wschod, w którejto podróży zwiedził wyspy Uleaj, Mortlocka, Monteverda, na każdej znajdując lud odmienny, mowy sobie właściwój, wcale nie tój którą poznał na Iap i Pelew. Dziwna rzecz że co wyspa, inny język! Wszędzie jednak krajowcy łagodni i w tém podobni

do siebie, o tyle tylko różniąc się sposobem życia, o ile ich ojczyzny są już ziemią żyzną, już tylko ubogimi atolami ¹⁾ koralowemi.

W sierpniu 1873 r. przybył Kubary na wyspę Ascension, po krajowemu zwaną Ponape, najgłówniejszą z wysp Sieniawina, odkrytych przez rosyjskiego admirała Lütke. Bawiąc tam 12 miesięcy, poczynił znakomite zbiory, i z exploracyi tych złożył sprawozdania, które są umieszczone w zeszytach VI-ym i VIII-ym Dziennika muzeum Godeffroy. W sierpniu 1874 r. udał się na pokładzie żelaznego brygu *Alfred* w powtórny podróż do wysp Żeglarskich, z zamiarem wrócenia ztamtąd do Europy. Przy wyspach Banhama ulega rozbiściu i traci swe zbiory zapakowane w 100 pudłach. Po tylko tygodniowym pobycie na tych wyspach, gdzie znowu napełnił 23 pudełek płodami natury tamecznej, przybył nareszcie do Samoa, zkad wysłał uratowane reszty swych zbiorów do Europy drogą handlową, sam zaś obrał drogę krótszą przez Australią, w której odwiedził wyspy Tonga czyli Przyjacielskie, i Nową Zelandyą.

W czerwcu b. r. Kubary przybywa szczęśliwie do Hamburga, ale tylko na to, ażeby zdawszy sprawę z dotychczasowych wypraw, téj jeszcze jesieni wrócić na wyspy Oceanii. Gazeta Polska doniosła niedawno (Nr. 208) jakie zdobycze swych wypraw Kubary nadesłał w podarunku matce swój w Warszawie, a między innymi ptaki z wysp Żeglarskich, które dostojny opiekun naszego gabinetu zoologicznego, hrabia Konstanty Branicki, dla tegoż gabinetu zakupił. Znajduje się między niemi i owa, wyżej wspomniana rzadkość, gołąb *Didunculus strigirostris*.

Lecz aby należycie ocenić zasługę Kubarego w tych śmiałych i pełnych niebezpieczeństw podróżach zdobyty, potrzeba czytać wspomniany tu dziennik, który p. Godeffroy dla swojego muzeum wydaje. P. Kubary, prócz historyi naturalnej i geografii, miał zawsze na względzie obyczaje ludów które poznawał. Nadewszystko lingwistyka winna mu będzie dużo rozjaśnień co do języków Oceanii, rozdzielanych dziś na trzy rodziny: polinezyjską, melanezyjską i mikronezyjską. Polinezyjska obejmuje mowę wszystkich wysp Polinezyi, od Nowej Zelandyi aż do Sandwichskich z wyjątkiem wysp Viti, czyli Rybackich. W tych dyalektach, zupełnie do siebie podobnych, spólny charakter stanowi ważność samogłosek a ubogość spółgłosek. Dlatego téż języki tu należących ludów, a za których typ należy uważać mowę samoancką, są bardzo śpiewne, miękkie, jakby niedokończone i w wytwarzaniu się zatrzymane. Sylaby i wyrazy muszą się kończyć na samogłoski, dwie spółgłoski nie mogą stać obok siebie i t. d.

Języki melanezyjskie, które tak dokładnie poznać dał swą pracą Van der Gablentz w zasadzie swój zupełnie odstępają od tam-

¹⁾ *Atoll* albo *attolon* jestto grupa kępin opasująca kotlinę i przedstawiająca zatoki mniej lub więcej przystępne dla łódek lub okrętów. Atole słuzą niekiedy jakby za mur opasujący wyspy bardzo wysokie.

tych. Spółgłoski tu grają zwyczajną rolę, a jako charakterystyka występuje gramatyczna budowa objawiająca się wybitnie w prefixach i suffixach, tworzących wyrazy źródłostów.

Języki zaś mikronezyjskie łączą własności obu poprzedzających rodzin. Polinezyjskie pochodzenie zdradza się w istnieniu wielu źródłostów, a gramatyczna budowa została wzięta z języków melanezyjskich.

Wszystkie języki Mikronezyi następującym sposobem ugrupować się dają:

1. Mowa pelewska, istniejąca tylko na wyspach Pelew.

2. Mowa iapczańska istniejąca na wyspie Iap i sąsiednim atolu Matelotas, którego mieszkańcy zapomnieli już prawie swojej pierwotnej mowy.

3. Mowa zachodnich Karolin istniejąca w kilkunastu dyalektach na Koralowych wyspach, rozpościerających się między wyspą Iap a wyspami Hogoleu albo Ruk. Jest więc na Uleaj, Ugoj, Fejz, Faczajlep aż do Mortlocka włącznie.

4. Mowa wysp Hogoleu i okolicznych, według upewnień otrzymanych na wyspach Mortlocka (które to wyspy są w stosunkach handlowych z Hogoleu), jest odmienną od zachodnio-karolińskiej, a sądząc z nazw na znanych dotąd mappach okolic, jak *Peluat*, *Pelusuk* i t. p. musi się zbliżać do pelewskiej.

5. Mowa nuguorska, na wyspach Monteverda (*Nuguor*) i na wyspach Greenwiche, jest czysto polinezyjską mową.

6. Mowa wschodnio-karolińska w użyciu na archipelagu Sieniawina, z dwiema dyalektycznymi odmianami na Pingilap i Mokul.

7. Mowa kusajska na wyspie Stronga (*Kusaja*), różniąca się nader wybitnie od wszystkich mikronezyjskich, chociaż obca i polinezyjskim.

8. Mowa ebońska, na obu wyspach Marshall'a, lecz nadewszystko zapewne na wyspach łańcucha Radacka, w kilku narzeczach.

Kubary zamierzył te lingwistyczne badania rozwinąć obszernie i jeszcze przed opuszczeniem Europy, ogłosić je w Dzienniku p. Godeffroy, tylokrotnie tu wspomnianym.

Kubary znajdował się na tegorocznym zjeździe naturalistów naszych i lekarzy we Lwowie, a jak dalece opowiadaniem szczegółów swojej podróży zajął obecne tam uczonych grono, wiadomo ze sprawozdań pomienionego zjazdu.

A. W.

OBRAZY ZE WSPÓŁCZESNÉJ LITERATURY NIEMIECKIÉJ.

PRZEZ

Feliksa Jeżierskiego.

(Dalszy ciąg).

Robert Hamerling i jego poemata bohaterackie.—(Ahaswer w Rzymie.—Król Syonu), jak on pojmuje poemat.

Na zaszczyt Roberta Hamerlinga wspomnieć wypada, iż niesłychana popularność, jaką zyskały jego utwory, ma swoje źródło głębiej aniżeli w pobudkach wygórowanej pychy plebienia. Jest on poetą w najdonioślejszym znaczeniu tego wyrazu. Jego tragedia Danton i Robespierre w pierwszym zaraz roku doczekała się dwóch wydań; Ahaswer w r. 1874 ukazał się w 10-ém wydaniu. Ale pomijamy pochwały statystyczne. Krytyka jednomyślnie zaliczyła jego epepeje do najświetniejszych zjawisk poezyi współczesnej. Hamerling niemniej świetnie występuje w utworach lirycznych: „Zabędzia pieśń Romantyki“ zdaniem ogólném, jest to elegia w najpiękniejszych strofach Nibelungów; są tam miejsca, mówi jeden z krytyków, które chyba tylko z wygaśnięciem mowy niemieckiej pójść mogą w zapomnienie. Tragedya „Danton i Robespier“ nie mniejszy wzbudziła zapak, jakkolwiek autor nie pozwolił jój przedstawiać na scenie.

W obecném sprawozdaniu postanowiliśmy zwrócić uwagę na dwa najcelniejsze jego utwory bohaterckie: „Ahaswera i Króla Syonu.“ Co do drugiego (Króla Syonu), zapoznanie z nim czytelnika uważaliśmy za tém konieczniejsze, iż poemat z natury swojej, w *całości* nigdy przedstawić się nie da; gdy tymczasem w niczém nie ustępuje pierwszemu.

W Ahaswerze głównym bohaterem, prawie nie schodzącym ze sceny, jest Nero. Nawet w bocznych obrazach, stanowiących niejako przytoki wielkiej, do końca utrzymanej intrygi, nawet w najdrobniejszych rozstępach głównej idei, wszędzie (a wszędzie domyślną jest tu straszliwa postać, w porodzeniu której znękała samą siebie potęga złego. Nero, przyznały to jednomyślnie wszystkie wieki, jest to typ, który tylko Apellesom kreślić się godzi. Poeta długo się wazył nim ujął na barki swoje ten typ kolosalny; sam bowiem przyznaje się w epilogu, że nieraz przekreślał poprowadzone linie, że łagodził w profilu nerońskim rysy Juwenalisa, i straszną barwę Swetoniu-

sza, a przekreśliwszy, znów wracał do myśli pierwotnej. Takto instynkt estetyczny, prawie bezwiednie prowadzi poetę do odkrycia najtajniejszych arteryi charakteru ludzkiego.

Pytanie, jaką rolę odgrywać może, obok barbarzyńskiego pieszczocha losów, Ahaswer?

Obok téj wielkości tępój, na zimno okrutnej, jak mówi poeta: wysuwa się z pomroku groźny Ahaswer i do końca dostoi przy niej, jako cień w obliczu słońca. Po skończeniu poematu, autor w epilogu do krytyków, usprawiedliwia psychologiczne postawienie téj antytezy, która obok głównego działacza strzeże interesu fatum, spycha Nerona coraz głębiej z wyroczonej pochyłości, dopomagając mu do rozpętania pajęczej siatki, osnuwającej w nim szczątki sumienia; podaje pierwsze, czynne hasło do podpalenia Rzymu, a potem? potem zostawszy na scenie, ściąga napowrót w swoje ręce sieć przeznaczenia—ponieważ Ahaswer umrzeć pragnie, ale umrzeć nie może.

Trzecią osobą dramatu jest Agrypina, matka Nerona. Na odmalowanie piękności téj kobiety, poeta poświęcił wszystkie barwy, jakie tylko znaleźć się dały pod słońcem: strojna, przedziwnie ujmująca wzrokiem, postawą, do zgonu młoda, chciwa władzy, namiętna, Agrypina w końcu zawodu unosi się z przed oczu naszych w poetycznych promieniach ofiary. Oto są główne czynniki poematu w pierwszej połowie. W drugiej połowie, potomek cesarów, już nie krępowany nawet bezwładną wolą matki, nurza się coraz głębiej w tym kążącym ludzkość zawodzie, do którego zesłała go Nemezyś, mszcząca się na upodlonym rodzie Kwiryków. Ku końcowi poematu ukazuje się w dalekiej perspektywie świat chrześcijański, zbliża się stopniowo i spotyka oko w oko ze światem pogańskim, skazanym na zagładę.

Oto są główne, abstrakcyjne kontury dramatu; nie sądzmy jednak, aby poeta przedstawił nam „wierszowaną historję świata,“ (wyrażenie Hamerlinga). Bynajmniej, założył on sobie „puścić świeży strumień życia rzeczywistego, odszukać gruntu na epos rzeczywiste.“ Epos, zdaniem jego, powinno przedstawić dzieje świata w fakcie pojedynczym. Poezja jestto koncentracja, ściśnięcie ogółu w kształty konkretne (*Dichtung-Verdichtung* str. 258 w epilogu)....

Jeżeli w „Ahaswerze“ podziwiamy budowę mistrzowsko pomyślaną, mistrzowsko wykończoną i uwieńczoną prawdziwie klasycznym sklepieniem; niemniej podziwiać musimy misterność szczegółów, anatomję psychologiczną w prowadzeniu faktów, w pełnym prawdy i gorącego tętna, malowaniu uczuć i myśli osób działających, w opisach natury.

Na wstępie poeta mówi:

„Chcecie płomiennych scen? będę pijany,
Jako pieśniarze wasi od Sekwany:
Chcecie, by cudem przy blasku pochodni,
Strugi szalonej rozkoszy wytrysły?
Wytrysną: chcecie tytanicznych zbrodni?
Spełnią się zbrodnie. Chcecie, by wam zmysły,

Do krwi drasnawszy, wykręciła stopę,
 W tańcu lubieżnym, czysta Kalliope?
 Słuchajcie... oto spełniona nadzieja:
 Zrywa się z lutni krwawa epopeja
 Zgiełku i zbrodni, sytu i przesytu;
 Zrywa, grzmi, pali i pęka u szczytu!".....

Poeta wprowadza nas do stolicy świata, do Romy Cezarów: wyzywa ją z mogiły.

„Ale nie na to, by trupie jój kości,
 Dech wam owiąży zgnilizną starości:
 Wypowiem tylko, jak w bólach skurczona,
 Drgała w dławiającym uścisku Nerona.”

Na skinienie wieszczą, Rzym zmartwychwstaje przed naszymi oczyma, w majestacie marmurowych świątyń, łuków tryumfalnych, łuków wyciosanych z kamienia. Po świetnych ulicach grodu roją się plemiona wszystkich stref ówczesnego świata.

„Ileż tam, ile szczebli tój drabiny?
 Od komet ziemskich, co w złocie, w jedwabiu,
 Tak się kołyszą jak kibić korabiu;
 Do ócz zamarłych frygijskiej dziewczyny,
 Co krwi szczątkami, ponętą bielidła,
 Młodzież kwirycką wywabia na sidła.”

Już się zmierzcha, w ciasniejsze zakręty miasta mrok spadać zaczyna. Ulicą, wśród natłoku przeciskają się szybko czterej Rzymianie, otuleni w płaszczce, z brodami przyprawianemi. To Nero, Burrus dowódzca drabantów cesarskich, łysy, zerkający chytremi oczyma Seneka, i śniady Tygiellin, niegdyś ulubiony niewolnik, dziś najserdeczniejszy powiernik, zbir maurytański, smukła, niemrawa postać, skurczony jak żmija; najjadowitszy z gadów, jaki wyległa kraina nubijska, a Rzym wykarmił.

Przeciskają się przez szeregi tłumu; wtém z tłumu przecisnął się do Nerona starzec, w

.....Szarój na strzepy podartój oponie,
 Włos biały, długi zaściela mu skronie;
 Czoło, to skała można, jak świat stara,
 W niej oczy gnieźdzą się jak orłów para.
 Ot, zda się, dziki cyklop ...lub przedwieczny
 Człowiek, co w puszczech wzrosł bez człowieczeństwa,
 Za kresem życia i zorzy słonecznej.
 W oku, gry wszystkie: to błyski szaleństwa,
 To dreszcz żebraczy, to straszna potęga
 Ducha, co krańce natury przesięga.....

Tajemniczy starzec, kto on być może? czy żebrak, czy wioślarz, który pod masztem sydońskim zdobywszy starość, teraz goni za śmiercią; czy wieszczy prorok? czy łotr zbiegły? Takie pytania zadaje sobie Nero i współwędrownicy, albowiem tajemniczy zdumiewał mimowoli nieustannymi zmianami rysów i postawy. Kolejno był to starzec kaszlący, młodzieniec, w którym krew kipi, męczennik z głową pogrzebianą w cierpieniach i walce; błyskawica zapału, dziadek skurczony, rówiennik Argonautów:

„Nie, mówi Nero, tak dumnie święcie może tylko głowa, z której strącono koronę, a gwałty losu zgmiotły w niej światło rozumu.” Nero nie mógł zapomnieć tej postaci i puścił się w pogoń za tajemniczym, który wciąż znikał mu w tłumie. W miarę jak Nero i towarzysze podwajali kroki i pomrok też pośpieszał; wreszcie noc zapadła.

..... Ależ, na Hekate,
Rzekł Nero, dziadek ma pięty skrzydlate!
Ba... on przebrany... Szczwaniec, szczwaniec młody
Na erotyczne puszcza się przygody.
Wtém, niby odprysk trzeszczącej pochodni,
Błysnęło światło i ten błysk przechodni
Ołśnił posępnie twarz wychudłą, płową,
Od trupiiej czaszki zimniejszą, widmową,
Jak Faraona twarz, kiedy zbutwiała,
Z grobu piramid wysiądzię na gruzy,
W których dwadzieścia stuleci przespała.

Nero odskoczył, jakby nastąpił na głowę Meduzy; ale cudowność nieodpartą siłą popychała go w ślady uciekającego trupa.

Pogoń za tajemniczym wywabiła naszych koczowników aż na południowy kraniec miasta, gdzie wznosiła się, a raczej wrastała w ziemię, licha gospoda, z której wyzierające światółko nędznie mocoowało się z blaskiem księżyca. Była to winiarnia Lokusty. Dopełdzając tajemniczego z daleka, Nero wszedł za nim pierwszy do taberny, za Neronem Burrus i Tygiellin, łysy stoik wszedł ostatni. Starzec usadowił się w najcichszym zakątku gwarniej gospody, Nero z towarzyszami zajęli kąt przeciwległy. Wtenczas to dopiero władca po raz pierwszy spuszczaając oko ze starca, rozejrzał się po tłumie. Był to tłum włóczęgów, brudna piana społeczności stołecznej, ruja opojów, głupia, beczynna, jak krocie robactwa, które się lęguie w błocie plebejowskiem. Tam:

„Dziki gladyator, tu żołdak pijany,
Nautylus, niegdyś na falach odmgętu
Zbójca, dziś sławny posiadacz okrętu,
A niewolnikiem na rynku frymarczy.
Śniady Egipczyk z pod milczenia tarczy,

Łowiąc posłuchy, koczując po świecie,
W taniec zapędza gadzinę przy flecie.“

Jest tam przybłąda z Anatolii, mistagog, zbierający pieniądze szalbierstwem, wróży, zamawia choroby, sprzedaje cuda, jad i eliksiry. Jest i greczynek, niegdyś wychowawca dzieci, wymowny, docinający żądłem, jak osa.

Ale królową salonu pijaków jest Lokusta, skrętna, bezzęba kobięta, obeznana nie z jednym sokiem, i to celniejszym, aniżeli ten płyn marny, którym raczy gości. I nieraz maska, lub welon tułaczy nawiedza czarownicę o samej północy, wpychając w jej trupią dłoń garść złota za szklącą się flaszkę i *za mleczenie dozgonne*. I głuche błakają się wieści, że dostojne żony i mężowie.... Lokusta w „Ahaswerze,“ stanowi ważną, zakulisową sprężynę.

Do gwarnej już gospody zajeżdża nowy spóźniony przybysz: to Sakkus, szewc z Benewentu, typowa postać, przyszły mistrz obrzędów. Odprowadziwszy osiołka, na którym przybył, wpada nasz benewentczyk do winiarni; dostojni goście nie mogą się dosyć napodziwiać jego długich uszów, nóg jak wrzeciona, i beczki ciasta, którą natrętnie przypominała jego tusza niezmiernona. Następuje powitanie z Lokustą, pełne charakteru i dosadnej humorystyki. Wszczyna się szynkowy traktat o rzeczach publicznych.

Nero pilnie nadstawia ucha.

„Jakże tam Roma?“

—Ot, tak, kubek w kubek,

Nie przymierzając, jak szewc z Benewentu:

Nóżki kurzemi kroczący kadłubek;

Dwie krople wody, Rzym, to brzuch pyzaty;

Wszystkie swe członki pozjadał z kolei.

Co prawda, po co mu te marne graty,

Gdy sute życie i bez nich się klei.

—Cóż robi, Nero?

—Tak sobie: łby ścina,

Zwodzi kobiety, po igrzyskach lata,

Wina, muzyki, uczt sobie nie skąpi;

Nieraz publicznie ze śpiewem wystąpi,

Zadnie na flecie, jak pantomin stanic,

Albo woźnica w cyrkowym rydwanie.

„Co robi Nero“ atóż mi zadał;

Czy chcesz, abym płuca do rdzeni wygadał?“

— Tak, wtrącił drugi, ani ci się marzy,

Ile ten olbrzym sił w sobie kojarzy.

Masz w nim krwiożercę, hulakę, trefnisia,

Masz w nim Cezara; trapią go chwilami

Jakby nalotne, dziwne widzimisia:

Wtedy otacza się astronomami;

Gwiazdy przegląda, uczonych zaprzęta
 Krocią zagadnień. Niechże mu gwiazdziarze
 W słówku się zatną: to głowy ściąć każe.
 — A jakie plany, przebaknął ktoś z kąta,
 Jakie pomysły płodzi ten mózg gracki:
 Słyszę, rozkopać chce przesmyk helladzki,
 Tuż pod mur Rzymu morze przyprowadzić;
 Brnąć coraz głębszym fantazyi obszarem,
 Chce dzieje światów w jeden stos zgromadzić,
 I wiekopomnym związać sześciomiarem,
 W epos olbrzymie.

— Błazen, pomruknął pedagog..

Błazen powiadam.

— Tak to, zjadliwie odpisał greczynek,
 Tak bywa, kiedy się jest Rzymianinem:
 Wszak tu hetmani bywali chłopami!
 Czyż nie bywali?

My, Grecy, my sami,

Lud bohaterów—

— O! światła czciciecie,

Odparł szydyczko Nautylus, wy starzy,
 Zawsze przed nami, wy zawsze na czele.
 Wprawdzie Rzym pełen głodnych łachmaniarzy,
 Którzy wciąż trąbiąc o helleńskim szczepie,
 Choć gdzieś za Pontem wylegli się w stepie,
 Z pod stołów naszych ogryzają gnaty,
 Zawsze to Grecy: co tam my Rzymianie!

Sprzeczka zatliła się, Sakkus łagodzi i pierwsze iskry zalewa
 sokiem Bachusa, przy którym wkrótce miał zostać Sylenem.

Sakkus ocala dobre imię Nerona. „Niepodobna, mówi, aby
 mąż z którego ust i piersi bucha prąd życia, miał bez ustanku, jak
 tłusty prokonsul, bując się tylko w czworokolnym krześle, lub jak
 dziś zwykli patrycyusze, na całą dobę topić wzrok i myśli w stoli-
 kach cyprysowych, albo w tui z Atlantu, śledząc, czy jój słoje ścięły
 się w płamy, czy w tygrysie cętki, czy w promieniu pawiego ogona.“

Z dalszych pochwał lub docinków, podlanych kwaskowatą lurą,
 którą Lokusta śmiała nazywać nektarem, Nero dowiadyuje się o so-
 bie, że nie czarnoksiężka, na której Agrypina piękna ale władzy nie-
 syta, trzymała dotąd syna, że ta nie naraz pękła i Nero jest wolnym,
 od chwili, jak czterdziestowiosenna, ale wiecznie młoda matka, um-
 knęła z Rzymu do dziedzicznych włości. „Ale, dodaje Nautylus, jak-
 bym wiedział, jeszcze ona wróci, bo umknęła z zemstą.“ Na to Sakkus:

„E! dajże pokój, czyż pod babią szatą,
 Uleży tytan? czy dłoń, co dziś wszędzie,
 Szcutki wszechświata daje, cierpieć będzie,
 Cień który obok śmiał stanąć?...”

Tymczasem greczyn podchwytną, złośliwie dodaje:

—A przytém,
Mój Sakku, dodaj ów gorąco-krwisty,
Błazeński popęd do sławy *artysty*;
Który śmie pragnąć, by świat nie na żarty
Widział w nim mistrza i arcyśpiewaka.
A świat wie przecie, że to głos rozdarty,
Że arcyśpiewak po kruczemu kraka.“

Nagle przerwały się docinki greczyna. Na ciasnym gardle poczuł on w jednej chwili żelazny uścisk: Nero dusił zjadliwego humorystę, gniotł Zoila prawdziwie po mistrzowski, jak można pantera gniecie brytana, który ją oszczekał. Targa się greczynę, ale nie tak snadno wydostać się z uździenicy żył Neronskich. Zapala się bójka powszechna w dymnej gospodzie. Burrus i Tygiellin zmagają się z czernią, jak para bawołów, z psów sforami.

Nadbiega rozjemca, to Sakkus benewencki, ale nadbiega nie sam. Prowadzi on drżącą z przestachu, młodziuchną, dziecięcą prawie Gadytynkę. Jój imię Aktea, sierota po koczującej tancerce hiszpańskiej, którą wieść o bogatym Rzymie, znęciła do stolicy świata, oczarowała nadzieją zdobycia chleba matce i dziecięciu. Lecz matka, zaledwie przybywszy do Rzymu, umarła, zostawiając na rękach Lukusty dziecko i całą spuściznę: wypłowiła tancerską sukienkę, wytkaną szklannym bisiosem.

Odciągnąwszy ją przemocą od trzonu, przy którym marzyła, wpatrując się w stos węgla, Sakkus wrzaskliwie wzywa do zgody. Wskazuje gościom zdobyte przy ognisku „złote runo.“ Jak tysiąc strzał do wspólnej mety puszczonych, wszystkie spojrzenia utkwiły w róży Gadesu.

Cudownie odmalował poeta tę piękność poranną, w której oczach bezwiedna trwoga z nieskazytanie dziewczęcą przejrzystością duszy zlewały się w przedziwną harmonię.

„Tańca! tańca!“ krzyczy pijana tłuszcza. Lokusta opiera się chwilowo, ale wszechmocny *nummus złoty* z wizerunkiem Cezara rozbroił sprzedajną bezzębę. Znalazła się i muzyka, śniady czarownik, pogromca węzów ujął het podróżny. Na rozkaz Lokusty Aktea znika na chwilę, i wnet wraca w spadkowej sukience ze szklannym bisiorkiem. Dosadnie opisanym jest taniec Aktei; taniec hiszpanki to jój natura, taniec ona wysysa z piersi matki.

Aktea olśniła oczy i dusze. Obiegają dziewczę i ciągną dokoła. Najśmielszy porywa ją na ręce, jak Polifem boginią morza i pobladał jój twarzyczkę plami bydlęcą pieszczotą, brodą kudłatą. Krzyknęła dziewczeczka; napróżno się szarpie i wysila po niedawnym znękanu w tańcu. Wtém pięść spada na twarz Polifema, czuć że ułożona z ręki poważnej, to pieczęć Nerona. W jednej chwili gołębnica uleciała ze szponów jastrzębich. Ale teraz wszczyną się bój śmiertelny, już nie pięście, lecz czary, stoły, stołki i ławy spadają, łamiąc lub łamiąc się.

„Taką wścickłością wre pijacka sfora,
 Wąż się losy wszechtryumfatora.
 Widzisz tam w gąszczu śniadego Nautyla?
 Łapą korsarską po dzban się nachyla;
 W ramię celuje kamiennym taranem:
 Chwila, a ramię to będzie strzaskaném,
 Chwila—wyroczną tę chwilę człowieka
 Przeciął wykrzykiem struchlały Seneka:
 „Stój, stój! ty mierzysz do głowy Nerona!”
 I dłoń korsarza, jak w gład obrócona,
 Martwo zawisła; w obec świętokradzcy
 Stał mocarz ziemi, straszny, iskrooki,
 Nieustraszony. W obliczu wszechwładzcy
 Zdaje się, spokój prześwieca głęboki;
 Spokój? a przecież nocni wojownicy
 Czują w powietrzu przebieg błyskawicy;
 Spokój? a przecież śmiejący w popłochu,
 Lżyć piorun w maskę włóczęgi ukryty,
 Teraz truchleją, strąceni do prochu,
 Martwi, jak grobu granitowe płyty;
 Licząc w pamięci docinki i brednie,
 Które z nich wino wymiotło bezwiednie.

Sam tylko szewc z Benewentu nie traci odwagi; występuje z aktem poddania się na łaskę i niełaskę, oskarża jako główną sprawczynię szaleń, Lokustę, która zamiast wina uraczyła ich kisłą lurą. Ona więc zasługuje na śmierć, lecz jeśli dostąpi miłosierdzia, winna dać Akteę za małżonkę władzcy. Manewr poszedł pomyślnie, i paszcza tygrysia zamknęła się bezkarnie. Nero roześmiał się śmiechem homerycznym i rzekł: „W imię Gadytanki, którą jako małżonkę przyjmuję w podarunku, macie przebaczenie. Dziś ją poślubiam, obyczajem Rzymian; Lokusto! woła jest moją, aby dziś płynęły strugi wina, Sakkus będzie mistrzem obrzędu.”

Ecoel zagrzmiało w tłumie
 „Niech żyje wielki mąż i Gadytanko!”
 — A ona? grzmotem ogłuszone, biedne
 Dziecię niedoli, ach! jeszcze bezwiedne
 Śmierci dziewczęcej, spojrzeniem powleka,
 Z tłumów na tłumy, po wrzaskliwej scenie
 Jak obłąkana—a wtém w jój spojrzenie
 Wdziera się postać straszego człowieka.
 Postać przedziwnie piękna, lecz straszliwa,
 Groźba na ustach i szydercze piętno:
 W oku blask życia, ten blask się rozlęwa,
 Spływa w jój oczy, z żądzą tak namiętną,

Że krew, że dusza, jak trwożny gołąbek,
Zbiegły jój w sercu pod najgłębszy rąbek."

Na cześć zaślubin rozpoczyna się prawdziwa uczta dla motłochu; wino, muzyka, tańce skoczków i skoczek, zgiełk i wrzawa bez końca, gdyż Nero nakazał, aby przed jego powrotem nikogo nie wypuszczono.

Nieruchomy w swoim zakęcie, siedzi starzec tajemniczy, jego to miał Nero na myśli, wydając nakaz.

Siedział tedy blady gość bez ruchu i mowy, bo ruch i mowa wpiły się jaskrawo w grę oczów, w czujność kędzierzawej głowy.

„Żyd, żyd, krzyczano dojrawszy go w ustroniu.

— Nie, to żebrak, krzyczano z drugiej strony.

Hetery nawet drażnią go i targają spadającą na piersi brodę starca.

Lecz ktokolwiek spotka się z jego spojrzeniem, wnet odskoczy ze wstrętem.

„Twarz zagadkowa zdumiewa i drażni,
Coraz to nowym cudem przeobraźni:
Młodzian przed chwilą, utonął za chwilę
W siwój starości, w zmarszczkach i bezsile.
A potem, jakby na pośmiech, zgarbiony
Zionał straszliwém obliczem Gorgony;
Którój sam Nero uląkł się o zmierzchu.
Kiedy odskoczą strachem opętani,
Zda się, że słychać jak tam na dnie krtani,
Chrapią i chrapiąc prą z gardła do wierzchu
Śmiechy najdziksze, aż widmo się pieni
W spazmach chychotu, jak w kurczach szaleni.

Ukazuje się Nero z powrotem, zaprasza cały motłoch na ucztę wieczorną w pałacu Awentyńskim. Tłuszcza przyjmuje zaproszenie grzmotem: *Evoe Nero!* Wreszcie następuje spotkanie się Nerona oko w oko z Ahaswerem.

„.....I tylko jeden, jak mumia, spowita
W całun milczenia, siedzi na uboczu
Niemy Ahaswer.

— Cóż, Nero go pyta,
Drażniąc uśmiechem skamieniałość oczu:
Tyżeś to jeden, wrzawy i rozruchu
Nie chciał podzielić? Ach! milczący duchu,
Czy téż szaleńcze, bo i tego miana
Zdajesz się godnym”...

I w obec motłochu
Posąg milczenia otrząsnął się z prochu;
Powstał, czerń zdumiał kształtami tytana.

Tak! z gruzów starca, w których niby w grobie,
Próchniał przed chwilą, pochowany w sobie;
Tytan, lecz dumie tytańskiej podola
Nieustrasżoność cesarskiego czoła.

— I któż ty jesteś, z samowładnym gestem
Nero zapyta:

— Zaprawdę, ja jestem...

Jestem ten, który chce umrzeć.

— Słyszycie?

Cha, cha! chce umrzeć... Słuchaj, a ja jestem,
Jestem ten, który chce żyć. Tak, mnie życie,
Mnie pcha bezsenna potęga żywota.

— A mnie bezsenna do śmierci tęsknota!
Lecz śmierć, lecz nawet sen odemnie stroni!

Goniąc za śmiercią, otom w tój pogoni
Na Rzym nastąpił, na to zgniłe ciało,
Gdzie wiele, wiele na zgon już dojrzało;
Gdzie ja przez zbytek, zwodniczą krwi dzielność,
Czuję wiszącą w powietrzu śmiertelność,
Zniszczenie, które od nocy do świtu

Trawić go będzie aż do krańców bytu:
Bodaj z olbrzymem, stoczonym od dołu
I mnie powiodło się skonać pospołu.

— Dość, dość, znekany żywotem olbrzymie:

Słuchaj, (z uśmiechem Nero mu odpiera),
Sam ty doświadczysz, że jeszcze w tym Rzymie
Nie tak się nędznie żyje i umiera.

Razem, jeśli mi będziesz towarzyszem,
My, dwa bieguny: bezsenna tęsknota
Do śmierci, i prąd bezsenny żywota;
My się po falach czasu pokołyszem.

— Nie, mówi starzec, nie myślę ja wcale
Być towarzyszem, współniukiem w zakale,
Służalcem twoim: chcę, jak cień posępny,
Kroczyć przy tobie, ja, duch nieodstępny.
Dla ciebie przyszedł do twojej stolicy,
Nie ty, nie twoi płatni poplecznicy,
Starca ścigali wczoraj po ukryciach;
Nie: sam ty byłeś ściganém zwierzęciem,
Jam to cudowném wabił cię zakłęciem,
Zespolił ciebie na tajemnych niciach
Z mojem jestestwem.....

— Ty, potęgo mroków!

Czego odemnie chcesz?

— Chcę ci, Neronie

Pomódz w spełnieniu się twoich wyroków.

— Moich wyroków? Alboż to mi skronie

Zmarszczka pokrywa lub szron je ocienia?
— Neronie! blizką jest chwila spełnienia.

Pomijamy w niniejszym przeglądzie i najpiękniejsze obrazy, jakie poeta tu i owdzie rozsiewa po drodze, i posuwamy się w linii prostej, główny wątek wskazując.

W awentyńskim ogrodzie Nerona poczyna się uczta. Ruch niesłychany, jakiego nie zapamiętają czarodziejskie zacisza Awentynu; wśród morza wonności, wśród lasu granatów, wśród gór fantastycznych, z których jak z purpury płaszcza cesarskiego, bują się grona perłowe, już krociami roją się pierwsi gońcy stypy Bachusa. Czuć w powietrzu tę ciężą biesiadną, z której niebawem wypadną pioruny olimpijskie; dziś bowiem nastąpić ma apoteoza.

Po korycie Tybru, wysłanem lawą promieni księżycowych, płynie flota prowadząca gości z najwyższych warstw patrycyatu; bo motłoch, zaproszony zeszedł nocy w gospodzie Lokusty, już dawno przybył i snuje się po gajach wawrzynu. Po klombach, po bronzowych biustach, wannach i posągach, w kształcie wiszących girland, rozlewa się słońce nocy, lampy i pochodnie.

Wzdłuż i wszerz po parkach ciągną się namioty z płócien szkarłatnych, kobierce wełniane; bluszczami porośnięte grotty, dziś odziane w purpurową poszewkę, wabią do wnętrza swego złotogłowiami i przepychem rozesłanych wezgłowiów; po jeziorach snują się stada gondol.

Już ucztowa osada wysiadła z łodzi, przebiega po obszarach kwiatu, przechodzi portyk przystrojony w wieńce, schody z porfiru wysłane pilśnioweni kobiercami a potem czarodziejski ogród pałacu; były to jakby owe legiony ptastwa, które, wyległszy z gąszczu w dobie wieczornej, z pieśnią wędrowną ślania się po świecie.

Stanęli wreszcie i w trwodze hołdu, czekają, jakim słowem powitać ich raczy przyszedł bogów pogromca. Nagle, na hasło rozlegają się dźwięki muzyki, harmonia zagrzmiała, zdumiewając przybyłych. Aż tu naraz przetwarza się cały portyk: z półkola wystąpi olbrzymia kaskada, rośnie, rozziewa się i z płuc swoich miota błyskawice. Tak to Nero olśniewał oczy i wyobraźnię gości szeregiem coraz nowych cudów, ale na sam ostatek zachował cud nad cudami:

„Patrz! patrz! z ukrytych kadzielnic puszczonea

Mgławo powietrzna wzbija się opona,

Biała, pachnąca i w gorze rozpina

Pomrok ruchomy, jak gęsta korytna.

Teraz rozsuwa się wonna pokrywa:

Znikła—z pod włókien rozwianej na fale

Chmurki złudzenia, powstaje na scenie

Dziw niepojęty i oczom zdumienie:

Dwór bogów świata w olimpijskiej chwale,
 Nito ogrody, nito pyszne sale,
 Błóń wiekuista: na kwiatkach ze złota,
 Kwiaty ze złota utkane najszczerzej;
 Tam wśród wonności boskiego żywota,
 W grupach cudownych goszczą nieśmiertelni.“

Kiedy bogowie uczują, kiedy krajczy Olimpu Ganimed i Hebe roznoszą im nektar i ambrozyą, w oddali słyhać zgiełk i okrzyki. Zgiełk się przybliża coraz bardziej, i wdziera się nawet do świętego zacisza. Był to zamach na wiekuiste „farniente“ mieszkańców Olimpu, był to chór bachantów, z nowém bóstwem na czele: z Nero-Dyonizem.

Poeta ujął tu silną ręką pędzel klasyczny i utrzymał go przez cały obraz. Stoimy tu na samém jądrze świata mitycznego. W szalonym orszaku pędzą bachanci, pany, satyrowie; huczą tympany, grzmią kotły, rogi pod nadęciem ust grajków skręcają się i wiją, jak węże, na lwach, na rysiach kłusują menady, wcielone potęgi szaleństwa, tyrsami bodą potwory nagląc je do szybkiego pędu. Inne, jakby w gorączce obłąkania, skręciły twarze na ramię, wytrzeszczyły lśniące jaskrawa źrenice, zwijają się w locie, gną, kurczą się i łamią, porywają sarny, koźleta i wilczyce, rozdzierają jeńców, zdartą z nich skórę wrzucają na burkę, a potem jeszcze z krwi nie ociekłe członki łupu rzucają po drodze, jak zgniłe korzonki warzywa. Orszak zbliża się do końca; gdzież jest główny bohater mitu? gdzież słońce biesiady?

„Bacność! powstanie i słońce powstanie:
 Bacność! osnuty tłumy wrzaskliwemi,
 W tryumfatorskim zajeżdża rydwanie
 Pan na winnicach całokręgu ziemi,
 Bacho-Djonizos, bóstwo kędzierzawe,
 Lalka czupurna, z pogromną potęgą
 Sklejona czułość, pół-dziewictwo mdławe.“

Wóz płonący klejnotami i złotem, ciągną lwy, bujne, roste, złotogrzywe; po obu stronach rydwanu poważnie kroczą z pochodniami, słońce, w złocistych blachach, dysząc, a za każdym dychnięciem na ich piersiach kołyszają się szarfy. Dyonizos otulił się sutą oponą, żółtości szafranu; na skroniach miał wstęgę, w zgięciu pas przepyszny; przy nim siedzi na tronie wszechwładne świeżością bóstewko to dziecko aryadne, od wczoraj poślubiona Gadytanka, z wiankiem różanym w okół skroni. Dalej długim sznurem ciągną się satellici. Szewc benewencki był Sylenem pływającym na grzbiecie „swój łodzi długo-uchatej“, Tygiellin był Pryapem, Lokusta była Hekataj.

Dyonizos, przyjęty przez tłum piorunującym „Evoe“ wyprawia posłów z orędziem do bogów olimpijskich. Smutne to było poselstwo. „Czas Olimpu spełniły się, nadeszła chwila wcielenia się w czyn wyrocznych słów, któremi Prometeusz, przykówany łańcuchami do Kaukazu, odezwał się do Jowisza:

„Jak Uran ulegając sile przeznaczenia, ustąpił miejsca Chronosowi a potem Chronos Jowiszowi, tak dziś Jowisz niech ustąpi nowemu władcy.“

Potem następuje akt oskarżenia przeciw rządowi starego Olimpu, a potem wyrok. Stary Olimp zchodzi ze stolicy, zostawiając godła władzy i szczerki nieśmiertelnej uczyty na pastwę nowego dziedzica i motłochu. Bogowie starego świata ustąpili z godnością, wzbudzającą cześć nawet w upadku. Juno, nierozbrojona z dumy królewskiej, równie zachowała godność; Pallas, Minerwa, poczęta w bólach z czaszki Saturnina, tylko na liliowo nadobnych skroniach prześlicznej Wenus rozsunęła się pierwsza w jej życiu chmurka. Tłumy ze współczuciem spoglądały za odchodzącymi. A w jego sercu? .. O! i tam coś błysnęło: łezka krokodyla. Nero zasmucił się na wspomnienie, że z upadkiem Olimpu i „świat pigkna“ pochylił się na otchłani.

Ale ten obłoczek rozplynął się niebawem w potoku tysiącznych „Evoe“ okrzykujących ubóstwienie nowego Dyoniza, w blasku pachnących gierland i wieńców, spadających do stóp jego z rączek piękności rzymskich.

Na hasło dane przez niego, mrowie rzuca się na zdeptane ognisko pierwobogów, a potem uczta bez końca, którą zagaił Nero pierwszym toastem tryumfalnym na cześć „roskoszy życia i użycia.“ Wreszcie zaśpiewał dziki dytyramb, w którym wzywa do rokoszy; zapowiada nową erę ludzkości, ogłaszając siebie samego jej słońcem.

„Jednak, mówi Nero, moje millennium nie będzie to złoty wiek Saturna, wiek mleka i miodu, lub żółtego nektaru. Dziś trzeba nie ckiwój idylli, dziś trzeba gry namiętności, nie śmiechów, lecz gwałtu i wściekłości; nie zefirka lecz uraganu. Trzeba szalonej rokoszy, ale rokoszy bez końca.

„Myśli to mary; a czyny, to widma, spłodzone w obłąkaniu i niema świat bytu, prócz bytu rokoszy. Wszystko przeminie, wdzięki wygasną, puhary wyszumiają i tylko jedno żyć będzie wiecznie, pragnienie ta becзка Danaid bez końca i śmierci.

„Czém był świat przeszły, czém był sam Olimp staroświecki? Patrzcie oto godło władzy Jowisza. Dziś jest on cackiem w moim ręku, i chyba przyda się na zabawkę dla gości:

... a przecież z téj pracy

Grot pomsty miotała prawica Kronida:
To piorun“

I Nero boskiego kołczanu
 Rękami się chwycił; pod tkniętym piorunem
 Mruknęło złowieszczo, na wycie orkanu
 Zerwała się chmura i szarym całunem
 Rozściela nad sceną; przez orkan, przez cienie,
 Wciąż grzmiało, a grzmiało na jego skinienie.
 Aż tłum niekłamany otruchłał przestraczem.
 „Widzicież, to wróżba, żem jednym zamachem
 Zgniótł bogów, jak zgniotłem ich orły kaleki.
 I władnę, sam władnę, i będę na wieki.
 Umilkł lecz jeszcze czarnoksiężskie cienie
 Grzmiały, a grzmiały na jego skinienie.“

Któż teraz waży się podnieść głos przeciw apoteozie nowego
 Dyoniza?

Hołdy motłochu i poniżonój do równego z motłochem poziomu,
 optymacji rzymskiej, osobliwsza obojętność, z jaką samo fatum dzie-
 jowe przypatrywało się chorobliwój swawoli szalonego pół-kata, pół-
 kuglarza, wreszcie nie chwiejąca się jeszcze tak naocznie, realna po-
 tęga, ołśniły nietylko wyobraźnię Rzymian; ołśniły one samego
 Dyoniza. Duch ten zwichnięty doszedł do tój słabości, do jakiej do-
 chodzi niekiedy oko człowieka w stanie wyjątkowym. Jest to psy-
 chiczna choroba dwojenia się w swojej indywidualności, wśród której
 człowiek—*ja*, jak najwydatniej odstawia od siebie człowieka-przedmiot.
 Na wzór reszty otaczających go czcicieli, Nero sam uchylił czoło
 przed Nero-Dyonizem.

Na tymto gorącym uczynku wewnętrznego rozstąpienia się
 schwytał Nerona jego demon prześladowczy: Ahaswer.

Jeszcze były nie zagasty połyski od błyskawic podrobionego pio-
 runu, jeszcze biesiadnicy nie ochłonęli po mimowolnym dreszczu,
 kiedy po tłumie spłynęło nagle jaskrawe błysnięcie, a potem łamać
 się poczęło i zniika w pomroku.

Z pomroku wypływa napoły-trupia, żałobna wiedźma starości.
 Im jaśniej świecą błyskawice Nerona, tём czarniejszą oponą otula się
 wiedźma; ale mroczejąc, rośnie, przerasta nad tłumem.. Byłże to
 głos grozy Plutona, gromiącego świętokradzkie wyskoki fantazyi
 władcy? Pobledli widzowie. Ale dla Nerona, dosyć było spojrzeć
 w oczy widziadła. Zrozumiał. To żebrak tytaniczny, który wczoraj
 w jaskini Lokusty prześnił bezsennie noc całą.

„Tyżeś-to.... czarno-wróżbi ptaku,
 Lotem znęgany; tobie więc do smaku
 Orgie młodości!... ależ zapomniałem:
 — Tyś zaproszony, tak—duszą i ciałem;
 Bywaj nam, bywaj; choć spłoszyłeś dziarsko
 Okiem Nemezy zabawkę kuglarską.
 Wiem, wiem, przychodzisz rzucić tu zarzewie,
 Ogłosić światu nowe bezkrólewie;

Kości rodowa olimpijskich kości!
 W mgłach tajemnicy, w przekleństwie i zgrozie,
 Zamyślasz przeciw méj apoteozie:
 Na gwałt uderzyć w imię potomności.”

Ale tym razem Nero nie usłyszał odpowiedzi, Ahaswer znikł w tłumie, jak znika kropelka, rozpuszczona w płynie gron soczystych.

Nero puszcza się na wędrówkę po wawrzynowych gajach Awenty-
 ny. O chłodzie letniej nocy księżycowej, pod baldachinem grana-
 tów i laurów, przechadza się najpiękniejsza z pięknych: Poppea,
 wsparta na ramieniu męża, Ottona.

Otto, nieocenione ognisko owego typu przybyszowych pełzaczy,
 pochlebców, co to łaszcząc się okręcali po biodrach kolosu rzymskie-
 go, wyczekując tylko na chwilę wstrząśnienia, aby wtenczas utkwic
 w nim żądło, skoro nastanie dzień rozproszenia kości Kwirynu”¹⁾.

...., „Otto lis szczwany, gołąbek przed światem,
 Sokół za światem, już flegmą łotrowską
 Raźnie odchrząknął i w światłość pół-boską,
 Na całe gardło wystrzelił wiwatem!”

Potulny blondynek aż do potów czoła wyczerpał całą mitolo-
 gię na uwielbienie Olimpianina.

„Nie, władyno, ty nie jesteś Bachusem; ty plemię Urano-Chro-
 no-Jowiszowe, ty nam dałeś Olimp, ty jesteś Jowisz Apollo!”

Było to naturalne wywzajemnienie się, bo Jowisz-Apollo już od
 kilku chwil ścisnął białą, najpiękniejszą rękę, nie rękę Ottona! Pop-
 pea jest osobą historyczną, w *awentyńskim* znaczeniu wyrazu. Po
 wiosennej Gadytance, która w tej chwili błąka się kędyś po zaczar-
 owanych gajach cyprysu, laurów i granatów i usta, odarte z świętości po-
 całunkami rozkosznika, kąpie w falernie, po Aktei, jest ona dziś kró-
 lową gracyi. Szczęśliwy Otto, szczęśliwa Poppea; synogarlica, naj-
 zalotniejsza z kobiet siedmiogórnej stolicy: patrz, spętała Herkulesa,
 który dziś nie może się napatrzeć jęj wdzięk, jęj oczom błękit-
 nym, włosom bursztynowym; który po raz setny wzbijać się musi dla
 nięj w szlaki dytyramba.

Ale słusznie powiedział mocarz-artysta, że wszystko przemija
 I to „dzisiaj”, niestety przemienęto dla Poppei, jak błyskawica. Bo
 oto nagle oznajmiają przybycie świetnej gondoli. Cały tłum wyle-
 ga na brzeg Tybru; wyprawione od gondoli poselstwo, zapytuje w po-
 korze „czy wielki Dyonizos przyjmuje dziś odwiedziny nie zaproszo-
 nej biesiadnicy?”

— Przyjmuję, odpowiedział, przyjmuję nie zaproszoną, lecz
 nie bezimienną.

— Nasza królowa ma imię: bogini Roma! Bogini Roma pragnie
 powitać nowe bóstwo.

¹⁾ Wyrazy Horacyusza.

— Bogini Roma—odpowiedział—więc piękną być musi; niech bywa, niech bywa wielkoimienna.

I w jednej chwili opadły na gondoli purpurowe żagle, z pod zasłony ukazują się wilki uprzążone w złote popręgi, po rosy brylantach, tratując wonne postanie murawy, toczy się złoty rydwan bogini Romy. Zatrzymuje się przed Neronem.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Nowe dzieło Wiktora Hugo: *Avant l'Exil*.—Mowa akademicka: pochwała Lemeriera.—Listy Merimego do nowej nieznajomej.—Pani Delfina Girardin, jako publicystka i poetka, przez Imbert de Saint Amand.—Konferencya pana Leonzon le Duc, o kobietach skandynawskich i finlandzkich.—Sąd p. Cuvilleur Fleury, o korespondencyi Stanisława Augusta z panią Geoffrin.—Obyczaje Bearnów, przez p. Raimond.—Czarownice z Bearnu p. Lespy.—Uroczystości pamiątkowe na cześć Chateaubrianda, Argota, Michała Anioła i t. d.—Pomnik wzniesiony we Florenoyi Michałowi Aniołowi.—Obrazek dramatyczny, odegrany w paryżkiem Wodewillu: *Madame Lilli*, przez p. Marc Monnier.

Pod tytułem *Avant l'Exil*, Wiktor Hugo wydał w obszernym tomie wszystkie mowy swoje tak literackie jak polityczne z dziesięciu lat publicznego zawodu, od roku 1841 do chwili kiedy z ustanowieniem cesarstwa, na długo opuścił Francją. Jest to pierwszy tom wielkiej publikacyi, nacechowanej po większej części charakterem politycznym. Drugi tom *Pendant l'Exil*, nie wydany dotąd, obejmować będzie wszystkie odezwy wyrzeczone na obcej ziemi, bądź na wyspie Guernsey, bądź w Belgii. Trzeci tom *Après l'Exil* zawierać ma publiczne przemówienia i proklamacye, słowem wszystko co wyrzekł poeta od powrotu z obczyzny.

Z pomiędzy licznych mów zawartych w pierwszym tomie, wyrzeczonych tak w izbie parów, jak w izbie prawodawczej; pod sklepieniem pałacu akademickiego, jak nad otwartym grobem przyjaciół, najżywiej zajęta nas mowa akademika, wypowiedziana przed czterdziestu czterema laty, kiedy Wiktor Hugo zajmował krzesło po Lemercierze. Jak tu dziś mówić o rzeczy tak starzej? pytamy sami siebie, ale z drugiej strony, jakże przemilczć o niej? To prawdziwe arcydzieło w swoim rodzaju. Widzimy tam Wiktora Hugo jakim był, nim mrzonki socjalistyczne porwały go na nowe drogi, nim jad nienawiści przepalił je-

go serce, nim wygórowana pycha doprowadziła go do ubóstwienia własnej osobistości. Takim jak tam występuje Hugo, przetrwa on w literaturze francuskiej, przez długie wieki pozostanie jej chwałą.

Tém śmieliej podnosimy jego akademicką mowę, że w chwili kiedy wyrzekł ją wielki poeta, lat temu trzydzieści cztery, Biblioteka nasza, młodziuchne jeszcze, ledwie zrodzone dziecię, nie zajmowała się wtedy sprawami francuskiej akademii. Kroniki utrzymujące ją w związku z ogólnym ruchem, powstały w dziesięć lat później. Przepraszamy jednak za porównanie: Biblioteka nasza nie była nigdy niemożliwym. Ona jak grecka Athene zrodzona w hełmie i zbroi, od pierwszjej chwili oceniała puklerzem gród, który ją karmił i piastował. Wymownie pokazuje to szereg poważnych rozpraw z dziedziny historii literatury i nauk ścisłych, zapewniający pierwszy rok jej istnienia. Jeżeli cokolwiek bądź świadczy o duchu jej młodzięcym, to chyba owe siedemdziesiąt pieśni wyśpiewane przez nią w tymże roku. Te pieśni przecież, nie ubliżały w niczem jej powadze, jak również nie ubliża jej wszechstronnej wiedzy, ta okoliczność, że do dziesiątego roku życia, nie mieściła ani paryskich ni zagranicznych kronik. Mogłaż je mieścić wprzód, zaczął duch ludzki pędzony siłą pary i elektryczności, jął szukać w świecie całym odpowiednich sobie żywiołów?

Zobaczmy więc tę mowę wielkiego poety, wyrzeczoną na pochwałę Lemerciera, po którym obejmował krzesło. Wiktor Hugo przemawiał w chwili kiedy jako tryumfator w lat kilka po zwyciężwie, wchodził pod sklepienia, o które niedawno rozbijały się gromy przekleństw miotanych na szkołę romantyczną. Hugo wie, iż nie jeden z obecnych akademików, patrzy nań jak na burzyciela klasycznych tradycji, że większość ich może jeśli dała mu miejsce w gronie swoim, uczyniła to jedynie pod naciskiem opinii publicznej ¹⁾. Jakaż to pokusa dla tryumfatora! wsparty potęgą opinii, jak łatwo mógł upokorzyć zawziętych a dziś milczących przeciwników! Nie korzysta on przecież z tak pomyslniej sposobności, i tu właśnie okazuje się wyższym. Zamiast próżnych skarg, Hugo porywa odrazu myśl słuchaczy, pokazuje zkąd idzie, udowadnia że nie jest jakimś fantastycznym nowatorem, ale raczej nieodrodnym dzieckiem wieku swego. Nie wspomina on nawet imienia romantyzmu! odrazu prowadzi słuchaczy do źródła zkąd wytrysnął prąd myśli, który musiał odrodzić literaturę. Tém źródłem był najprzód wielki przewrót społeczny z końca zeszłego wieku, a następnie wielka epopea Napoleońska.

Hugo z całą potęgą wymowy podnosi bohatera, którego imię tak było wówczas popularnem we Francyi, którego prochy sprowadzone z po za dalekich mórz, znalazły pod kopułą inwalidów godny siebie grobowiec. Poeta, miłośnik antitezy, podnosi go tém wyżej, aby z tém

¹⁾ Wiktor Hugo obrany był na członka akademii francuskiej w styczniu 1841 r., większością dwóch głosów: 18 było za nim, 16 przeciw niemu.

większą siłą uwydatnić postać innego męża, który śmiał wystąpić do walki z olbrzymem. Oto własne jego słowa:

„W początku tego wieku Francya dała narodom wspaniałe widowisko. Człowiek jeden zapełniał ją wówczas, a uczynił ją tak wielką, że zapełniła Europę. Ten człowiek zrodzony w cieniu, syn ubożego szlachcica korsykańskiego, dziecko dwóch rzeczypospolitych: przez rodzinę rzeczypospolitej florenckiej, przez siebie rzeczypospolitej francuzkiej, doszedł w krótkim paśmie lat do najwyższej królewskości, jaką zapamięta historia. Monarchą uczynił go gieniusz, uczyniło go przeznaczenie, uczyniły go własne dzieła. Wszystko w nim znamionowało prawego spadkobiercę opatrnościowej potęgi. Miał za sobą trzy najwyższe warunki: zbieg zdarzeń, uznanie jednomyślne, uświęcenie. Zrodziła go rewolucya, wybrał go lud, koronował go papież. Olbrzymią była jego wojenna chwala, olbrzymie też jego zdobycze.

„Każdego roku posuwał granice swego państwa, po za obręb wspaniałych a niezbędnych granic, jakimi Bóg obwarował Francją. Jak Karloman zniósł Alpy, jak Ludwik XIV obalił Pirenee. Pod tym człowiekiem Francya liczyła sto trzydzieści departamentów; jednym ramieniem sięgała ujścia Elby, drugim trzymała Tyber. Czterdzieści cztery miliony Francuzów uważało w nim pana, sto milionów ludności europejskiej miało w nim protektora. Zbudował państwo swoje w centrum Europy, jakoby warowną cytadelę; za baszty i podmurza dał jój dziesięć monarchii, silnie połączonych z cesarstwem. Człowiek ten między jedną wojną a drugą, kopał kanały, urządzał gościńce, wyposażał teatry, wzbogacał akademie, dawał popęd odkryciom i wynalazkom, budował wiecznotrwale pomniki, redagował kodeksa.”

Ukazując tę tytaniczną postać, Wiktor Hugo dał wymownie poznać słuchaczom, że wiek który wydał takiego człowieka, musiał zamknąć w łonie swym posiew nowych idei, musiał jeżeli nie zerwać z tradycją wiekową, to przynajmniej wyrwać myśl ludzką ze starych krępujących ją więzów i pełnać ją w nowe tory. W poruszonem do gruntu społeczeństwie musiała zrodzić się nowa literatura.

Wiktor Hugo nie zrywa jednak z tradycją, przeciwnie uważa ją za kamień węgielny, na którym stoi naród. „Francya, mówi on, to nie jakaś kolonia zbudowana dorywczo, to nie Ameryka! Francya tworzy część Europy: nie zerwać jój z przeszłością, jak nie zerwać jój z ziemią własną!”

Obok Napoleona stawia mówca inną potęgę: Lemerciera, historyka, filozofa, poetę, słowem najgieniałniejszego przedstawiciela ówczesnej literatury. Kiedy wszystko kłoniło głowę przed bohaterem, Lemercier stał nieugięty. Zwycięzca który zniósł trzydzieści armii, nie zdołał go pokonać. Podnosząc ten niezłomny opór w wielkim piarszu, Wiktor Hugo z pełnym taktu umiarkowaniem, sądzi rozmaite pobudki jakie oddziaływały na współczesnych. „Niech mnie Bóg uchroni, mówi on, abym miał potępiać tych, którzy składali hołdy władcy świata. Człowiek ten był słońcem w narodzie, coś dziwnego,

że oczy ludzkie zwracały się ku słońcu! Azaliż nowe pokolenia mają prawo zarzucać ojcom ich uległość? Kto sam nie walczył, wolnoż mu wyrokować? Bądźmy sprawiedliwi tak dla tych, którzy skłonili czoło przed cesarzem, jak dla tych którzy ośmielili się stanąć przeciwko niemu. Zrozumiemy zapal jednych, uczcijmy opór drugich!”

Piękna to osobistość ów poeta walczący przeciw olbrzymowi: wspaniale też występuje Lemercier pod piórem Wiktora Hugo. Mówca w kilku zarysach uwydatnia ten wielki charakter; pokazuje zewnętrzne wpływy jakie działały nań od młodu, i nadały mu tę posagową postać, jaką zachował w dziejach literatury współczesnej. Wychowany na dworze Ludwika XVI, widział jak wieziono króla na plac egzekucyi; syn chrzestny pani Lamballe widział głowę jój obnoszoną na włóczni po ulicach Paryża; przyjaciel Andrzeja Chenier widział go pod gilotyną. Wszystko to widział mając lat dwadzieścia! pod wpływem tych wrażeń, stał się poważnym, surowym i milczącym: takim zawsze pozostał.

Chciwy wiedzy poeta a zarazem myśliciel, chodził dzień w dzień na posiedzenia konwencji. Zasiadał na ławie wśród tych ohydnych kobiet, które niewypuszczając z ręki drutów, piekielnym wrzaskiem potakiwały krwawym wyrokom i egzekucjom. Te kobiety patrząc na zanedbaną jego odzież, na wzrok bystro utkwiony w mówców, na gorączkowe ruchy, miały go za waryata. Raz gdy przyszedł później niż zwykle, jedna rzekła do drugiej: „usuń się, to miejsce idioty!”

Wkrótce potem spotkał młodego artylerzystę z Tulonu, tak jak on nieznanego. Obaj równie ubodzy, uczuli ku sobie wzajemny pociąg. Kiedy pani Béauharnais umyśliła oddać rękę temu artylerzyście, pytała Lemerciera, co świat powie na tak nierówny związek? Lemercier radził, by szła za głosem serca. Obaj młodzieńcy razem dobijali się sławy: pierwsze ich tryumfy przypadły jednocześnie. Kiedy Bonaparte wygrał bitwę pod Arcole i Lodi, Lemercier zbierał oklaski za Agamemnona w sali teatru francuzkiego. Przyjaźń ich wzmacniała się z każdym rokiem. W obec naczelnego wodza armii egipskiej, Lemercier czytał na zebraniu u Józefiny, tragedya egipską *Ophis*. Za czasów konsulatu, poeta zwykłym bywał gościem w Malmaison. Nie raz gdy pisał późno w noc, pierwszy konsul z dziecięcą pustotą wpadał do pokoju, gasił świecę i uciekał zanosząc się od śmiechu. Ufny w kilkoletnią przyjaźń, dnia jednego powierzył poccie tajemnicę: postanowił zostać cesarzem. Lemercier uczuł w téj chwili że traci przyjaciela. Oddalił się z godnością.

Podczas gdy Napoleon przebiegał świat na czele zwyciężkich armii, Lemercier w głębokiém ducha skupieniu tworzył swoje poemata i tragedye, pisał historyczne i filozoficzne rozprawy, rzucając w świat tysiące nowych myśli i wielkich społecznych zagadnień. Wtedyto rozpoczęła się owa zacięta walka dwóch potęg, walka w której Lemercier jakkolwiek pokonany nieraz przemocą, nigdy jednak nie wypuścił z ręki oręża. W tych dziesięcioletnich zapasach, jak się wyraża Wi-

ktor Hugo, ubito pod nim pięć wielkich dramatów! Ledwie przedstawione na scenie, znikły z afiszu na rozkaz silnego pogromcy.

Poeta nie widywał cesarza. Razu jednego przecież, jako członek instytutu zmuszony był przedstawić się w Tuilleries. Było to w roku 1812, wkrótce po usunięciu z repertoryum jego tragedyi Kamilli. Gdy wszedł, Napoleon przystąpił wprost do niego:

— I cóż panie Lemercier—zagadną—kiedy nam dasz piękną znów tragedye?

Poeta utkwiał w cesarzu wzrok przenikliwy.

— Wkrótce... czekam!—odrzekł spokojnie.

Proroctwa te słowa zapowiadały Waterloo:

A jednak dawne uczucie dla Napoleona tlało potajemnie w sercu poety; z drobnój iskiereki wybuchło płomieniem w obec nieszczęść wygnańca. Śmierć ożywiała tém bardziej drogą pamięć. Kiedy w roku 1840 rozeszła się po Paryżu wiadomość, że Anglia oddaje Francyi zwłoki cesarza, Lemercier chory już od pół roku, woła spiesźnie o dziennik, żąda aby go na głos odczytano. Dziennik oznajmia że fregata wypływa na wyspę Św. Heleny, że generał Bertrand spieszy po zwłoki swego pana.

Stary poeta blady, drżący, powstaje z łoża co żywo, łzy wytręsty mu na oblicze.

— O! gdybym ja mógł—zawoła,—pospieszyć po konsula mego! Umarł w tydzień potem, nie doczekał powrotu zwłok cesarskich.

Wiktor Hugo z miłością odmalował postać Lemerciera, z poszanowaniem wspomina jego niezliczone a tak wszechstronne prace literackie. I czemuż te tragedye, te poemata, owe historyczne i filozoficzne rozprawy, tak wysoko cenione przez współczesnych, tak potężnie wpływowe w swoim czasie, że odganiały sen z powiek Napoleona, dla czego pytamy to wszystko, znane dziś tylko uczonym z powołania? czemu ogół nie czerpie w tych bogactwach? Mówca odpowiada na to z całą delikatnością:

„Dwieście z górą lat temu, astronom Fabrycyusz odkrył na słońcu plamy, dwa tysiące z górą lat temu, grammatyk Zoil odkrył plamy w Homerze. Mógłbym i ja nie ubliżając pamięci poprzednika mego, do słusznych pochwał dołączyć małe zastrzeżenie, dla samego pożytku sztuki. Zatrzymam się jednak. To zastrzeżenie gdybym je uczynił miałoby na celu warunek, który w mniemaniu mojem, otwiera pisarzom wrota przyszłości: tym warunkiem styl piękny. Wolę milczeć, bo zresztą któż ja jestem? Kto mi dał moc rozcinać tak ważne pytania? Potomność tylko ma prawo krytyki i sądu, gdy idzie o ocenienie wyższych talentów. Przystałoż mi przemawiać w imieniu potomności? Aby czynić zarzuty takim ludziom, potrzeba być lub przynajmniej mniemać się wielkim pomiędzy współczesnymi. Nie mam ani tak szczęśliwego przywileju, ani tak nieszczęśliwej pretensyi!“

Jak wielka w tych słowach nauczka dla krytyków.

Oprócz mowy akademickiej przy objęciu krzesła, tom *Avant l'Exil* zawiera jeszcze dwie inne. Obie wyrzekł Wiktor Hugo w roku 1845, jako dyrektor akademii: jedną w odpowiedź przyjętemu do grona, profesorowi St. Marc Girardin, drugą słynnemu krytykowi Sainte-Beuve. Pierwszą z nich zakończy wspaniałą odezwą do literatów; te słowa dziś po latach czterdziestu, równie żywotne i znaczące jak w chwili gdy wyrzeczone zostały. Godzi się powtórzyć je i zapamiętać.

„Ludzie pióra! wy streszczacie w sobie zbiorową intelligencyą tłumów, wy jesteście czołem narodu! Jesteście żywem narzędziem niewidzialnej potęgi duchowej, strasznej, żadną nie powstrzymanej siłą. Aby nieprzepomnieć nigdy jak wielką odpowiedzialność wasza, zważcie jak potężnym wasz wpływ na drugich. Patrzcie na ojców, obliczajcie co oni uczynili; ojcami bowiem waszemi wszystkie genjusze, które od trzech tysięcy lat prowadziły naprzód lub wiodły na bezdroża, oświecały, albo wtrącały w obłąd rodzaj ludzki. Patrzcie na owocze zrodzone z ich posiewu. Homer stworzył więcej niż Achileasa, on stworzył Aleksandra Wielkiego. Wirgili uspokoił Italią po długim pasmie walk domowych; Lukan odpędzał sen z powiek Nerona, Tacyt uczynił Kaprę przegierzem Tyberyusza. W średnich wiekach Arystoteles panował nad umysłami, później Cerwantes zniweczył rycerstwo, Molier poprawił szlachtę i stan mieszczański, Kornel zaprawił rozum francuzki, rozumem starożytnych Rzymian. Kiedy pytano Fryderyka II, którego z królów lęka się w Europie? odpowiedział: króla Woltera! Literaci XVIII-go wieku podkopali dawne społeczeństwo, literaci wieku XIX-go, mogą wzmocnić nowe lub wstrząsnąć niem w posiadach. Wszędzie i zawsze ci wielcy marzyciele zwani filozofami i poetami, łączą się z życiem powszechném, z każdym tchnieniem ludzkości. Mysl tchnieniem jest tylko, lecz tchnienie to porusza świat do gruntu.“

Podnosi dalej Hugo wielkie powołanie ludzi pióra, pokazuje konieczność wytrwałej, mozolnej, nieustającej pracy, oznacza dwoisty jej kierunek; pracą niechaj pisarz zdobywa wiedzę, bogaci umysł; inną pracą tajemniczą, wewnętrzną, niechaj uzacnia serce, odradza duch, podnosi go w nieskończoność. Oto ostatnie słowa.

„Czy to przedstawiacie w teatrze, dla nauki tłumy, bądź z komizną, bądź z groźną strony, potrójną walkę charakterów, namiętności i zdarzeń, czy to w historii, pochyleni nad księgą, śledzicie pilnie, jaka idea kiełkuje pod każdym czynem ludzkim; czy to w poezyi, przelewacie duszę własną w dusze braci: w każdym słowie i w każdej pracy odnoście wszystko do Boga! Niechże tak samo w waszej intelligencyi jak i w świecie stworzonym. wszystko rozpoczyna się w Bogu! Wierzcie w Boga jak wierzą kobiety i dzieci. Niech ta wielka a prosta wiara stanie się kamieniem węgielnym wszystkich dzieł waszych. Sam tylko Bóg daje genuszom te połyski prawdy, które was porywają. Wiedzieć o tém wy myśliciele! Od czterech tysięcy lat mądrość ludzka

nic po za Nim nie wynalazła. Jeśli niekiedy w ciemnej i nieprzedartej sieci owych teorii filozoficznych, które człowiek wymyślił, promieniają tu i owdzie prawdy wieczne, nie wnoscie ztąd że te prawdy zrodzone z owej filozofii. W podobny błąd wpadłby zaprawdę ten, kto spostrzegając gwiazdy z po za drzewa, chciałby dowodzić że to kwiaty wykwitłe z tych czarnych konarów.“

W mowie wyrzeczonej w dniu, kiedy Sainte-Beuve obejmował krzesło po Kazimierzu Delavigne, Hugo z nieporównanym wdziękiem kreśli w kilku rysach obraz ulubionego śpiewaka *Messinianek*, słodkiego lirnika, który pieśnią opłakiwał klęski Francji.

Radosny z jój tryumfu, jój żalem zbolaty,
Me troski i pociechy składał u jój nóg;
Pieśnią chcę uczcić dni minionej chwały,
Łzę w dni boleści spłacić serca dług.

„Żył on i dumał na ustroni—mówi Hugo—kochał swoje pole, swój ogród, swój domek; patrzył z zadowoleniem, jak słońce majowe rozwija z pączka jego róże, jak słońce wrześniowe uzłaca jagody winogrodu. Ogrzewał serce w kółku rodziny i przyjaciół, przy kołysce dziecięcia. Dusza jego pragnęła ciszy. W samotności tworzył te poemata, które mi poruszał potem serca tłumów. Wszystkie też jego tragedye i pieśni, zrodzone pod wpływem głębokiego skupienia, uwiecznione tak wielkiem powodzeniem, zachowały dla każdego kto je czyta z uwagą, nieporównaną świeżość! Żył zarazem dla kraju i dla rodziny, podwójny tu otrzymywał wieniec: jako poeta zdobył sławę, jako człowiek, szczęście przy domowym ognisku.“

Stawa zakofatała sama w jego progi; zobaczmy jak Hugo opisuje tę chwilę.

„Upadł olbrzym: upadek jego zdał się być upadkiem Francji. Klęska była stanowcza. Dzień jeden wszystko zniszczył. Rzym nowoczesny jak niegdyś starożytny Rzym, stał się pastwą północnych plemion. Armie Europy wkroczyły do stolicy świata. Proporce dwudziestu narodów powiewały na placach. Wszystko to widziały nasze oczy; mężowie ze zgrozą patrzyli na ten obraz, dzieci z bolesnym podziwem.

„Upokorzenie było straszne. Francya z głową pochyloną, niby milcząca Niobe, płakała nad niedolą synów własnych. Pod okiem jój, o cztery dni zaledwie od Paryża, padły one gwardye dotąd niezwyciężone, które przypominały światu przestawne rzymskie legiony. Mężni polegli zgonem bohaterskim, nikt nie śmiał wspomnieć nawet ich imion. Gród milczał; z piersi żadnej nie wydarła się skarga, z ust nie zbiegło słowo pociechy. Rzekłby kto że naród wstydił się chwasty własnej.

„Nagle wśród téj głównej ciszy, ozwał się głos nieznanym, i przekiwnął na wskroś zbolate serca, rzewną, pełną miłości pieśnią. Ta pieśń, wyspiewana na cześć pokonanym, rozbudziła nieporównany za-

pał. Francya podniosła głowę. Młodzian dotąd nieznanym stał się narodowym poetą. Powiedzmy z chlubą; nazajutrz po dniu, kiedy Francya zapisała w dziejach żalobny wyraz *Waterloo*, wyryła w księdze narodowej swój chwale, imię Kazimierza Delavigne.

„I któryżby człowiek geniuszu—woła Hugo—nie oddał wszystkich arcydzieł, wszystkich wieńców, gdyby mu dano wzruszyć serce Francji zbolatęj i zrozpaczonej. Śluzna pozazdrościć takiej chwały poecie! Szczęśliwy syn o którym powiedzą: on był pociechą matki! szczęśliwy poeta gdy przyszłość powie o nim: on pocieszył swój naród!”

O! i czemuż, zapytamy, Wiktor Hugo potężniejszy od Delavigne, nie umiał pocieszyć narodu swego, gdy w czterdzieści lat potem, zbolata Francya, znów jak żalosna Niobe, zaptakała nad dolą nieszczęśliwych synów? Dlaczego *Rok straszny*, mimo tylu połysków genialnych nie spłynął rosą ożywczą na poranione serca? Dlaczego?... Bo więcej w nim przekleństw niż słodkich słów otuchy, więcej jadu nienawiści, niżli kojącego balsamu. Hugo nienawidził za miliony, pyta-my ażaliż ukochał za miliony?

I cóż sprawiło, że ten którego w piętnastym roku życia zwano *Enfant sublime* (szczytnym dziecięciem), który w młodzieńczych latach, siłą geniuszu zbudował nową szkołę poetyczną, której dobiegłszy lat męzkich, okryty wieńcami wkroczył zwycięzko w progi akademii francuzkiej, niby tryumfator w progi Kapitolu, i cóż sprawiło pyta-my, że ten wielki szermierz pióra, po czterdziestu latach pracy niezmordowanej, po dwudziestu latach tułactwa, stracił dawny urok w narodzie? Dlaczego w tém gorącym sercu szalał nienawiści zmącił przeczyste źródło natchnień? Odpowiedź na to łatwa: wieńce zdobyte na Kapitolu, zwiędły na Forum, pod palącym tchnieniem namiętności politycznych. Książka którą mamy pod ręką, wymownie o tém świadczy.

W obszernym wstępie pod tytułem: *Le Droit et la loi* (*prawo i ustawa*) Wiktor Hugo określa własny program: *Pro jure contra legem*, zapisał na swym politycznym sztandarze. Pod tém hasłem postanowił, jak mówi, bronić praw Bożych, przeciw ludzkim ustawom. Porwany szałem dyskusyi, chłostany strzałami przeciwników, unosił się częstokroć zadaleko; jak lew najeżał grzywę, pokazywał kły i pazury. W humorystyczny sposób przedstawia poeta owe zacięte szermierki parlamentarne, owe zniewagi jakie co dzień go dotykały. Posłuchajmy go tylko. Nie przemawia od siebie, ale w osobie trzeci.

„Dnia jednego w lipcu 1851 roku, zapowiedział z trybuny zamach Ludwika Napoleona, że prezydent pragnie zostać cesarzem. Głos jeden zawołał:

— Jesteś bezczelnym potwarcą!

„Innym razem kiedy powstawa przeciw deportacyi, przerwano mu w ten sposób:

— Ktoby powiedział że ta mowa kosztuje Francją dwadzieścia pięć franków (dieta deputowanego).

„W dniu kiedy rzucił z trybuny słowo dotąd nigdy nie zasłyszane: *Stany-Zjednoczone Europy*, pan Mole podniósł oczy ku niebu, powstał, przesunął się wolnym krokiem przez salę, skinął na większość aby wyszła z nim razem. Nikt nie wyszedł, powrócił oburzony.

„Niekiedy krzyki i śmiechy, trwały cały kwadrans. Orator wystawiony na pociski stał przyparty do muru plecyma. Czekał w milczeniu rychło burza przeminie.

„Przeciwnikom nie brakło werwy: pociski szły *crescendo*.

— Nie mówisz pan po francuzku! zanieś to do repertuaru teatralnego! Oszust! kusiciel! apostata! renegat! pijak krwi! zwierz dziki! poeta ¹⁾.“

Poeta! w tém może główna wina Wiktora Hugo. Przywykły gończy za ideałem na polu sztuki, pragnął on realizować na ziemi, pomyśły wyobraźni własnej. Spotkał rzeczywistość, spotkał ludzi mieniących się praktycznymi; walka musiała być zaciętą, tém zaciętszą że poeta naprzód jako par, później jako deputowany, otrzymał od narodu mandat, upoważniający go do realizowania swych ideałów. na drodze ekonomicznej i politycznej. Ten to po dwakroć dany mandat zaszkodził pocie; powołał go do walki na obcém, niewłaściwém mu polu; przepełnił goryczą jego duszę, a jeżeli bądź co bądź, nie odebrał twórczego polotu jego skrzydłom, sprawił jednakże, iż w obec klęsk narodu, Wiktor Hugo nie mógł stać się pocieszycielem ziomków, jak nim był w swoim czasie niższy talentem Kazimierz Delavigne.

Mania wydawania korespondencji zmarłych autorów, doszła dziś we Francyi do prawdziwej śmieszności. Otóż mamy znowu tom listów Prospera Merimego, pisanych do *nowej nieznanomój!* Nie wspominalibyśmy o nich, bo w rzeczy samej niema w nich nic, oprócz salonowych dowcipków i plotek; że jednak te listy pisane do Polki, rzućmy na nie pobieżnie okiem.

Jeżeli w dawniejszej korespondencji z pierwszą nieznanomą, trzy czwarte listów zamieszczone tylko dla powiększenia dzieła, zasługują na usunięcie; w tych które mamy pod ręką, należałoby usunąć jeszcze więcej. Z czterdziestu dziewięciu, przytaczamy oto jeden na próbę:

„Jutro jeśli będzie pogoda, złożę ci pani moje hołdy. Będę z doktorem N. na śniadaniu u G., potem zajrzę czy pani jesteś w domu. Łączę zapewnienie wysokiego szacunku.“

Ze Merimee napisał taki świstek, nie dziwimy się ani gorszymy tém bynajmniej; ale że wydawcy potrafili zapełnić nim dwie stronnice książki, to w rzeczy samej rzecz godna podziwienia. Tak jednakże jest: kto chce niech się przekona na stronnicy 223 i następnej!

¹⁾ Do tych posioisków mógłby poeta dołączyć jeszcze jeden, rzucony mu o wiele lat później, z daleka, i to przez poważne usta profesora i członka akademii: *klamiesz jak pies!* Nie chcemy utrzymywać aby gniew polskiego krytyka miał być bezzasadnym, utrzymujemy tylko że wyrażenie było nie-przyzwoite.

Nie wiemy jak wydawcy wyszli na tę publikacji, ale jeśli kto stracił na niej, to bez wątpienia pierwsza *nieznajoma*. Wyobraźmy sobie tę nową Beatryxę, przekonaną że ona sama przez lat trzydzieści z górą przewodniczyła Dantemu w jego pozaziemskich peregrynacjach, że ona sama prowadziła go to w czarne otchłanie Erebu, to znów w promieniste wyżyny niebios; wyobraźmy sobie tę Beatryxę, zatartą w obec świata (dla którego imię jej nie jest zapewne tajemnicą) przez inną, młodszą i ponętniejszą czarodziejkę!

Porównajmy daty, a zobaczymy że tego samego dnia, kiedy sześćdziesięcioletni zakaszlany Lowelace, wyprawiał strzeliste affekta do Londynu, gdzie przebywała pierwsza *nieznajoma*, tegoż dnia, do *kraju śniegów, wilków i niedźwiedzi*, śle w trop za drugą niemniej palące strzały. „Nie mówię nigdy o tobie, lecz myślę bezustanku, czytamy w jednym z listów, nie mówię, bo miałbym zbyt wiele do mówienia. Przestraszasz mnie czasami! Nie czuję się dosyć filozofem, abym cię miał bez obawy pokochać, lubo serce skłania się ku temu. Wolę widzieć w tobie czarodziejkę, co mi olśniewa oczy niby cudowne zjawisko.... Cesarz zaszczycił mnie wczoraj orderem; przysłałaś mi stokroć miłą dekoracją! pozwól ucałować tkliwie maleńką rączkę co zerwała ten kwiatek!“

Kto jest ta nowa *nieznajoma*? nazwisko jej nie wymienione w księdze, i my go też nie wymieniamy. Bardzo to jednak przezroczyście *incognito*; wiemy że korespondentka jest Polką, że mieszka, to jest że ma dobra na Podolu, zwane *Czarnym Ostrowem*, że zimę przepędza w Paryżu, Nicei lub Rzymie, lato u wód i kąpieli morskich, jesień u dworu w Compiègne; że krąży po świecie niby lotna jaskółka, a czasami nawet zabłąka się i do tego Czarnego Ostrowia, pełnego wilków i niedźwiedzi!

Bliższe stosunki akademika z tą *nieznajomą*, zawiązały się w Biaritz. Tam cesarzowa Eugenia, na wzór Klemencyi Izaury, odnowiła sławne igrzyska kwiatowe, przezwane inaczej *Cour d'Amour*. Prezydentką owiej akademii mianowano hrabinę ***, (*nieznajomą*), sekretarzem zaś Merimego.

W jaki sposób odbywały się te igrzyska, niewiadomo, gdyż w listach rozpoczętych r. 1865 został w nich tylko tytuł prezydentki, powtarzany w każdym na początku. Z tego jednak co mówi złośliwy akademik, o pięknych paniach składających dworskie grono, sądzimy że to była salonowa parodia. „Jakkolwiek, pisze on, nienawidzę *niebieskich pończoch (basbleues)*, żal mi jednak że panie nasze, nie wdzieją choć lekko błękitnawych. Jeśli usuniesz z rozmowy naszej politykę, literaturę i plotki, tych bowiem unikają w Biaritz, zobaczysz sama że nam brak częstokroć przedmiotu do rozmowy.“

Trudno jednak brać na seryo słów Merimego. Szydzi on ze wszystkich, nie przebacza samemu nawet cesarzowi, choć schyla przed nim czoło. „Za godzinę, pisze, idę złożyć hołd autorowi Cezara. Książka wprawia w kłopot tych, którzy chcieliby ją krytykować. Utrzymu-

ją że zbyt uczona dla nich; mówią że sąd o niej, należy raczej do akademii napisów, niż do akademii francuzkiéj. Są tu jednak piękne ustępy: dziwię się téj głębokiéj erudycyi; wyznają że przeszła wszelkie oczekiwanie. Żałuję tylko że autor nie posłuchał rady mojej: czemu nie skomentował po prostu komentarzy, a nie zostawił pedantom tekstów i rozpraw nad pytaniem, jak Rzymianie kładli szlafmycę.“

W kilka dni dodaje znowu: pracuję nad artykułem o drugim tomie Historji Juljusza Cezara. Pojmujesz jak muszę lawirować między skałami, żeby nie pokazać się ani dworakiem ani téż buntownikiem. Pocięsza mnie to tylko, że autor nie będzie czytał mojej pracy, ma ou dziś inne koty do czesania.“

Zobaczmy teraz jak Merimée ocenia naszą literaturę.

„Siostra twoja, pani, przysłała mi broszurę Markiza de Noailles o poezyi polskiéj. Rzecz zgrabnie obrócona, ale widzę z niej że nie macie wcale oryginalnej poezyi. Wasi poeci kopiują Greków albo biblią, częstokroć pierwszych i drugą razem. Czy przebaczysz mi gdy powiem, że stare ballady serbskie zachwycają mnie bardziej. Prawda że poezya tłumaczona prozą, zupełnie tak wygląda jak ładna kobiéta w habicie kapucyńskim. Jeszcze kobieta łutwiéj się wykręci, to podniesie rękawy, to otworzy suknię; gdy tymczasem proza rzuca ciężki płaszcz na najpiękniejsze kształty.“

Hrabia de Noailles, mówi w broszurze swojej o Kochanowskim, o Mickiewiczu i Zygmuncie Krasińskim. Kochanowski współczesny Ronsarda, musiał naśladować Greków, inaczej nie byłby poetą wieku swego. W trenach jednak zupełnie był oryginalnym, a tych przecieź nie pominął p. de Noailles. W Mickiewiczu zaś i Zygmuncie, jeśli Merimée dopatrzył naśladownictwo, to jedynie skutkiem złéj woli. Niedawno oto i pan Leger nazwał ich bajronistami!

Wkrótce potém otrzymuje akademik inne dzieło Markiza, niewątpliwie Historją Henryka Walezego. „Książka ta, pisze w liście, zajmuje mnie i bawi. Wybornie obmyślana, jednę ma tylko wadę, którą pani zapewne nie poganisz: zanadto tchnie polskością. Co do mnie, wiesz że jestem kozakiem!“

Jeśli Merimée tak pochopnie zarzuca drugim brak oryginalności, sam za to szuka jéj aż do zbytku. Zważmy sąd jego w przedmiocie lingwistyki: „X. śmiał się ze mnie, gdym utrzymywał że język litewski jest dyalektem słowiańskim. On dowodzi że to język całkiem odrębny. Oto zmuszony byłem odwołać się do wielkich powag, Maxa Müllera i t. d. Język litewski jest dyalektem słowiańskim działu wendyckiego. Najpodobniejszy on do sanskrytu z pomiędzy języków europejskich.“

Max Müller zdziwi się zapewne że powagą jego imienia, Merimée zastania swe dziwaczne wywody. Uczony professor z Oxfordu, łączy bez zaprzeczenia język litewski do języków aryjskich, i wykazuje pokrewieństwo ich w obec innych gałęzi mowy ludzkiéj. Nigdy przecieź nie utrzymywał, jakoby język litewski był prostém narzeczem słowiańskim.

Nieprześlągany szyderca, Merimée, śmieje się ze wszystkiego, nawet z życzliwości sąsiadów okazywanej mu w chorobie. „Poznałem się, pisze z Cannes, z piękną sąsiadką, zobaczysz pani w jaki dziwny sposób. Dla zabicia czasu, pisałem artykuł o Puszkynie, miałem z sobą jeden jego tom, trzeba mi było innych. Proszę więc przyjaciela, aby mi dostarczył ulotnych pieśni, które niewątpliwie każda rodaczka poety musiała przywieźć z sobą w podróznym mantelzaku. Tegoż dnia sąsiadka moja pani W. przysłała mi wielki pakiet. Czy zgadniesz pani com tu znalazł? oto ogromne dzwono jesiotra i kilka jarząbków z nad Wołgi, świeże zupełnie, jak widać przysłane telegrafem. Oceeniłem bardzo ten posiłek dla ciała, ofiarowany mi w miejsce pokarmu duchowego. Sąsiadka moja piękna. Jeśli nie przyślesz mi bardzo gorących słówek, gotów jestem zakochać się w niej zaraz. Widzisz co to jest zostawiać swego sekretarza tak długo bez pociechy, a co gorsza wystawionego na tak wielkie pokusy gastronomiczne.

„Zazdroszczę ci pani, mówi dalej, że jedziesz do Neapolu: to najpiękniejsze z miast włoskich. Spodziewam się że wezuwiał wyprawi ci fajerwerk na powitanie. Tylko nie zbliżaj się zbyt blisko do krateru: tu atmosfera siarki nadzwyczaj obrzydliwa. Jeśli to prawda że djabeł nią otoczony, wartoby uciec przed nim do raj, mimo nudnego towarzystwa, jakie tam można spotkać.“

Pessimista patrzy na wszystko przez jakiś czarny pryzmat. W chwili gdy Paryż błyszczy tak jasno podczas wielkiej wystawy, Merimée nie złudzony tym blaskiem, widzi piorun wzbierający w dalekiej chmurze. „Paryż nudny i smutny, pisze przy końcu lata. świat piękny się rozjechał, przemysłowcy spuścili nos na kwintę. Wszyscy się trwożą, sami nie wiedzą czego. Taką sensacją sprawią muzyka Mozarta w chwili kiedy Komandor wystąpić ma przy uczcie. Bismark który jest Komandorem, nie ukaże się zaraz, wieści o rychłej wojnie są bez podstawy, a jednak duszno tu jakoś, wszyscy rozstrojeni, jakby w oczekiwaniu katastrofy. Słowem wszyscy głupi i znudzeni, nie ma na to lekarstwa.“

Taką to cmentarną piosenkę, złowrogi puszczyk pokwila tryumfującym w te czasy Paryżowi!

Ze wydawcy ogłosili te listy, łatwo nam to zrozumieć: imię Merimego mogło być ponętą dla chciwych wrażeń czytelników, smakujących w soli i pieprzu. Trudno nam tylko pojąć, co skłoniło korespondentkę do pozwolenia na taką publikację. Zobaczymy oto komplementa, jakie prawi jój co chwila stary cynik: „Najważniejszem dla mnie pytaniem jest dziś fryzura twoja, miła prezydentowo: pozwalam ci nosić suknie i kapelusze jakich wymaga moda, ale nie szpecć przynajmniej głowy, którą otrzymałaś od Boga w darze. I tak ona dosyć już wielka, skoro mieści w sobie tyle kokieteryi, nie powiększajże jój naśladowując włosami czapkę baszibuzuka.“

W innym liście pozwala sobie jeszcze więcej: „Pani nadzwyczaj miła, podobna do ciebie z wielu względów, tak jak ty kokietka, rada-

by zarówno podobać się pierwszemu lepszeemu psu, byle nosił kapelusz na głowie, jaki najpiękniejszemu i największemu z ludzi. Rozumna, piękna, wesoła, czaruje mnie, ale nasze atomy haczykowate, jakoś do siebie nie przystały. Brak jęj czegoś co się wypowiedzieć nie da, a co sprawia że cię tak kocham.“

Czyż pytamy, kobięta, która zachowała uczucie godności osobistęj, pozwala pisywać do siebie takie listy; czyż ogłasza drukiem podobną korespondencyą?

Z tęj sfery tak poziomęj podnieśmy oczy wyżęj. Inaczęj przemawiają do nas inne listy, które także mamy pod ręką, pisane do jednęj z najwyżęj utalentowanych i najsilnięj wpływowych kobięt tego wieku, pani Delfiny Girardin. Wydał je niedawno Imbert de Saint Amand, a raczęj dołączył je do ciekawego studyum, nad pracami tęj niepospolitęj autorki. Są to listy Lamartina, Chateaubrianda i panny Rachel. Z pierwszym łączyła ją trzydziestoletnia przyjaźń, z ostatnią praca artystyczna na jednem polu; panna Rachel grała rolę Judyty i Kleopatry w dwóch tragediach znakomitęj poetki, co tęp większe zapewniało im powodzenie.

Postać pani Girardin świetnie odbija w literaturze francuzkięj z pierwszęj połowy XIX wieku. Talent jęj nie zgasł bynajmnięj w obec geniuszu Wiktora Hugo i Lamartina. Wszystko cokolwiek wybiegło z pod jęj pióra, zaczęwszy od pieśni ulotnych i powieści, do dramatów, komedyi i dziennikarskich kronik, wszystko nosi cechę prawdziwęj wyższości umysłowęj. Miłość i część powszechna jaką umiała sobie zjednać, nie mnięj chlubnie świadczy o zaletach jęj serca.

Poetka wzrosła od dziecka otoczona literacką atmosferą. Matka jęj Zofia Gai, ulubiona powieściopisarka z czasów restauracyi, kobięta pełna życia i rozumu, o któręj Lamartine wyraża się, że miała dość promieni aby oświecić dziesięć salonów i tchnąć ducha we wszystko co ją otaczało, kochająca ta matka wykształciła umysł córki z najtroskliwszem staraniem. Skromny, ubogi nawet dom pani Gai, ścigał do siebie wszystkie znakomitości świata paryzkiego. Złoto-włosa Delfina, słynna zarówno z piękności jak talentu, prawdziwą byłą ozdobą tego sanktuarjum.

W ośmnastym roku życia zastępnęła jako poetka: pierwsze jęj występienie, stało się dla świata paryzkiego prawdziwą niespodzianką. Było to w roku 1822 w salonie sławnęj pani Recamier, w obec królowęj szwedzkięj i pierwszych literackich znakomitości. Mówiono o nowo pojawionych poezjach Sonmeta: gospodyni domu prosiła pannę Gai, o odczytanie celniejszego ustępu. Delfina powtórzyła cały z pamięci.

— Żądaj pani niech powie coś swojego—szępnęła matka do ucha gospodyni.

Ulegając ogólnym prósbom, poetka drżącym głosem wypowiedziała śliczny poemacik: *Poswięcenie siostr świętęj Kamilli*. Salon

zatrząsł się od oklasków. Wkrótce potem tenże poemacik posłany do konkursu zjednał autorce zaszczytną pochwałę akademii. Odtąd pieśni Delfiny przebiegały z rąk do rąk. Wydrukowane w zbiorze pod tytułem *Próby poetyczne*, wywołały najchlubniejszy sąd krytyków. Przewano Delfinę muzą Francji.

Panowie dworscy zżęceni tym niesłychanym blaskiem, pragnąc ożywić a może i wzmocnić zachwiany tron Karola X, skłaniali starego, owdowiałego króla do poślubienia pięknej muzy. Panna Gai, nie wiedziała nawet o tych zamiarach. Nim Karol X namyślił się czynić zabiegi o jej rękę, poślubiła nieznanego jeszcze młodziana, który zamiast berła, krzepką ręką pochwycił pióro, niemniej groźną potęgę nowych czasów.

Czy poetka byłaby szczęśliwszą, gdyby jak nowa Antyгона oprowadzała króla tułacza, po dalekich gdzieś stronach ziemi, któż dziś na to odpowie? że jednak życie jej nie płynęło bez chmur na tym tronie dziennikarskim, na który podniósł ją Emil Girardin, to dla nas nie ulega wątpliwości. Wprawdzie słynny publicysta postawił muzę na wspaniałym piedestale, zbudował dla niej grecką świątynię na polach elizejskich, otoczył ją dymem kadzideł... ale czy to wszystko wystarczyło dla serca poetki?

Pani Girardin w ciągu dwudziestoletniego pożycia, spełniała wiernie obowiązki żony, w testamencie nawet wszystko co zapracowała własnym piórem, zapisuje mężowi; mogłaż być jednak szczęśliwą w tém dziennikarskim piekle, w obce tych burz które nie dały jej chwili wytchnienia, w obec tych bankructw, tych pojedynków, tych zniewag, tych walk i policzkowań piśmiennych, które zamieniały się nieraz na skandaliczne bójkę?... Pozostała po niej jedna pieśń, ta wymowną dla nas to odpowiedź. Przytaczamy ją w przekładzie.

Noc milcząca w czarne zwoje,
Upowija senny świat,
Z pierwszą gwiazdą serce moje
Kwitnie, niby nocny kwiat.

Nocy cicha! tylko tobie
Ja otwieram serce w szerz,
O łzach moich, o żałobie,
Sama jedna tylko wiesz!

O! ty sama wiesz, co znaczy
Śmiech przyrosły do mych warg,
Co zagłusza jęk rozpaczy,
Tłumi wybuch gorzkich skarg.

Ty znasz piersi mojej rany,
Z tobą płakać, cierpieć lżej,
W obec ciebie śmiech kłamany
Nie wykrzywi twarzy méj.

Próżna pycha, szal światowy,
W twarde jarzmo wprzęga nas;
Ty mi roskrusz te okowy,
Zrzuć mi z piersi ciężki głaz!

Ah! dla myśli zrospaczonój
Kiedy pociech zdroje schną,
Jedną ulgą ostre szpony
Wpoić w żywe serca dno.

Twój czar w tęskne moje łono
Tajemniczy spokój technie;
Jakże cudnie gwiazdy płoną
Na żalobnem twojem tle!

Lecz zbiegają z gniazd ptaszęta,
Wiatr roztrąca nocny cień;
Żegnaj... żegnaj prawdo święta!
Trzeba kłamać!... ot już dzień!

W lat cztery po zawartem małżeństwie r. 1832, Emil Girardin założył organ polityczny *Presse*, który wkrótce stał się prawdziwą potęgą. Praktyczny redaktor umiał strugać strzałę z każdego drzewa, jakie znalazł pod ręką; spożytkował też talent żony, skłaniając ją do pisania w nim kronik. Wówczas to powstały pod pseudonimem Wikonta de Launay owe sławne listy paryżkie, redagowane przez lat kilka z niepospolitym talentem. Pani Girardin dotyka w nich i polityki, i literatury, i teatru, słowem wszystkiego co potrafi jej myśl, co wydobędzie iskrę z jej wyobraźni. Kroniki te przyczyniły się dzielnie do wziętości, jaką zdobyła *Presse* i postawiły autorkę na wyższym niż dotąd świeczniku. Wszystko co żyło w literaturze i sztuce a nawet w polityce, ubiegało się o jej względy.

Zobaczmy pierwszy lepszy z tych listów: jakaż tu swoboda, jaka lekkość pióra, jak niezrównany dowcip. Oto list z roku 1838, z okoliczności rozpoczęcia parlamentu.

„No! owóz i dzieci powróciły! co tu krzyku, harmidru! jak one wrzeszczą te dyabełki... szturgają się, biją, popychają!... Przy tym hałasie i mówić nam niepodobna. Dopóki nie wróciły, można było pogawędzić o muzyce, o poezji, przytoczyć jakiś wierszyk, jakąś dykteryjkę; można było zabawić się wesoło... dziś inna rzecz! nie dają nam chwili spoczynku! trzeba ciągle patrzeć na nich, pilnować aby nie wyplątały jakiej psoty. Dzieci w tym wieku prawdziwie niebezpieczne. Łatwiej poradzić z takimi co mają po pięć lub sześć latek; tamte tłuką stoły i krzesła, snadno naprawić szkodę, ale figlarze czterdziesto i pięćdziesięcioletni!... z temi gorsza daleko sprawa! Jak zacząć niszczyć, nie przyjdiesz z tém do ładu! a niechno zdruzgoczą jaki sprzęt, nie łatwo go naprawisz! Mniejsza o to, dobrze że powrócili. Jak to wszystko potyło! jak czerstwe i rumiane! Wakacye wyszły im na po-

żytek. Prawda że dzieciaki nie ładne, nie zbyt pohopne do pracy, nie grzeszą zbyt znacznie rozumem, ale przynajmniej zdrowe! No malcy, bawcie się wesoło! a jak będziecie grzeczne, dadzą wam na kolendę po małym portfeliku... Ale nie zgubciez go, bo taki upominek więcej się nie powtórzy!"

Związana szczerą przyjaźnią z Lamartinem, pani Girardin broniła go silnie od pocisków. Kiedy Thiers wniósł do izby myśl ufortyfikowania Paryża, podzielała opór poety. W oczach jej Paryż ufortyfikowany, miał się stać Paryżem zbydłconym. W kronice swojej nazwała to prawo: „straszny, śmiertelny, przeciw-narodowy, antiliberalny, anti-konstytucyjny.” Nazajutrz po sławnej mowie, w której Lamartine, jakby duchem proroczym oświecony przepowiedział komunę w oblężonym kiedyś Paryżu, świetna publicystka nakreśliła te słowa:

„Wracamy z izby, słowa Lamartina tak silnie nas uderzyły, że niepodobna myśleć nam o czem innym. Nigdy poeta nie okazał się wyższym mówcą, nigdy głos jego nie brzmiał dźwięczniej, nigdy postać jego nie przedstawiała się w takim blasku!"

O innej mowie tak się wyraża: „pan Lamartine wczoraj mówił pięknie, jak prawdziwy mąż stanu, a panowie dziennikarze już pogardliwie krzyczą: poeta! Czy też to rozumnie tytułować męża politycznego według profesyi? Gdyby was kto zaczepił w ten sposób, cóżbyście mu powiedzieli?... Weźmy na przykład, gdyby zamiast powiedzieć: „National mniema że nas Europa obraziła, powiedziano: Episiery i drwale z Nationalu, mniemają że nas Europa obraziła! Gdyby zamiast napisać: Constitutionel radzi księciu Meternichowi to a to, napisano: szlafmyczarze z Constitutionelu radzą Meternichowi.. byłoby to przyzwoicie? Bynajmniej! A więc dlaczego przypominacie codzień p. Lamartinowi że jest poetą? czemu nie chcecie przypuścić, aby poeta mógł prowadzić dobrą politykę? dlaczego prowadzicie ją sami, wy kupy drzewa, szlafmyczarze i episiery? Kto wam zaprzeczał prawa obalać gabinety i burzyć Europę? Dlaczego więc zabraniać dyskusyi wielkiemu poczcie, to jest człowiekowi którego rzemiosłem zgłębiać do gruntu ludzkie serca, badać historią, oświecać ludy, sądzić królów i wypytywać Boga?"

Wiktor Hugo ścigany, jak widzieliśmy wyżej, tym pogardliwym wyrazem *poeta!* nie znalazł równie gorliwego obrońcy jak Lamartine w hrabi de Launay, tak dowcipnym, a niekiedy nawet posuwającym dowcip do paradoksu.

Wypadki szybkim postępowały krokiem. W r. 1847 Lamartine wydał Żyryndistów. Dzieło to spadło jak raca na wzburzone umysły, jedni wystawiali je z najwyższym uniesieniem, drudzy sypali kłatwy na głowę autora. Pani Girardin w jednym z listów paryzkich, wita utwór poety, z instynktem prawdziwie proroczym widzi całą jego doniosłość. Oto jej słowa:

„Książka ta jest rewolucją, zapowiednią jej, symptomatem, może nawet wyrokiem! Każda stronnica czaruje nas i miesza. Jakież tu życie, jaki blask kolorytu, jaki wdzięk, jaka świeżość, jaki zapach! Ileż to wypadków zrodzić się może z takiej książki? Bodajby ich lepiej nie widzieć! Zapewne rewolucya 89 roku piękną jest rzeczą... ale co chcecie, my nie lubimy rewolucyi! Lamartine zda się mówić: „jeśli rewolucya okrutną była i niedoskonałą, to dlatego że spełnili ją ludzie!” My nie chcielibyśmy rewolucyi, chociażby nawet spełnionej przez aniołów. Była już taka niegdyś. wydała piekło, to samo już nas od niej odstręcza!”

Nastąpił przewrót lutowy (1848), ogłoszono rzeczpospolitą. Publicystka chłoszcze silniej jej śmieszności.

„Jakaż to szkoda! jaka szkoda! pisze w maju. Ohydném się staje to co mogło być tak piękném! Wasze nadzieje spełzły, wasza republika niepodobną! Ci którzy ją ogłosili nie mogą jej zrozumieć, czynią ją śmieszoną, próżną, drobiazgową, zamiast tchnąć w nią moc, godność i powagę. Zrobili z niej parodyą królewskość! O! jakże republika byłaby piękną bez republikanów!

Wymowna publicystka poświęciła ostatnią kronikę obronie upadłego Lamartina.

„Bóg—mówi ona—nie na to położył na jednej głowie potrójną koronę poety, mówcy i historyka, aby dotknąć tę głowę szaleństwem. Człowiek gieniuszu, oswojony z wszelkiego rodzaju królewskością, miałże się upoić jej blaskiem, niby jakiś szalony Mazaniello? Biedny rybak snadno utraci głowę, podniesioną nagle do szczytu władzy, tak samo jak mieszkaniec doliny nie ujdzie zawrotu, kiedy stanie na wielkiej górze. Ależ poeta?... On przywykł szybować po niezmiierzonych przestrzeniach, sięgać okiem w niezgłębione przepaści, widzieć świat u stóp swoich. Miałżeby tron znać mu zmysły?”

Odtąd hrabia de Launay składa pióro, ale pani Girardin trzyma je dzielniej niż kiedykolwiek. Zwolniona z obowiązków kronikarza, z całym zapachem rzuca się na pole dramatycznej literatury.

Jeszcze w roku 1838 wystąpiła w teatrze francuzkim z pięcioaktową komedią wierszem p. t. *Szkola dziennikarzy*. Sztuka ta pełna życia, zaprawna ostrą satyrą, zajęła żywo publiczność. Wkrótce jednak usunięto ją z repertoryum.

„Komedia twoja wyborna! pisze Lamartine ze wsi, oddawna nie mieliśmy nic równego. Czytaliśmy ją cały wieczór przy drzwiach zamkniętych. Cóż ztąd że upadła w teatrze? Masz świat!.. szersza to widownia niż teatralne deski!”

Autorka zrażona jednak pierwszą próbą, nie śmiała narażać się na nowy zawód, zwątpiła o własnych siłach. Przez kilka lat nie utworzyła nic dla teatru. W myśli jednak układała plan tragedyi; bohaterką jej miała być Judyta. Panna Rachel dodała jej siły i odwagi.

Sławna artystka zachowała dla pani Girardin głęboką w sercu wdzięczność. Nie zapomniła ona, że po pierwszym wystąpieniu na

scenę w roku 1838, przyjęta obojętnie przez publiczność, lekceważona przez ogół krytyków dziennikarskich, znalazła w tym niechętnym chórze, dwa jedynie głosy, które objawiły światu jej artystyczny geniusz. Były to głosy pani Girardin i Janina. Pierwszy zadzwonił w Pressie, druga w Debatach. Dwa te głosy, przeważne w opinii powszechniej, porwały za sobą cały Paryż.

Zjawienie każdego nowego meteoru w świecie dramatycznym, porusza zwykle chciwą wrażeń publiczność, ale nie każdy z tych błyszczących meteorów jednakże ma znaczenie. Postać Racheli odbiła się głęboko w dziejach literatury francuskiej. Zabłądziła ona w chwili, kiedy szkoła romantyczna w młodzieńczej bucie, miotła gieniuszami które są i na wieki pozostaną chwałą Francji; w chwili kiedy zagorzali wielbiciele Huga i Dumasa, gardzili Kornelem i Rassynem. Potrzeba było postawić tych olbrzymów na piedestale z którego ich strącono. Pióra najzdolniejszych krytyków nie byłyby sprostały tak trudnemu zadaniu. Rachelą w Fedrze podniosła cześć Rassyna, w Horacyuszach i Polieukcie zawstydyła odstępców, odmawiających hołdu Kornelowi! Rachelą powstrzymała rozłukany potok romantyzmu, ocaliła w literaturze wspomnianej pojęcie idealnego piękna.

Zrozumiał to Juliusz Janin, odgadła to pani Girardin po pierwszym wystąpieniu młodej artystki, dlatego to podtrzymali ją dzielnie, potęgą świetnego i wytrawnego pióra.

Rachela przyjęła rolę Judyty. W dramatyczny sposób autorka przedstawia bohaterkę izraelską. Sprzeczne uczucia szarpia wielką jej duszę; tu miłość kraju, tam uczucie ludzkości, tu znów litość dla ofiary, przybierająca tkliwy nawet charakter. Nóż drży w jej dłoni, w chwili gdy ma wykonać straszny zamiar.

Był to dla poetki dzień tryumfu, kiedy Rachelą w przepysznym stroju wschodnim, błyszcząca od pereł i klejnotów, z koroną na głowie i sztyletem w ręku, wyrzekła te tak wymowne słowa:

Od drogich tych klejnotów niech blasku pożyczę:
 Boże! cudem piękności uzbrój me oblicze,
 Niech gwiazd twoich promieniem to złoto zapłonie!
 Na te czyste zasłony zléj niebiańskie wonie,
 Daj moc, nim zada pocisk dłoń rozpaczą wściekła,
 Odkryj mi tajemnice niebiosów i piekła;
 Technij siłę twój potęgi w moją duszę młodą,
 Czarną chytrność szatana, z anioła pogodą.

Zachęcona powrotem poetki, nową rozpoczęła tragedję. Pobudkę do niej znalazła w Plutarchu: uderzył wyobraźnię jej obraz Kleopatry, tak żywo skreślony piórem rzymskiego historyka: „Przeplęnęła Cydnus, statkiem o złotym rudlu i purpurowych żaglach. Plusk wiosel, harmonijnie łączył się z dźwiękiem lir i fletni. Królowa strojna z całym przepychem wschodu, spoczywała pod złotolitą zasłoną. Działki prze-

brane za amorków, dziewice dworskie za Nerejdy i Gracye, trzymały za liny. Dym kadzideł buchający ze statku, rzucał woń na oba wybrzeża."

Autorka wpatrzyła się głęboko w tę postać. W Kleopatrze odtworzyła typ konającej cywilizacji z całym pogańskim jej urokiem. Rachel cudnie odegrała rolę królowej. Dzień pierwszego przedstawienia, równym był tryumfem dla autorki, jak dla wielkiej artystki. Teatr zatrzęsł się od oklasków, kiedy Kleopatra otoczona tłumem magów i wieszczów, rzuca przekleństwo słońcu, które przywiodło ją do zguby.

Słońce skwarnej Afryki! twych płomieni siłą,
Potęgę woli mojej, tyś wreszcie zwalczyło!
Tyś rozdzieliło w mych żyłach te złowrogie żary,
A dziś nielitościwie szydzisz z twój ofiary!
Przeklinam cię za płamę co czoło mi brudzi;
Przez ciebie, jam królowa pośmiewiskiem ludzi!
Kłamliwe dary twoje!... Mordercze twe strzały,
Żywisz świat, a pożerasz łyżę ziemi zbolałej!
Przekleństwo tobie słońce! bodajby w dniu trwogi
Zgasł nad światem struchlałym twój promień złowrogi;
Bodajbym oglądała ostatnią twą zorzę.
Bodajby wściekłą paszczą pożarło cię morze:
A ja sama nad brzegiem w głąb piersi spalonej
Zaczerpnąć mogła tchnienia nocy nieskończonój!

Niemniej poruszył słuchaczy obraz strupieszatego Egiptu, skreślony w kilku słowach przez Kleopatę.

Żyć w Egipcie?... ach! ciężar ten zbyt mnie przygniata:
On kraj taki bogaty, dziwowisko świata,
Dla mnie istnym królestwem śmierci i żałoby!
Te przestawne pałace: to zgliszczą i groby!
Gdzie stąpić, deptę nogą, wiem to z piersi drgnienia
Mumii skamieniałych całe pokolenia,
Rzekłby kto: kraj wyrzutu, kraj zbrodni straszliwój,
Zmarłych balsamowaniem zajęty kto żywy;
U ognisk pełne trupów wrą kotły w około,
Powietrze przesycone żywicą i smołą:
Wszędzie pycha człowieka szalem podniecona
Mniema, że nieskończoność w swój ńędzy pokona!

Wkrótce po przedstawieniu, Lamartine nakreślił gorący list do autorki: „Nie wątpię o tryumfie Kleopatry. Francya acz tak dziś rozdwojona, okazała się jednomyślną. Do tych chórów pochwalnych niechże się przyłączy i głos mego serca. Jeśli trudno ci być szczę-

śliwą, bądźże przynajmniej sławną! Żadna kobieta od czasów Wiktorji Colonney, nie miała takiego tryumfu!"

Równy talent okazała pani Girardin w dramatycznych obrazkach z życia codziennego. Sliczna jęj sztuka: *La joie fait peur*, *Radość przestrasza*, wyciskała gorące łzy z oczu słuchaczów; *Kapelusz zegarmistrza*, pobudzał do szczerego śmiechu. W jednoaktowym obrazku: *To wina męża*, określony stosunek małżonków; sam tytuł wypowiada myśl autorki. Jak gęęboko porusza ta skarga młodziuchnej żony, okazująca jak mało potrzeba kobiecie do prawdziwego szczęścia:

Już w męj myśli dziecięcęj snuł się obraz żywy
Szczęścia pozwolonego, w miłości uczciwęj:
Z pajęczej nici marzeń złoty prządłam wątek:
Jasny płomień ożywia domowy zakątek;
Za ten próg moje chęci nie odbiegną płocze,
Ja serce oddam całe, za miłości trochę;
Nie dla mnie owe szaty miotające głowę,
Mnie starczy jeden uśmiech, jedno słodkie słowo:
Dość gdy w oka połysku, gdy w dotknięciu dłoni,
Poznam tę moc uczucia co wspiera i chroni,
Na której budujemy przyszłość jak na skale,
Co objawia się czynem, choć nie mówi wcale!

Pięcioaktowa komedia *Lady Tartuffe*, w której główną rolę odegrała Rachel, wywołała niesłychany zapal w publiczności paryzkiej. Tak autorkę jak artystkę obsypano wieńcami. Ostatnie to były ich wieńce! W dwa lata potęm dogorywająca Rachel opłakiwała skon tęj z którą podzielała tryumfy: pani Girardin umarła w roku 1855, w całym blasku talentu i sławy, w pełni spokoju religijnego. O dwa lata przeżyła tylko matkę. Świat artystyczny i literacki wyprawił jęj najpyszniejszą owacę pogrzebową. Poeci uderzyli w liry na cześć zmarłej poetce. W tym chórze zapanował głos Wiktora Hugo: przytaczamy w przekładzie pieśń wielkiego poety:

Niegdyś ja powtarzałem: żyj nam długie lata!
Salon tron ci zbudował, świat wieńce ci splata;
Bez ciebie uczyty nie ma, ty ożywiasz gody
Czarem twego rozumu, blaskiem twęj urody.
Tyś gwiazdą promienistą i różą zarazem,
Pogodny błękit nieba twęj duszy obrazem;
Cudownicz on dopełnia wdzięcznych słów uroku,
Co usta wypowiedzą odbłyska w twém oku.
A gdy cień na twe czoło upadnie czasami,
Żal wytryska z twych powiek peretką nie łzami:
Gdy dumasz, słodki urok twoje usta pieści:
Panuj nam złotowłosa w twęj chwale niewieścić!

A teraz blada, niema, oh! ty dziś już nie tą!
 Ciebie śmierć przeistacza, więc wołam: poeta!
 Istoto niepojęta!... chodź, wzywam tu ciebie,
 Wyrzec mi jedno słowo o ziemi, o niebie;
 Ty która przekroczyłaś wiekuiste wrota,
 Objaw mi tajemniczą zagadkę żywota;
 Poświadcz to co myśl moją do głębi porusza,
 Mam-li iść w ślad Spinozy czy Kartezjusza?
 Ach! mów!... z podniesionemi błagam cię ramiony!
 Twój liry niewidzialnej niech postyszę tony;
 Mów do mnie!... już zwycięzko twoja łódź przebiega
 Odmęty oceanu bez kresu, bez brzegu.
 A przyroda gdy ziemski już cię gwar nie głuszy,
 Wielkim głosem przemawia do wielkiej twój duszy!

Podczas kongresu geograficznego w Paryżu, oprócz ściśle naukowych rozpraw, zajmujących specjalne sekcye, uczeni miewali jeszcze w sali posiedzeń konferencye w rozmaitych przedmiotach, traktowanych w popularny sposób. Do najżywotniejszych należy konferencya p. Leouzon le Duc, o kobietach Skandynawii i Finlandyi. Uczony tłumacz Kalewali, zna dokładnie obyczaje północnych ludów; obdarzony do tego niepospolitym darem słowa, umie ożywić każdy przedmiot. Podajemy w treści tę ciekawą rozprawę:

„Geografia—rzekł mówca—nie jest tylko fizycznym opisem ziemi: zajmuje się niemniej ludźmi, którzy ją zamieszkują.” Historia, etnografia i antropologia ściśle z nią połączone. Chcąc zaś poznać do gruntu lud jaki, potrzeba koniecznie wiedzieć jakie stanowisko zajmuje w nim kobieta.

W Danii, Szwecyi, Norwegii i Finlandyi, życie społeczne kobiet za czasów starożytnych, było przedmiotem poważnych badań: legendy północne objaśniają tę rzecz najdokładniej. Jeżeli sięgniemy wzrokiem w głęboką przeszłość do wieków kamiennych, znajdziemy tam człowieka w stanie pierwotnym. Błąka się w lasach lub nad brzegami jezior, szuka schronienia w głębi jaskiń, pod namiotami ze skóry, albo w tak zwanych *izbach olbrzymów*, których ślady pozostały w Danii. Zmuszony żyć łowami, stacza zapasy ze zwierzem stokroć dzikszym i silniejszym od znanych dzisiaj zwierząt. Epoka ta słabo odbiła się w historii; trudno też wiedzieć, czyli w tych czasach panowania siły fizycznej, kobieta, obdarzona odpowiednią krzepkością, podziela z mężem trudy i niebezpieczeństwa. Jakkolwiek wszystko polega tu na domyśle, snadno jednak przypuścić, że nawet w epoce tak odległej, kobieta miała wyjątkne swe zatrudnienia. Mnóstwo znalezionych narzędzi, jak

igły i krosna do tkania wełny, są dowodem pracy niewieściej. Zdaje się zatem, że już wtedy istniał jakiś rodzaj życia domowego, wskazujący kobiecie odrębne stanowisko. Pozostałe z tej epoki przedmioty stroju, pierścienie, naszyjniki, paciorki, pokazują wymownie że i wówczas już kobieta pragnęła się podobać. W Jutlandyi znaleziono naszyjnik złożony z 3500 paciorków, ważący ośm kilometrów z górą. Pobożna myśl wiodła tych ludzi pierwotnych, do grzebania wraz z ciałem zmarłej osoby, przedmiotów należących do niej za życia. Obok szkieletów męzkich widzimy oręż wyciosany z kamienia, siekiery i narzędzia łowieckie; obok szkieletów niewieścich znajdujemy różnaitę ozdobę. Zkąd wnosić wypada, że lubo w tej epoce, potrzeba czuwania nad własnym bezpieczeństwem wyrabiała siłę fizyczną, w sercu jednak człowieka mieściło się uczucie tkliwsze, skoro umiał uszanować w zmarłej żonie, zwykłe jej upodobania.

Od czasów przedhistorycznych, p. Leouzon le Duc przechodzi do epoki późniejszej, której ślady pozostały w literaturze. Bada stanowisko kobiety w okresie mytycznym w Skandynawii. Tę mytologią można określić jednym słowem: jest to apoteoza siły, a jednak widzimy tu już słabo oznaczony ideał niewieści. Boginie nie biją się wcale; żona Odina jest jakoby uosobieniem Opatrzności; mieszkanki Walhalli mają charakter pełen słodkiego wdzięku: jedna pielęgnuje kochanka, druga męża. Niektóre legendy nadzwyczaj są wymowne. Złowrogi bóg Loki, zadał śmierć najmilszemu i najlepszemu z bogów Balderowi. Wszyscy bogowie składają radę, karzą mordercę skazując na śmierć jego potomstwo. Loki okuty w więzy, ma zawieszonoego nad głową strasznoego węża, z którego paszczy jad spływa mu po kropli na oblicze. Żona Lokego poświęca się aby osłodzić los mężowi: trzyma w ręku czaszę, zbiera w nią krople jadu; gdy się czara przepelni, posłuszna niezblaganym wyrokom, wylewa ją odrazu na twarz potępienca. Loki wiję się w śmiertelnym bólu; od rzutów jego konwulsyjnych aż ziemia drży w posadach.

Prawa dla kobiet, twarde być musiały w społeczeństwie opartém wyłącznie na sile. Ojciec wszechwładnie rządził dziećmi od chwili ich urodzenia, miał nad niemi prawo życia i śmierci; mógł chować je albo zabić. Jeżeli skazał dziecko na zatrąę, musiał to uczynić przed odbytym obrzędem lustracyi. Obrzęd ten polegał na zanurzeniu go w wodzie i nadaniu mu imienia. Po takiej ceremonii, dziecko było bezpieczne. Samo wystawienie na śmierć, lubo okrutne w zasadzie, miało w praktyce złagodzony nieco charakter. Niewolnik zanosił dziecę do lasu, krył je w miejscu niedostępném dla dzikich zwierząt, kładł mu w usta kawałek mięsa, aby je ssało zamiast piersi matczynęj.

Młode dziewczę otoczone było najsurowszą strażą: zamykano je w osobnej izbie jakby ptaszynę w klatce, niekiedy w świątyni lub warowni ogrodzonej fossą i ostrokołem: czuwali nad nią studzy a czasami dzikie przyswojone zwierzęta. Małżeństwo nie było dobrowolném połączeniem, miało raczćj charakter targu i sprzedaży: kupowano kobie-

tę za cenę umówioną. Dziewczyna nie brała udziału w tej ugodzie. Kiedy targ stanął pomiędzy młodzianem a rodzicami, panna młoda wносиła posag; narzeczony wypłacał rodzicom należność, stosowną do znaczenia łączących się domów. Odtąd mąż wchodził w prawa posiadania, jakie dotąd miał ojciec nad córką; mógł odesłać żonę, darować ją, przekazać testamentem, zamienić na jakibądź przedmiot. Kobieta odesłana miała jednak prawo dochodzić swęj własności, a mąż zobowiązany był zwrócić umówioną kwotę rodzicom. Wdowa nie mogła iść za mąż według woli; zależała od rodziców lub od syna. Te prawa tak twarde ulegaty zwolna przemianom, w miarę łagodzących się obyczajów. Kobieta zrazu niewolnica, stała się następnie panią, jakby królową; rozpościerała wszechwładnie rządy w domu: wszyscy byli jej posłuszni. Przy uczcie odgrywała przeważną rolę, siedząc obok rycerskich Wikingsów, piła z nimi miód z jednej czaszy.

Niewiasta skandynawska zajęta domem oddawała się niemniej wyższemu umysłowemu pracom; sztuka lekarska należała do jej wydziału. Wspaniałomyślna, pełna godności osobistej, wpływem swoim łagodziła szorstki umysł męża i braci. W końcu doszła do wysokiego znaczenia, jakie dziś zajmuje w kraju własnym.

Pan Leouzon le Duc wykazuje wielką różnicę w stanowisku niewiast skandynawskich a finlandzkich. W Finlandyi obyczaje więcej patryarchalne, charakter zaś kobiet nierównie gwałtowniejszy. Matka nie może wydać zamąż dziewczęcia wbrew jej woli; jeśli niekiedy skłoni córkę do niemitych jej związków, smutne ztąd wynikają następstwa: kobieta gwałtem wydana zamąż, kończy zwykle życie samobójstwem.

Korrespondencya Stanisława Augusta z panią Geoffrin, o której mówiliśmy szczegółowo w przeszłej kronice naszej, ściąga powszechną uwagę i wywołuje najsprzeczniejsze sądy. Co głowa to rozum, słusznie mówi przysłowie. Nie myślimy podnosić tych wszystkich sprzeczności; z licznych krytyk dwie tylko wspomnimy.

Pierwszą z nich spotkaliśmy w czasopiśmie lwowskiem. Autor jak widać czytał samą treść rzeczy, spisana w górze, i z tych danych snuje fantastycznie swój wątek. Opowiada na chybił trafił, jak pani Geoffrin bawi królewskiego korespondenta, plotkami krążącemi po salonach paryzkich, kiedy tymczasem nie znaleźliśmy nigdzie nic podobnego. Widząc w nadpisie imię słynnej aktorki Clairon, krytyk wprowadza wniosek, że pani Geoffrin rozprawia o teatrze francuzkim, o nowo przedstawionych sztukach; kiedy korespondentka zapytuje po prostu w imieniu artystki, czy król zgadza się na jej przyjazd. Ale dosyć już tego; zostawiamy na boku inne niemniej rażące sprzeczności, zapisujemy to tylko dla ostrzeżenia sprawozdawców, że sama intuicya nie wystarczy do oceny dzieła, którego się wcale nie czytało. Mniejsza zresztą o ten artykułik pobieżny i bezimienny, który przebrzmieje bez oddźwięku; inaczej rzecz się ma z krytyką zamieszczoną w dwóch numerach Debatów, zajmującą ośm kolumn, podpisaną znanem po-

wszechnie nazwizkiem akademika p. Cuvillier Fleury. Takięj krytyki pominąć niepodobna.

Pan Cuvillier Fleury czytał korespondencyą, nie opuścił w nięj ani jednego listu; ale czytał ją z uprzedzeniem. Dawny nauczyciel książąt Orleańskich, związany ściśle z całą rodziną, musiał nawet jak sądzimy wpłynąć na jęj wydobyćcie z archiwów familijnych i na ogłoszenie jęj drukiem. Należy on widocznie do tego koła, które jak wiadomo wzięło sobie dziś za cel, rehabilitować bądź co bądź pamięć Stanisława Augusta, choćby nawet z krzywdą historyi.

Korespondancya cała pokazuje wymownie, że pani Geoffrin ukrywała w sercu głębokii żal do króla. Z powodu usunięćcia wielu i to najważniejszych listów, nie znamy szczegółów, które mogły spowodować to nieporozumienie; wczytawszy się jednak z uwagą, każdy zgadnie, że ta wyższa kobięta zawiodła się w nadziejach swoich. Świętyny młodzian, powierzony niegdys przez ojca jęj opiece, gdy doszedł lat trzydziestu, przerodził się w innego człowieka, skutkiem innych wpływów i okoliczności. Pani Geoffrin zgadła to z pierwszych listów, chcąc jednak zbadać rzecz gruntownie, przedsięwzięła podróż do Warszawy. Zastęna spadła z jęj oczu; ztąd zmiana jeśli nie w macierzyńskich jęj uczuciach, to przynajmniej w ocenienu tego, którego zwała synem.

Taki wniosek wyprowadziliśmy po przeczytaniu książki: pan Cuvillier Fleury zupełnie inaczej rzecz uważa. Aby podnieść osobistość Stanisława Augusta, dawny przewodnik książąt Orleańskich wziął sobie za cel poniżyć panią Geoffrin i stracić ją z piedestału, na jakim ją Paryż postawił przed stu laty. Sam tytuł artykułu zamieszczonego w Debatach: *Królowa Saba z przedmieścia Saint Honoré*, obmyślony złośliwie, w celu ośmieszenia poważnej matrony. Z niezmordowaną cierpliwością akademik wyciąga z przeszłości wszystko, cokolwiek rzucić może cię na tę piękną i jasną postać. Niepodobna mu wprawdzie wynaleźć nic, coby ubliżyło jęj obyczajom; kronika skandaliczna z tęg epoki, nie zapisala wcale jęj imienia: uderza zatem w inną stronę. W córce kamerdynera delinowęj, w żonie fabrykanta zwierciadet, pokazuje kobietę pyszną, nadętą, samolubną, podejrzliwą, chciwą panowania, kłótliwą, despotyczną, nieznośną dla tych nawet, których obsypywała darami, lekceważącą pogardliwie gości swoich. Gdyby tak było w rzeczy samęj, cózby pomyśleć o społeczeństwie, któreby tylko dla smacznych obiadów i wieczery oblegało tłumnie dom żony dorobkowiec? Cóżby pomyśleć o tych akademikach i encyklopedystach, którzyby za cztery łokcie aksamitu na jakąś część ubrania, otrzymaną zwykle na kolendę, pozwolili się zwać „moją trzodą, mojemii bydłętami?” Pan Cuvillier Fleury, przypominając ten szczegół, składa na panią Geoffrin śmieszności innych pań współczesnych. Nie ona to, ale słynna siostrzenica Mazariniego, obdarzała aksamitem uczonych filozofów, i zwała ich trzodą swoją, zapewne bez ich wiedzy.

Na domiar złośliwości, p. Cuvillier Fleury posądza panią Geoffrin o miłość dla Stanisława Augusta. Zarzut to śmieszny i bezzasadny: napróżno uczony akademik z całą erudycją przypomina długi szereg zakochanych starców i starych kobiet. Anormalne wybryki serca i wyobraźni zdarzają się nieraz na świecie. Mogła sześćdziesięcioletnia pani du Deffaut kochać się w Horacym Walpolu, Ampere w siedemdziesięcioletniej pani Recamier; mógł stary Goete umiłować młodą Bettinę, Merimée piękną nieznajomą; mógł stoletni Anakreon opiewać wdzięki uroczej bogini serca swego; pani Geoffrin nie należała do liczby tych przestarzałych gołębi, gruchających miłosną piosenkę w obec otwartego przed nimi grobu. Cała przeszłość wymownie świadczy za nią. Niepotrzeba być głębokim psychologiem, aby przyjść do wniosku, że kobieta, która w długim pasmie lat potrafiła uchronić się przed wszelką potwarzą; która w czterdziestym roku życia przywdziała poważny ubiór matrony, która w listach swoich przypomina bezustanku swoje podeszłe lata, trudno przypuścić, powtarzamy, aby taka kobieta w sześćdziesiątym siódmym roku puszczała się w podróż do Warszawy, wiedzona romantycznym szałem. Wiodło ją tam uczucie przyjaźni, wiodła ją duma, trudno zaprzeczyć temu; ale owa duma szlachetna jaką czuje serce matki, upojonéj chwałą i blaskiem syna. Wiodła ją co więcej chęć zastąpienia wpływem swoim innych wpływów; ztąd nienawiść ku niéj królewskiej familii, przechowana dotąd w tradycjach domu, nienawiść któręj ostatnim wyrazem stał się dziś związany z tym domem pan Cuvillier Fleury.

I na czémże oparty wniosek téj niewczesnéj miłości? oto na błahych wyrażeniach: „całuję piękną rękę W. Kr. Mościł... Prawdzażto, że piękne włosy twoje, panie, tak wczesnie posiwiały?“ Innych dowodów nad te i tym podobne nie znaleźć w żadnym z listów!

Niesprawiedliwy krytyk wyciągnął z całej korespondencji ujemne tylko rysy, któremi usiłuje przyćmić oblicze kobiety słynnéj w swoim czasie w Paryżu; przypuszcza on zresztą, że pani Geoffrin mogła mieć niejake zalety, lecz na ich wykazanie zbrakło mu miejsca w rozprawie dziennikarskiéj. „Ograniczeni—mówi on—szczupłością ram naszych, musieliśmy wybierać pomiędzy zaletami a wadami pani Geoffrin: nie nasza wina, jeśli wady zabrały całe miejsce, jakiém wolno nam było rozporządzać. Wydawca listów Pan Mony, obszerniejsze miał pole, korzystał z tego jako *bezstronny sędzia* i jako zręczny pisarz, nie mając *powodu* do szukania pozagrobowéj kłótni, z kobietą, która tak była dobroczynną dla zmarłych współkolegów naszych.“

Nauczyciel książąt Orleańskich przyznaje zatem, że nie występuje jako *bezstronny sędzia*, że ma powód do *zagrobowéj kłótni* z panią Geoffrin. To zbyt naiwnie na wytrawnego akademika!

Trudno przypuścić aby redakcyja Debatów tak względna dla członków akademii, nie miała udzielić miejsca treści w numerze pisma swego na dorzucenie choćby kilku jasnych zarysów, do tego czarnego ła, na jakiém odszkiecowana postać słynnéj kobiety. Byłaby téż do-

rzuciła, jak sądzimy, parę kolumn do uzupełnienia obrazu Stanisława Augusta, choćby kilku wydatniejszymi rysami. Pan Cuvillier Fleury, jeżeli nie zgadza się zupełnie z panem de Mony, gdy ten podnosi panią Geoffrin, podziela za to zupełnie jego sąd apoteozujący Stanisława Poniatowskiego, któremu los jakby nowemu Sokratesowi przeznaczył za małżonkę, „*Xantype*, kłótniawą, wojowniczą, mężobójczą, dwulicową, z jednej strony grożąca głownią i mieczem, z drugiej uśmiechającą się do zagranicznych sprzymierzeńców.“ Tak to pan Cuvillier Fleury komentuje nazwę *Xantype*, której król używa w jednym z listów na określenie swój niesfornej rzeczypospolitój!

Zobaczmy teraz ogólną definicyą dzieła. „W znakomitým studyum pana Mony, które poprzedza korespondencyą Stanisława—mówi krytyk—należy nam szukać szczegółów, odnoszących się do pierwszej połowy tego panowania. Ani król, ani naród jego, ani przeciwnicy tak zewnętrzni jak i wewnętrzni, nie byli jeszcze nigdy osądzeni z taką rozważą i taką prawdą. Dodajmy że autor okazał pierwszorzędný talent historyczny.“

Wbrew powadze akademickiej pana Cuvillier Fleury, powtórzmy tu cośmy już powiedzieli w zeszłej kronice naszej: ani wstępna rozprawa pana de Mony, ani cała korespondencya Stanisława Augusta z panią Geoffrin, nie dorzucą najmniejszego faktu, do rozjaśnienia rzeczy dawno znanych i osądzonych. Strona psychiczna stanowi całą wartość świeżo wydanych listów. Co zaś do rozprawy, jest to po prostu apoteoza, a nie szukać prawdy w apoteozie.

Dzięki współzawodnictwu rozbudzonemu dziś we Francyi przez zawiązane po kraju Towarzystwa Naukowe, archeologowie i historycy wzięli się skrętnie do badania archiwów prowincjonalnych. Im dalej od stolicy, tém źródła obfitsze. Miasto Pau, u podnóża Pirenejów, niegdyś stolica udzielnego księstwa Bearnu, posiada prawdziwe skarby erudycyi. Wiele z nich odkryto już i ogłoszono drukiem, kopalnia to jednak niewyczerpana. Pomiędzy innymi archwista z Pau, Raimond, wydał w Bordeaux nadzwyczaj ciekawą książkę pod tytułem: *Obyczaje Bearnów*. Są to wyciągi z brulionów pozostałych po notaryuszach bearneńskich od XIV do XVI wieku, tłumaczone z miejscowego narzecza na język francuzki. Przytaczamy kilka małych ustępów, rzucających żywe światło na stan społeczny owoczesny.

W dniu 26 listopada 1375 roku, baron który porwał żonę jednemu z wassalów, skazany został wyrokiem Gastona Febusa księcia Bearnu, ogłoszonym w kościele w Pau, na wynagrodzenie pokrzywdzonego piękną parą wołów, i na złożenie przysięgi, jako nie będzie mu szkodził. Mąż jeśli zechce, może odebrać żonę; ta jednak traci prawo do zapisanej przez męża oprawy.

Bearni mimo lekkości obyczajów—mówi autor—wierzyli bezwzględnie w świętość przysięgi. W dniu 25 maja 1385 r., kobieta oskarżona o wiarołomstwo przez męża i jego braci, w skutek przysięgi zło-

żonę przez nią, w obec relikwii świętych, uwolnioną została prawnie od wszelkiego zarzutu.

W dniu 17 września 1398 roku, mąż jeden zrzeka się uroczyście prawa bicia żony, z wyłączeniem wypadku, gdyby się naocznie przekonał o jej niewierności. Jeżeli nie dotrzyma słowa, zobowiązuje się dać cztery krowy opatowi z Lucq, a księciu Bearnu dwadzieścia marek srebrnych.

Rozwód jak widać uprawniony był w wieku XV. Akt z r. 1452 obejmuje umowę Bertholeta de Pèrre z żoną. Oboje małżonkowie zwalniają się dobrowolnie z przysięgi, upoważniając się nawzajem do zawarcia innych związków. Świadkowie podpisali tę ugodę.

W owych czasach Bearnowie tak świeccy jak duchowni, nie wyłączać prostego nawet gminu, oddawali się namiętnie grze hazardowej. Wielu z nich składało dobrowolną przysięgę przed notaryuszem, jako zaniechają tak zgubnego nałogu. W dniu 16 października 1337 r. Piotr Faurie przyrzeka Gassienowi panu de Claverie, jako dopóki życia, nie będzie grał nigdy o pieniądze. Gdyby Piotr nie dotrzymał słowa, wypłaci panu de Claverie dwieście soldów, gdyby ich zaś nie miał, rzuci się w rzekę z mostu w Orthez.

W akcie z 4 sierpnia 1471 roku znajdujemy ciekawe zastrzeżenia, dotyczące się tak zwanych kagotów. Wiadomo że Gotowie wyznania aryńskiego, odparci przez Kłowisa do granic hiszpańskich, rozpięchli się częściowo po Gujennie i księstwie Bearnu. Lubo odstąpili oni kacerstwa, zostawali jednak pod kłatwą; ztąd poszła ich nazwa *Cau Gots*, oznaczająca *1'sów Gotów*. Byli to istni paryowie zachodni. Lud uciekał od nich jakoby od zapowietrzonych, panowało powszechne mniemanie że są dotknięci trędem. W XII-ym wieku, przy zaprowadzeniu gmin, przekłęte plemię wyłączone było od udziału w swobodach municypalnych. Nie pozwalano im prowadzić handlu, posiadać ziemi ani bydła. Mieszkali w osobnych budach, oddalonych od miast i osad wiejskich. Akt notaryalny z roku 1471 zabrania im czerpać wodę ze studzien w Moron, prać chusty w rzece i t. p. Ten nieszczęśliwy stan kagotów utrzymał się aż do wieku XVI.

Inne dziełko p. Lespy: *Czarownice w Bearnie* (1393—1672) równie jak poprzednie wydobyte z archiwów miasta Pau, stawia nam przed oczy najsmutniejszy obraz trzywiekowej ciemnoty owego ludu, i to w czasach kiedy stolica Bearnu, liczona do głównych ognisk cywilizacji europejskiej, nosiła nazwę nowych Aten.

Miejscowość sama usposobiła umysły do zabobonów. O ile miasto Pau rozkosznie położone u stoku Pirenejów, wśród zielonych łąk, przeciętych krętym Gawem, o tyle znów poblizkie Landy dziko się przedstawiają. Nic smutniejszego nad tę pustą przestrzeń, ciągnącą się wzdłuż morza od Bordeaux do Bayonny, pełną piaszczystych zasp i trzęsawisk, zarostych karłowatą sośniną. Tu wyobraźnia ludu rozpasana się na najdziwaczniejsze pomysły; w każdym topielisku mieści-

ła złego ducha, który jak niegdyś Boruta z błot łączyckich, czyhał na podróżnego, rzucał mu tuman w oczy, oprowadzał go po dalekich wertepach, niekiedy zatapiał z końmi i wozem. Były miejscowości uprzywilejowane, gdzie dyabeł największe psoty wyrządzał ludziom: do tych należała wieś Marcerin, której smutną pamięć uwiecznił lud przysłowiem:

Marcerina nie ma zgoła
Ani młyna, ni kościoła;
Tylko jamy, kędy z cicha
Czart na ludzi zdradnie czycha.

Pan Lespy wyciągnął z archiwów liczne zaskarżenia wytoczone przeciw kobietom, pomówionym o stosunki ze złym duchem. Są tu śledztwa i wywody słowne, są świadectwa lekarzy. Utrzymywano, że oprócz znaków widocznych na ciele, czarownica każda miała w oku łapkę ropuchy; chirurg jeden z Bayonny, używany zwykle do śledztwa, umiał ją dopatrywać.

Procesa odbywały się dawnymi czasy bez rozgłosu, ledwie że wyrok zapadł, natychmiast go spełniano. Ofiara kończyła życie w płomieniach. W XVII wieku dopiero, kobieta obwiniona o czary, miała prawo wybrać obrońcę, który przemawiał za nią u krated sądowych. Potrzeba było jednak wielkiej odwagi, aby przedsięwziąć tego rodzaju obronę. Im wymowniej rzecznik odzywał się za oskarżoną, tém silniej ścigał na siebie zarzut współnictwa w czarach.

Autor przytacza w dodatku pięćdziesiąt wywodów sądowych: dawniejsze spisane w bearneńskim, późniejsze w francuzkim języku. Duchowieństwo nie brało najmniejszego udziału w owych procesach. Trybunały cywilne wyłącznie ogłaszały wyroki.

Dwa przeciwne prądy poruszają dziś umysłami. Podczas gdy realisci radziby znihilizować całą przeszłość, puścić z wiatrem wiekopomne dzieła gieniuszu ludzkiego, na zwaliskach starożytnych panteonów, pobudować olbrzymie warsztaty; podczas kiedy zwolennicy téj szkoły pseudo-postępowej, wypisując na sztandarach swoich: *Walka o byt*, wołają pogardliwie: „precz z poezją! precz ze sztuką! precz z ideałem! nie patrzmy w przeszłość, to kula uwiązana u stóp naszych, co wstrzymuje pochód ku przyszłości! nie naśladowmy ojców: oni umieli umierać, nam potrzeba żyć!” Podczas gdy te i tym podobne głosy potracają wciąż ucho, niby chóry cmentarnych puszczyków, widzimy z drugiej strony potężne oddziaływanie, przeciw takiemu kierunkowi. Oddziaływanie to objawia się w owych wspaniałych manifestacjach, jakimi ludy składają hołd wielkim mężom, którzy uświetnili przeszłość ich narodową. Nigdy ten popęd nie objawił się tak potężnie jak w tym roku.

Rzućmy tylko okiem po świecie: Niemcy budują pomnik Armijnuszowi, stynnemu niegdyś pogromcy Rzymian, pierwszemu jakoby

twórcy idei pangermańskich; w Atenach obchodzą stoletnią pamiątkę urodzin wielkiego starożytnika swego Winkelmana. Anglicy składają w Westminsterze prochy sławnego Liwingstona, na wielkim placu londyńskim wznoszą Byronowi pyszny monument, na który Grecy dostarczają marmuru z Paros. Francuzi budują w Saint Malo, posąg Chateaubriandowi, protoplaście szkoły romantycznej, poprzednikowi Huga i Lamartina, w Rouen czczą pomnikiem narodowego kompozytora Boieldieu, genialnego twórcę Damy Białej. Włosi nakoniec wznoszą w Bergamo grobowiec Donizettemu, w Ferrarze obchodzą jubileusz Ariosta, we Florencyi wyprawiają najwspanialszą ze wszystkich uroczystość na chwałę Michała Anioła.

Nie naszą rzeczą opisywać te narodowe obchody, dostatecznie mówiły już o nich wszystkie pisma codzienne. Zapisujemy tylko fakt, przyklaskując szczerze tym gorącym objawom, które protestują tak żywo przeciw realistycznemu kierunkowi. Wielka manifestacya florencka na rzecz olbrzyma sztuki chrześcijańskiej, jakże wymowną daje odpowiedź propagatorom nowej szkoły, którzy jak Taine, professor akademii sztuk pięknych w Paryżu, zdzierają czterowiekowe bluszcze z czoła nieśmiertelnych idealistów włoskich, ukazując pogańską starożytność, jako jedyny wzór godny naśladowania!

Florencya wierna artystycznym tradycjom, dała dowód wytwornego smaku, wznosząc mistrzowi, który okrył ją taką chwałą, monument złożony z arcydzieł wykonanych nieporównanem jego dłutem. Sławny Dawid, odlany ze spiżu, otoczony czterema alegorycznymi figurami z grobowca Laurentego Medyceusza, godnie wieńczy wzgórze *San Miniato*, od strony tych wałów, które Michał Anioł sypał niegdyś własnymi rękoma, które własną osłaniał piersią.

Ów sławny pomnik Medyceusza, zwany *il Pensiero*, myśliciel, wykonany był w czasie, kiedy mistrz liczył około lat sześćdziesiąt. Cztery otaczające go figury, dziś odlane ze spiżu, przedstawiają *Dzień, Noc, Zmierzch wieczorny* i *Zorzę*. Noc w postaci uśpionej niewiasty, przemówiła szczególniej do poetów współczesnych. Na jej widok Strozzi taki nakreślił czterowiersz:

Ol jak snem słodkim, owa noc spoczywa,
Dłutem anioła wykowana w niebie;
Patrz w jej oblicze... ona śpi... więc żywa:
Zbudź jeśli wątpisz... przemówi do ciebie!

Michał Anioł odpowiedział na to innym czterowierszem:

Słodko mi spać, lecz słodziej mieć pierś marmurową,
Gdy w około mnie boleść, sromota i trwoga;
Bodaj nie czuć! nie widzieć! nim wyrzeczysz słowo,
Zatrzymaj się niebaczny: nie budź mnie, na Boga!

Michał Anioł do pięćdziesiątego roku życia miłował wyłącznie sztukę; serce mistrza nie uderzyło dotąd nigdy, poruszone osobistém

uczuciem. Bliski starości ukochał jednak w Rzymie młodą wdowę. Wymalował dla niej Chrystusa na krzyżu, Matkę Boską bolesną, i Jezusa z Samarytanką u studni. Ale rzymianka nie płaciła mu wzajemnością; aby uniknąć niemitych jej zabiegów starca, schroniła się do klasztoru Świętej Katarzyny w Witerbo; tam umarła niebawem. Wielki artysta niepokieszony po tej stracie, pisał rzewne sonety, poświęcone drogiemu jej wspomnieniu. Zbiór ich wydrukowano w Parmii w r. 1544. Te sonety odznaczają się stylem pełnym życia i siły. Akademia *della Crusca*, policzyła je wraz z sonetami Danta, do najszaconiejszych pomników języka włoskiego.

Rękopism owych sonetów zachowany jest w domu, który Michał Anioł zajmował niegdyś we Florencyi. Podczas manifestacji tegorocznych, miasto ozdobiło ten dom pysznem popiersiem mistrza. W tém pomiatkowém muzeum, obok niezliczonych rzeźb i szkiców, pomieszczono portret Michała Anioła z lat młodzieńczych, a przy nim dwa kosztury z prostego drzewa, któremi dziewięćdziesięcioletni starzec wspierał chwiejące kroki.

W paryzkim teatrze Wodewillu, podobał się powszechnie jednoaktowy obrazek dramatyczny wierszem poety genewskiego, p. Mare Monier, pod tytułem *Madame Lilli*. Obrazek to prosty ale sympatyczny, pełen świeżości i wdzięku. Oto treść jego w kilku słowach.

Pan Vaubertin, poważny człowiek kilku akademii, oddany wyłącznie naukom, podczas wypoczynku letniego, podróżuje po Szwajcaryi z młodą siostrzenicą. Aby uniknąć złośliwych uwag turystów daje do zrozumienia że piękna Lilli jest jego żoną. Podróżująca para spotyka w drodze przyjaciela domu, malarza René. Jest to rodzaj don Juana, goniącego za coraz to nowym ideałem. Rene znał od dziecka piękną Lilli, nigdy jednak wdzięk jej nie uderzył go w oczy tak silnie, jak teraz gdy wie że jest żoną innego; a co więcej gdy poślubiła starego męża. Malarz staje się nieodstępny towarzyszem podróży; zwiedza wraz z nimi szczyty gór, jeziora i wodospady. Stary akademik patrzy z uśmiechem na młodego przyjaciela, odgaduje uczucie rodzące się coraz silniej w jego sercu; wreszcie odkrywa tajemnicę.

— Ona jest wolną—rzecze—skoro ją kochasz, możesz się z nią ożenić.

Rene chwyta za słowo, ale ze strony Lilli spotyka mocny opór. Młoda panienska nie może mu przebaczyć dawnego zaniedbania, a bardziej jeszcze niewczesnych zalotów, odkąd widział w niej cudzą żonę. Malarz pokonany szczerem uczuciem, przyznaje się do winy, błaga przebaczenia; nie mogąc go otrzymać, oddała się z rozpaczą. Łza błysła mu w oku: ta łza przemawia silniej niż słowa, do serca pięknej Lilli. Zniwolona podaje rękę malarzowi, który rzeka się na przyszłość niebezpiecznej roli don Juana.

Antor dla oryginalności, napisał sztuczkę tak zwanym wierszem wolnym, to jest różnosylabowym, jakiego Lafontain używał w swoich

hajkach. Wiersz dwónastosylabowy miesza on swobodnie z ósmiozłotkowym, i to w nieregularnych odstępach, rymy téż przekłada najdowolniej, wbrew przyjętemu zwyczajowi. Francuzi zamiłowani w greckich hexametrach, i poważnych aleksandrynach, nie mogą oswoić się z tego rodzaju wierszem; ztąd wywiązała się pomiędzy krytykami dosyć zacięta polemika: podczas gdy jedni pochwalają właśnie tę wolność, przystającą do lekkiego tonu sztuczki, inni powstają na śmiałe nowatorstwo. Kto zwycięży, trudno dziś jeszcze zgadnąć. Mylą się jednak ci ktorzy sądzą, że swoboda formy ułatwi pracę poetom. Któż nie wie, że jeśli wytrawnym tylko malarzom wolno rzucać na płótno szkice, tak samo prawdziwy tylko mistrz słowa ma prawo przyjąć formę, niby to łatwą, wymagającą przecieź artystycznego smaku, i głębokiej znajomości języka, aby przy wielkiej swobodzie utrzymać się w granicach, i nie wpaść w trywialność.

Z DZIEDZINY PRZYRODOZNAWSTWA.

Fotografia i jój stosunek do astronomii.—Prace dokonane na polu fotografii astronomicznej.—Obserwatorya astronomiczne w Stanach Zjednoczonych i Ameryce Południowej.—Obserwatorya europejskie.

Poprzednie sprawozdanie nasze przeważnie poświęcone było geologii i paleontologii. Zlekka tylko dotknęliśmy jednej ogólnej kwestyi, mogącej zarówno obchodzić geologa jak i astronoma, to jest tak zwanéj hipotezy nebularnej, czyli hipotezy o mgławicach. Obecne sprawozdanie poświęcamy astronomii ze względu na znaczenie, jakie ma ta gałąź wiedzy. Jeżeli bowiem matematykę wielki nasz astronom, J. Śniadecki, nazwał „królową nauk,” to astronomii, badającej przyrodę przeważnie na podstawie matematyki, słusznie należy się jedno z pierwszych miejsc w szeregu nauk.

W ostatnich latach fotografia zrobiła tak wielkie postępy, dokonała takiego przewrotu w niektórych naukach, jak np. w dziedzinie astronomii, iż traktując o téj ostatniej nauce, z konieczności musimy mówić o fotografii. Nie można sobie wyobrazić dwóch bardziej różnych przedmiotów nad fotografię i astronomię. Astronomia, najdawniejsza z nauk, z której dumni byli starożytni kapłani chaldejscy i egipscy, stanowiąca przedmiot poglądów wszystkich filozofów greckich i dotąd jeszcze ulubione zajęcie uczonych, lubi spokojną samotność, jak powiada uczony astronom medyolański Giovanni Celoria: skromna, czy téż dumna, stroni od tłumów, od których nie żąda natchnienia, zachęty i uznania. Postępuje niepostrzeżenie na czele wszystkich nauk: uważnie badając wielkie fakta przyrodzone, odrywa umysł ludzki od abstrakcyjnych spekulacyj dawnych szkół, dokonuywa najskuteczniejszej rewolucyi, zapisanej w historii nauk, podstawia metodę do-

świadczalną w miejsce spekulatywnej, rzuca podstawy handlu i bogactwa nowożytnego, prowadzi bezpiecznie okręty wśród oceanów, bada chronologię nowożytną, kieruje poszukiwaniami historycznymi wśród zamętu chronologii starożytnych, porządkuje i wyjaśnia opis zdarzeń nowszych, a przytém, że użyjemy słów uczonego astronoma medyolańskiego, z uśmiechem ironii słucha tych, którzy pytają się siebie samych o przyczynę i cel swego istnienia.

Fotografia, ten najnowszy wytwór umysłu ludzkiego, przeciwnie, nie jest ani nauką, ani sztuką; ma związek z nauką przez swój początek, zasady i metody, ze sztuką przez zastosowanie swoje. Jest najpopularniejszym z wynalazków naszego czasu: żyje wśród tłumów i im zawdzięcza swój szybki rozwój, rozdziela między te tłumy to, co wytwarza, w nich szuka punktu oparcia.

Fotografia i astronomia mają jeden tylko punkt wspólny, a mianowicie światło. Światło odkrywa przed okiem astronoma ciała niebieskie i ich ruchy, światło znaczy na czulej płycie fotografa linie i kontury krajobrazu, odtwarza najzawikłańsze stosunki mechanizmu.

Przy zdejmowaniu fotografii ciał niebieskich, największą trudność stanowi sam ruch tych ciał. Trudność tę starają się pokonać z jednej strony przez nadanie soczewce, która zbiera promienie światła, wychodzącego z ciał niebieskich (za pomocą mechanizmu zegarowego) podobnego ruchu, jakim jest ruch tych ciał, gdyż skoro soczewka i ciało niebieskie obraca się jednakowo, to obraz przez długi czas pozostaje stały w ognisku. Z drugiej strony, chemii nowożytnej nie trudno jest przygotować płyty fotograficzne nadzwyczaj czułe.

Ale astronomia żąda nie obrazów ciał niebieskich, mających wartość artystyczną; wymaga wizerunków mających szczególną wartość z punktu widzenia naukowego: astronomia chce spostrzeżeń. Dostrzegać, nie znaczy widzieć, nie znaczy przedstawiać, czyli raczej dawać wizerunek; dostrzegać w języku astronomicznym znaczy mierzyć. Jeżeli tedy fotografia ma wstąpić do obserwatoryów, czyli dostrzegalni astronomicznych, powinna stać się metodą nową dostrzegania, nowym sposobem mierzenia. Obrazy dostarczane przez nią powinny mieć nie wdzięk rysunku artystycznego, ale ścisłość i dokładność czystego rysunku geometrycznego; powinny mieć takie wymiary i cechy, na mocy których astronom mógłby widzieć to, czego nawet uzbrojone oko widzieć nie może, na mocy których mógłby dokonywać pomiarów, przewyższających ścisłością wszystkie rezultaty dokonywane innemi drogami.

Powiedzieliśmy, że trudności, jakie pokonać trzeba, są nie małe. Przedewszystkiém nie dosyć jest odfotografować mały obraz, powstający w ognisku zwykłej soczewki, sprowadzić następnie do większych wymiarów ten obraz i na kolejnych powiększeniach dokonać pomiaru. Ale ze zwiększaniem się obrazu fotograficznego jednocześnie zwiększają się i wady właściwe fotografii, a pomiary wzięte na obrazach z kolei powiększanych za pomocą sposobów używanych przez fotografów, nie budzą żadnego zaufania. Aby były ścisłe, powinny być dokonane na

obrazie, bezpośrednio odcisniętym przez promienie światła; a ponieważ ścisłość jednocześnie wymaga, aby pomiary te były dokonane na obrazach dostatecznie wielkich, to koniecznym jest, aby przy fotografowaniu ciał niebieskich uciekać się do takiego rozmieszczenia optycznego, któreby dawało na płycie fotograficznej obraz ciała niebieskiego dostatecznych wymiarów.

Opierając się na licznych pracach specjalnych, rozprawach i artykułach, pomieszczanych w ciągu kilku ostatnich lat w różnych pismach, jakimi są: „Nature,” „Popular Science Review,” „Scientific American,” „American Journal of Science“ i wielu innych źródłach, postaramy się przedstawić czytelnikom ogólny obraz postępów w dziedzinie astronomii w czasach ostatnich.

I.

O sposobach otrzymywania wielkich obrazów ciał niebieskich przy pomocy fotografii, jakich w popularnym artykule rozbiierać nie możemy, ogłoszone zostały wyczerpujące studia i bardzo ciekawe doświadczenia, na podstawie których niepodobna jest wątpić o stanowisku, jakie zajmie w przyszłości fotografia, która stanie się metodą pomiarową, metodą dostrzegania astronomicznego. Przejrzyjmy więc prace fotografii astronomicznej.

Dyrektor obserwatorium astronomicznego w Cambridge (w Ameryce), professor Bond, pierwszy wykonał fotografią ciała niebieskiego. Przez położenie czułej płyty w ognisku wielkiego refraktora o 38 centymetrach otworu, udało mu się otrzymać dagerotyp towarzysza naszej planety. Miało to miejsce w roku 1850. Pracę tę podjął w 7 lat później i sprostował wtedy pewne niedokładności pierwszego doświadczenia. W roku 1858 Porro i Quinet otrzymali w Paryżu znakomitą fotografią zaćmienia słonecznego z 15 marca, na której obraz Słońca miał 14 centymetrów średnicy.

Wszakże pierwszym znakomitym pracownikiem na tém polu, który dokonał całego nieprzerwanego szeregu doświadczeń fotograficznych, w swoim obserwatorium w Kew (w Anglii), był Warren De La Rue. Jego znakomite doświadczenia, podjęte jeszcze w r. 1852, niezmordowana wytrwałość, jego wielkie prace nad Księżycem dały nowy impuls fotografii astronomicznej. De La Rue pierwszy wykazał, jak pożyteczną, jak skuteczną może się stać fotografia tak przy budowie mapp, jak również przy badaniu powierzchni towarzysza naszej planety. On pierwszy zaznaczył, że części Księżyca jednakowo świecące optycznie, nie są takimi chemicznie; że światło i cień obrazów fotograficznych księżycowych nie odpowiadają w każdym przypadku światłu i cieniowi obrazów optycznych.

Fotografia części powierzchni Księżyca bliższej brzegu ciemnego otrzymuje się z wielką trudnością; wtedy, aby odbić wyraźnie obraz okolic oświetlonych przez promień bardzo pochyły, potrzeba 5 do 6 ra-

zy dłuższego czasu, niż w przypadku przyjaźniejszego oświetlenia. Nierównie łatwiej zdjąć wysokie płaszczyzny półkuli południowej Księżyca, aniżeli doliny, czyli tak zwane morza, w które obfituje półkula północna. Fakta te skłoniły Warrena De La Rue do przypuszczenia, że Księżyc, wbrew opinii powszechnie wyznawanej przed kilkoma laty, może mieć atmosferę nadzwyczaj niską, ale bardzo gęstą, i że tak zwane morza księżycowe mogą to być rozległe lądy, pokryte roślinnością.

Z kolei De La Rue zajął się zdejmowaniem fotografii niektórych planet. Zakrycie Jowisza przez Księżyc, w listopadzie 1858 roku, dostarczyło mu sposobności porównania blasku względnego oraz siły aktywności towarzysza naszej Ziemi i pomienionej planety. Jowisz przedstawiał błądy zielonawy odcień, nie był jaśniejszy od krateru Księżyca zwanego Platon; moc blasku jego wynosiła zaledwie $\frac{1}{8}$ ogólnego blasku Księżyca, władza aktywna jego światła wynosiła około $\frac{5}{6}$ w porównaniu z siłą aktywną światła Księżyca.

Przy badaniu Saturna potrzeba było 12 razy więcej czasu, niż przy Jowiszu, do przygotowania fotografii jednakowej doskonałości. Po pewnym czasie udało się Warrenowi De La Rue otrzymać w ciągu 15 sekund, fotografią Saturna i Księżyca w chwili właściwej, w której planeta ta wychodziła z poza tarczy Księżyca. Znakomity ten astronom we wszystkich swych doświadczeniach używał teleskopu, reflektora, i za pomocą znanych sposobów powiększał obrazy fotograficzne, dawane przez ten instrument. Dopiero później wprowadził w używanie, w swoim obserwatoryum, fotoheliograf, i z pomocą tego narzędzia przedsięwziął szacowny szereg fotografii słonecznych, których pomiary mikrometryczne nie zostały jeszcze ukończone i właśnie odbywają się w roku bieżącym.

W ostatnich czasach fotografie słoneczne zostały wykonane w wielu miejscach, w różnych krajach. Z okazji zaćmień Słońca, które miały miejsce od r. 1868, zawsze stosowano fotografią do ich obserwowania, a w przejściu planety Wenus przez tarczę słoneczną, które odbyło się w d. 9 grudnia 1874 r., metoda fotograficzna zajęła pierwsze miejsce pomiędzy metodami obserwacyjnymi.

Na tém miejscu wypadałoby się zająć bliżej wspomnianém już wyżej przejściem planety Wenus przez tarczę słoneczną, tym największym wypadkiem astronomicznym XIX stulecia. Ze względu jednak, że kwestya ta pobieżnie traktować się nie daje, że wymagałaby wiele miejsca, a co większa że nie zostały jeszcze ogłoszone wszystkie rezultaty, kwestyi tej dotyczące, zmuszeni jesteśmy odłożyć na później ten przedmiot i w oddzielnym artykule go opracować.

W wielu obserwatoryach zdejmowanie fotografii słonecznych stało się jedną z prac regularnych i normalnych. W samém obserwatoryum królewskiem w Greenwich, poczynając od 1 czerwca 1873 roku, zdejmowano przy każdej sposobności fotografią Słońca. Według sprawozdania dyrektora tego obserwatoryum ¹⁾, astronoma Sir G. Airy,

¹⁾ „The Astronomer Royal's Annual Report.“

niektóre z tych fotografii przedstawiają szczególny interes: budowa fotosfery, jaką wykazują niektóre, jest prawdziwie godna uwagi, nie tylko sama przez się, ale nawet dlatego, że dowodzi, o ile w tym przypadku specjalnym fotografiam przewyższa zwykłą obserwację.

Opinia tego astronoma ma wielkie znaczenie na korzyść fotografii słonecznej, i nabyłaby jeszcze większej wagi, gdyby zdołano również otrzymać bezpośrednią fotografię wyskoków słonecznych (protuberancj). Wysoki te nie mogą być widziane współcześnie na ciełe Słońca, w skutek wielkiej różnicy w natężeniu światła. Sposoby, jakie wynaleziono dla uwidocznienia tych wyskoków, nawet kiedy tarcza słoneczna nie jest zakryta przez Księżyc, opierają się wszystkie na monochromatyzmie ich światła. Kiedy od białego i jaśniejszego światła Słońca oddzielony został ten tylko kolor, który jest wspólny i wyskokom, natężenie świetlne tych wyskoków i ciała słonecznego daje się porównać za pomocą oka, a tём samém wysoki stają się bezpośrednio widzialne. Cel ten można osiągnąć dwoma sposobami: albo za pomocą pochłaniania, przez zmuszenie światła białego Słońca do przechodzenia przez środek zabarwiony, albo za pomocą rozpraszania, przez używanie aparatu spektralnego.

Przy bezpośredniém dostrzeganiu wyskoków, od wielu lat używa się ta druga metoda, oparta na dyspersyi czyli rozproszeniu tój części widma słonecznego, którego kolor nie odpowiada kolorowi wyskoków. Braun wymyślił specjalny przyrząd spektroskopowy do otrzymania bezpośredniej fotografii wyskoków; ale nie zdaje się, tak przynajmniej utrzymuje wielu astronomów, a między innymi i medyolański professor Celoria, aby jego rezultaty praktyczne odpowiedziały oczekiwaniu.

Professor fizyki uniwersytetu kordobskiego (w Rzeczypospolitej Argentyńskiej), Schultz-Sellak, proponuje osiągnąć cel, którego nie zdołał otrzymać Braun, na podstawie prawa pochłaniania. W tym celu przez przepuszczanie promieni słonecznych, przez soczewkę pokrytą warstwą jodku srebra, można otrzymać na płycie, przygotowanej za pomocą jodku, bezpośrednią fotografią wyskoków ¹⁾. Teoretycznie nie można nic zarzucić tym wywodom Schultz-Sellaka, wymagają tylko sprawdzenia doświadczeniem.

Fotografia niebieska nie zatrzymała się na ciałach systemu słonecznego; zuchwale zwróciła się ku gwiazdom. W kwietniu 1857 r., professor Bond zastosował ją do oznaczania ich wielkości, oraz do mierzenia odległości i kąta położenia gwiazd podwójnych. Śmierć spotkała go właśnie, kiedy to nowe zastosowanie fotografii zdawało się wymagać całej jego uwagi, i kiedy udało mu się otrzymać obrazy fotograficzne gwiazd nawet szóstej i siódmej wielkości. Ruterfurd w No-

¹⁾ Objasnienie tego wymaga dokładnej znajomości analizy spektralnej, bez której nie byłoby zrozumiałe, i dlatego pomijamy je na tём miejscu, ze względu, iż nie miałyby znaczenia dla ogółu czytelników, dla którego głównie przeznaczone są sprawozdania niniejsze.

wym-Yorku, który wielkie położył zasługi na polu fotografii niebieskiej przez rozwiązanie zagadnienia o achromatyzmie chemicznym obiektyw, podjął nanowo zadanie, prowadzone z takim powodzeniem przez Bond'a, i prowadząc je dalej, zdołał odfotografować jeszcze gwiazdy ósmiej i dziewiętej wielkości.

Największą przeszkodę przy fotografowaniu gwiazd stanowi to, iż przez długi czas obraz ich należy utrzymywać w stanie stałym na płycie fotograficznej czułej. Gwiazd pierwszej i drugiej wielkości otrzymuje się piękny obraz fotograficzny już po krótkim wystawieniu, wszakże dla odfotografowania gwiazd dziewiętej wielkości potrzeba płyty wystawiać przeszło na 8 minut. W ciągu tak długiego czasu, nawet kiedy mechanizm, udzielający instrumentowi ruch jednoczesny i równy pozornemu ruchowi dziennemu gwiazd, jest doskonały, stałość obrazu bywa zakłóconą przez refrakcyę atmosferyczną, która zwiększa się wraz ze wzrostem odległości zenitowej gwiazd, i zmienia się wraz ze zmianą składu warstw atmosferycznych. Wśród takich warunków fotografowanie gwiazd staje się prawie niepodobne; obrazy gwiazd świetnych wychodzą wielkie, rozlane, gwiazdy słabo oświetlone pozostawiają na płycie czułej odcisk niepewny, niewyraźny. Pomimo to jednak Rutherford doszedł do znakomitych rezultatów przez wielokrotne długie wystawianie płyty fotograficznej i nadawanie pewnego nieznanego ruchu narzędziu. Ale szczegóły te zaznaczymy tylko na tém miejscu, odsyłając ciekawych do specjalnych traktatów ¹⁾.

Niektórzy Amerykanie północni, na propozycyę Rutherforda, wysłali własnym kosztem profesora Schultz-Sellaka do Kordoby, aby tam, w obserwatoryum Rzeczypospolitej Argentyńskiej, zdejmował fotografie gwiazd południowych. Uczony ten miał do swego rozporządzenia refraktor achromatyzowany dla promieni fotograficznych o 28 centymetrach otworu i 4 metr. odległości ogniskowej. Z pomocą tego narzędzia udało mu się zebrać obfite żniwo na półkuli południowej, tak bogatej w gwiazdy. Wybrał przeszło dwadzieścia grup gwiazd, większą część w konstelacyi *Argusa*, niektóre w *Psie Wielkim*, inne w *Niedźwiadku*. Pomijając szczegóły, powiemy, że rezultatem tego było odbicie na płycie fotograficznej obrazów przeszło ośmiuset gwiazd.

Widząc tak wielkie rezultaty, rząd Rzeczypospolitej polecił nabyć nową, silniejszą obiektywę fotograficzną, aby można było z powodzeniem prowadzić dalej prace fotografii niebieskiej.

II.

Skorośmy już w wędrowce naszej przebyli Atlantyck, to zamierzając rzucić dorywczy szkic obserwatoryów astronomicznych, zaczniemy od amerykańskich.

¹⁾ Między innymi wiele pracował na tém polu dr. Herman Vogel, który wydał dzieło o chemii fotograficznej pod tytułem „Chemia światła i fotografia,

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej jest jedno tylko obserwatorium, utrzymywane kosztem Państwa. Inne, a jest ich kilka, powstały wszystkie z inicjatywy prywatnej i zawdzięczają istnienie swoje prywatnej pomocy. Jestto charakterystyczną cechą ludu amerykańskiego, u którego duch przedsiębiorczości jest powszechnie panującym, i każdy pojedynczy człowiek z otoczenia, w którym się rodzi, nabywa szybko wielkiej świadomości swojego własnego znaczenia, umie przedstawiać siłę i energię socyalną.

Przed trzydziestu laty, Ameryka Północna nie miała ani jednego obserwatorium. Dziś oprócz obserwatorium narodowego w Waszyngtonie, liczy obserwatorium Dudleyskie w Albany, obserwatorium kolegium Hamiltona w Clinton, obserwatorium uniwersytetu miczygańskiego w Ann Arbor, obserwatorium dearbornskie w Chicago, obserwatorium kolegium Harvardzkiego w Cambridge, obserwatorium kolegium Yalskiego w Newharen, obserwatorium astronomiczno-fotograficzne L. Rutherforda w Nowym-Yorku, obserwatorium kolegium Dartmuckiego, oraz pewną ilość obserwatoryów mniejszych, nieznanych w świecie naukowym. Wszystkie te obserwatoria świeżego początku są zbudowane, rzecz naturalna, według nowożytnych wymagań metod astronomicznych, i według zasad wskazywanych przez ciągły postęp nauki, w tej starzej, ale dzielnej, jak powiada Celoria, cywilizacji europejskiej. Ztąd też nie występują wpośród miast, nie stanowią części pałaców publicznych, nie mają wież. Tworzą same przez się całość, postawioną w miejscu szczęśliwie wybranem, gdzie ruch i życie wrzące miasta nie zakłóca położenia instrumentów, trzymanyh po większej części najuiżej, i ustawionych na wielkich i stałych fundamentach.

Wszakże biorąc z Europy ogólną normę budowy obserwatoryów, Amerykanie umieli nadać im szczególną fizyognomią, i tu, podobnie jak w każdej innej rzeczy, przedstawić poniekąd swoją naturę. Dwie rzeczy są charakterystyczne w obserwatoryach amerykańskich: ciągłe usiłowanie zastępowania pracy ludzkiej pracą machin, oraz olbrzymie wymiary instrumentów.

Professor Weiss, astronom obserwatorium wiedeńskiego, który w r. 1873, wysłany przez rząd austriacki, zwiedził główne zakłady astronomiczne amerykańskie, znalazł w Albany wielką maszynę, wynalezioną przez G. E. Sheutza w Sztokholmie, a zastosowaną do obliczania tablic refrakcyi: maszyna ta wprawioną była w ruch za pomocą koła, obracanego przy pomocy walca i takim sposobem przekształconą w prawdziwego rachmistrza automatycznego.

Ten sam duch, który utworzył zadziwiające maszyny do szycia, maszyny do rachowania, że już zamileczymy o innych, panuje i w obserwatoryach astronomicznych. We wszystkich obserwatoryach Stanów Zjednoczonych, bez żadnego w tym względzie wyjątku, obserwacje meteorologiczne wykonywane są za pomocą instrumentów samopiszą-

w zastosowaniu do sztuki, nauki i przemysłu“, a oprócz tego pomieszcza artykuły kwestyi tej dotyczące w Poggendorff's Annalen.

cych (registratorów i automatycznych). W niektórych z nich astronomowie powierzają tego rodzaju instrumentom wszelkie obserwacje, nawet najdelikatniejsze. W obserwatorium Dudleyjskim np., professor Mitchel wynalazł maszynę do katalogowania gwiazd, i bezpośredniego wykonywania map niebieskich.

Co się tyczy wymiarów instrumentów astronomicznych, Amerykanie mają właściwe sobie pomysły. Te, które mają mniej niż sześć cali otworu, to jest około piętnastu centymetrów, uważane są za przedmioty zbytku i zabawy; te, których otwór zawiera od siedmiu do dziewięciu cali, to jest od piętnastu do dwudziestu trzech centymetrów, uważane są za zdadne do wykładu zasad nauki; tylko mające otwór przechodzący dziewięć cali uważane są za dostateczne do badań naukowych. W Europie mało obserwatoriów posiada narzędzia o otworze 9 cali. W Ameryce obserwatorium w Ann Arbor ma refraktor o $12\frac{1}{2}$ calach, czyli około 31 c. otworu; obserwatorium Dudleyjskie o 13, Klintońskie o $13\frac{1}{2}$ calach, obserwatorium w Cambridge o 15 calach (38 centymetrów) otworu. Obserwatorium w Chicago posiada wielki refraktor o otworze $18\frac{1}{3}$ cal., czyli 47 centym., z pomocą którego Alvan Clark, syn znakomitego konstruktora tego narzędzia, znalazł 31 grudnia 1862 r. towarzysza Syryusza, a obserwatorium waszyngtońskie posiada obecnie największy na świecie instrument tego rodzaju, o otworze 26 cali czyli około 66 centym., wyszły również z rąk Alvana Clark.

W tym Alvanie Clark, z młodości malarzu, a obecnie najznakomitszym konstruktorem narzędzi optycznych, Ameryka posiada geniusza, który pracuje nad zaspokojeniem jej zamiłowania do olbrzymich teleskopów. W kilka lat z jego pracowni wyszły dwa najsilniejsze szkła przedmiotowe, jedno 47, drugie 66 centym. mające, a obecnie pracuje nad trzecim niemniejszych rozmiarów. Szkła przedmiotowe, wyrobione przez najznakomitszych optyków, przechodząc przez ręce Clarka, zyskują wiele, jak zapewniają astronomowie amerykańscy, tak pod względem jasności, jak również pod względem dokładności obrazu. Ale rzecz ta więcej obchodzić może Amerykanów, tych wielkich fabrykantów w wykonywaniu każdego przedsięwzięcia, i dlatego nie rozczyżymy się nad nią na tém miejscu. Dodamy tylko, że w optyce nie wszystko jest metodą, procesem mechanicznym; nie jedna rzecz wykłada się z pod pewnego stałego prawa i w całości, zwłaszcza kiedy chodzi o wykonanie praktyczne, zależy od ręki i talentu wykonawcy ¹⁾.

Mówiąc o nauce w Ameryce, mamy po większej części na myśli Stany Zjednoczone. Ameryka jednak Południowa, jakkolwiek pozostaje daleko po za Północną, pod każdym względem, w ostatnich latach swoim naukowym przebudzeniem się zwróciła na siebie uwagę. Rząd Rzeczy-

¹⁾ Po bliższe szczegóły o obserwatoriach amerykańskich odsyłamy do pięknego ilustrowanego artykułu „Observatories in the United States,” pomieszczonego w londyńskim tygodniku naukowym „Nature“ (nr. 245 i 246, z roku 1874).

pospolitej Argentyńskiej założył w Kordobie wielkie i dobrze zaopatrzone we wszystkie potrzeby obserwatorium astronomiczne, od którego nauka może wiele oczekiwać. Dyrektorem jego jest Dr. Gould. W Chili, w Santiago istnieje już od wielu lat obserwatorium. Brazylia, dzięki zamówieniu do badań astronomicznych swego cesarza, liczy również obserwatorium, które znajduje się w stolicy tego kraju. Nawet w Quito, w Rzeczypospolitej Ecuador, znajduje się obserwatorium, którego dyrektorem jest O. Menten.

Przechodząc z kolei do starego lądu, nie mamy wcale zamiaru szkicować szczegółowo obserwatoriów astronomicznych europejskich, jakkolwiek posiadamy bogaty do tego materiał w specjalnych artykułach, opisujących główniejsze obserwatoria astronomiczne, a mianowicie w wymienionych na wstępie pismach a głównie w tygodniku londyńskim „Nature,” zostającym pod redakcją najznakomitszego dzisiejszego astronoma, Normana Lockyera. Byłaby to praca długa, nie odpowiednia dla Biblioteki. Chcemy tylko pokrótce przebieść główniejsze miejsca, przeznaczone na rozwój nauki astronomicznej.

Astronomia nie jest rośliną, występującą oddzielnie. Tam, gdzie nauka w ogóle znajduje się w kwitnym stanie, astronomia również kwitnie. Jest to szczególny fakt, zasługujący na zaznaczenie, że narody posiadające naukę, posiadają jednocześnie bogactwo i potęgę, i prawdą jest, że znaczenie pewnego narodu wynika z trzech czynników: siły, bogactwa i nauki; czynników, które idą drogami równoległymi, razem się rozwijają, razem chylą się do upadku i razem dochodzą do kulminacyjnego punktu. Ztąd i w astronomii, podobnie jak w każdej innej rzeczy, Anglia, Francya i Niemcy ubiegają się między sobą o pierwszeństwo w Europie, i niektórzy są zdania, iż po nich inne narody szykują się w takim porządku, że ktokolwiek ugrupowałby je według ich znaczenia politycznego, naznaczyłby im prawie dokładnie stanowisko, jakie im przypada ze względu na ich znaczenie na polu naukowym.

W Europie większa część obserwatoriów powstaje i utrzymuje się kosztem rządów; i nie można się temu dziwić, bo jest to zgodne ze stanem społeczeństwa europejskiego. Wyjątek stanowi Anglia, gdzie jest wiele obserwatoriów prywatnych, i gdzie nawet w tym fakcie szczególnym napotykać jeden z rysów charakterystycznych plemienia, od którego wzięli początek Amerykanie Stanów-Zjednoczonych.

Anglicy, lud żeglarski i *per excellentiam* praktyczny, dumni są z obserwatoriów, tego najsilniejszego środka rozwoju nauki astronomii. Najznakomitszym jest obserwatorium królewskie w Greenwich, którego dyrektorami byli z kolei Flamsteed, Halley, Bradley, Maskeleyne, Airy.

Oprócz obserwatorium w Greenwich, występuje cała plejada obserwatoriów mniejszych, rządowych i prywatnych. W liczbie pierwszych znajdujemy obserwatoria w Oxfordzie, Cambridge, Edynburgu, Dublinie, Glasgowie; w liczbie drugich między innymi obserwa-

rya: Warrena De La Rue w Kew, Barclay'a w Leiton, Bishop'a w Twickenham, Hugginsa, Lindsay'a w Aberdeenshire, Lockyera, Rosse'a. I jak gdyby te nie wystarczały, w Oxfordzie rozpoczyna się budowa obserwatorium, przeznaczonego specjalnie do dostrzegania, które w Anglii nazywają zazwyczaj obserwacjami fizyki astronomicznej, jakimi są np. obserwacje fotograficzne i mikroskopowe.

Dwie rzeczy szczególnie zasługują na zaznaczenie w obserwatoriach angielskich: nadzwyczajna, przekazywana tradycją wielkość instrumentów (teleskop Herszla miał 40 stóp, a niemniej znakomite były teleskopy lorda Lassell i lorda Rosse) oraz zgodność, że tak powiemy, ich pracowników. Towarzystwo astronomiczne królewskie, w swojej znakomitej miesięcznej publikacji *Monthly Notices*, ogłasza raport roczny obserwacji, dokonanych w każdym obserwatorium, czy to publicznem, czy prywatnem, nie wyłączając nawet odległych obserwatoryów na Przylądku Dobrzej Nadziei, w Melbourne i Sydney, które uważane są za należące do jednego ojczyzstego kraju.

Niemcy mają również Towarzystwo Astronomiczne, bardzo rozpowszechnione czasopismo astronomiczne *Astronomische Nachrichten*, obserwatoria pierwszorzędne, a co ważniejsza, znakomite fabryki narzędzi optycznych.

Obserwatoria astronomiczne w Niemczech, o ile wiadomo, wszystkie są własnością rządową. Do najznakomitszych należą: obserwatorium królewskie, które pracami znakomitego astronoma Bessela wielką zjednało sobie sławę; obserwatorium w Getyndze, przypominające nam imię jednego z największych matematyków, Gaussa; obserwatorium altońskie przeniesione do Kiel, znakomite tém, że ztąd wychodzą *Astronomische Nachrichten*, założone przez Schumachera. W końcu należy tu wymienić niektóre inne miasta niemieckie, posiadające obserwatoria, jakimi są: Berlin, Bonn, Düsseldorf, Hamburg, Lipsk, Mannheim, Wrocław, i t. d.

We Francji, jednemu obserwatorium paryżkiemu, znakomitemu tak instrumentami jak również liczbą obserwatorów i wysokiem swoim znaczeniem, dorównywiają tylko obserwatoria w Greenwich i Pulkowie. Obserwatorium bowiem marsylskie jest tylko filią paryżkiego i przeznaczone specjalnie do badań nad kometami, urządzone zaś w Tuluzie nie ma obecnie wielkiego znaczenia. W roku zeszłym jednak francuzka Akademia Nauk powzięła myśl założenia nowego obserwatorium, przeznaczonego na badania z dziedziny fizyki astronomicznej, i podobnego do tego, jakie obecnie Anglicy budują w Oxfordzie.

Obserwatoria w Rosyji i Polsce powszechnie są znane i dlatego ich tu nie wymieniamy. Najznakomitsze jest pulkowskie.

Włochy zajmują w astronomii dosyć ważne stanowisko, które winny więcęć geniuszowi swoich astronomów ¹⁾, niż wielkości instru-

¹⁾ Dosyć jest na poparcie tego twierdzenia, wymienić imiona Secchi'ch, Schiaparelli'ch, i innych astronomów.

mentów, albo téż urzędzeniu swoich obserwatoryów. Liczba ich nie mała. Dostyc jest wymienić obserwatorya w Bolonii, Florencyi, Medyolanie, Modenie, Padwie i Rzymie. Obserwatoryum tym, jak powiada Celoria ¹⁾, aby były w stanie kwitnącym, brak odpowiednich narzędzi, co jest tém gorsze, że w kraju nie znajdują w ogóle poparcia, że nie są tam rozwinięte zakłady optyczne i mechaniczne. Pod tym względem szczególnie ważne są obserwatorya w wielkim kraju, że wymagają do swego istnienia, do swego rozwoju i pomyślności dwóch rodzajów przemysłu najszlachetniejszych i najtrudniejszych, możnaby powiedzieć, bo każdej chwili nauki obserwacyjne czują ich potrzebę, t. j. zakładów optycznych i mechanicznych.

Inne kraje europejskie, od Portugalii do Szwecyi, mają również swoje obserwatorya, ale w żadnym z nich niema właściwie prawdziwego ruchu, prawdziwego życia astronomicznego. Są to, jak powiada Celoria, tylko strumyki, które wpadają do wielkiej rzeki francuzko-niemiecko-angielskiej ²⁾. Istnieją obserwatorya w Lizbonie, Madrycie, Brukselli i Kopenhadze; liczy ich kilka i Szwajcarya, a mianowicie w Genewie, Neuchatel i Zürich: wreszcie Szwecya i Norwegia, Holandia, Grecya, Turcya mają swoje obserwatorya w Upsali, Sztokholmie, Christianii, Lejdzie, Utrechie, Atenach i Konstantynopolu.

Przechodząc do rezultatów naukowych, dotyczących ciał niebieskich, zaczniemy od tego, które jest najbliższe naszój planety, t. j. od jój towarzysza, Księżyca.

T. Skomorowski.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Kilka kwestyi, jako uzupełnienie zagadnień i kierunków. Przez L. Szczerbowicza-Wieczora. Warszawa. Część I, 1874, część II, 1875 r.

Przeciwnikom zasady *wszelchlogizmu*, bezwątpienia nie na rękę będzie to, co się dzieje w świecie myślenia współczesnego. Patrzymy na fakta, dowodzące, że każda teorya, mająca wszelkie cechy jednolitości, nosi w sobie organiczny zaród rozdwojenia.

¹⁾ „A diventar fiorenti, questi Osservatorj mancano in gran parte di istrumenti, e questo è il peggio, che in paese essi non trovano ancora al proprio svolgersi il voluto punto d'appoggio, l'industria ottica voglio dire, e dell'alta meccanica di precisione.“

²⁾ „Sono rigaguoli che vanno a finire nella fiumana massima franco-anglo-germanica.“

Widok walki systematów w etyce, nauce przyrody, w teorii prawa, zgoła we wszystkich gałęziach wiedzy, ani nas zasmucać, ani zadziwiać nie powinien. Nie powinien zasmucać, bo walka przeciwności, ogólnym swoim tokiem, prowadzi do pewnych wybitnych węzłów w nauce; ani też zadziwiać, bo wynika z opatrnej konieczności porządku świata. Wszakże świat bytu i świat myśli, są to dwie *podobne figury*, w obu więc wzajemny stosunek sił działających ten sam być musi.

Nie ulega wątpliwości, że teorie naukowo społeczne, będące dziś w obiegu, ustawić się dadzą w imieniu dwóch zasadowych punktów wyjścia: z ducha lub materji. „Kierunek, albo materyalistyczny albo realistyczny,“ dawna to zapewne i dobrze już przechodzona terminologia; ale cóż począć, skoro po za nią żaden kierunek samoistny pomyśleć się nie da. Chwila jednak obecna ma tę wyłączną ważność, że oba wspomniane organa z zakresu teorii poczynają się wydzierać w dziedzinę stosunków życia.

I dlatego dziś niesłychanie pożądanymi są pisma orzekające, o ile to pewne dogmata z katedry i ksiąg przesadzeni być mogą do gruntu, jaka będzie tu ich postawa w obec prawd, zdobytych na powolnej drodze doświadczenia, w obec spadkowych przekonań i zmysłu powszechnego.

Autor „Kwestyi“ założył sobie podobną ocenę; wystawia on nam cały poczet kierunków wygłaszanych przez prasę, w najgłośniejszych zakresach nauki i życia. Mamy tu przed sobą nietylko sprawozdawcę ruchu obecnego, ale i przeważająco—sędziego i krytyka. Barwy swojej nie ukrywa p. Szczerbowicz: jest on stanowczym przeciwnikiem materyalizmu z wszelkimi jego odcieniami lub przedłużeniami. Modła szkoły również jasno postawioną została: na przeciwko *egoizmowi i altruizmowi*, mamy tu na sztandarze *ideal dobra*, tradycją i tradycyjne pojęcia o duszy, nieśmiertelności i t. p., słowem te wszystkie pierwiastki spadkowej cywilizacji, które zdaniem autora, przez niwelujący kierunek chwili obecnej zagrożonemi zostały.

Walka z przeciwnikiem *poważnym* i prowadzona *poważnie*, z zimną krwią i obiektywnym spokojem, jest zawsze godnym uwagi zjawiskiem. I dlatego postanowiliśmy pomówić z czytelnikiem o piśmie p. Szczerbowicza-Wieczora.

W trzynastu rozdziałach (sześciu w I i siedmiu w II-jej części), autor, z zachowaniem pewnej ciągłości wewnętrznej, daje nam przegląd wybitniejszych opinii i godeł, pod jakimi dzisiejsze płody literackie ukazują się w świecie publicznym, poczynając od religijności, a kończąc na walnej bitwie klassycyzmu z realizmem na polu pedagogii.

Na wstępie autor zapowiada metodę konstrukcyjną: dowodzenia faktowe odrzuca z zasady.

Otóż na tej drodze wszelką działalność ludzką wyprowadza on z trzech naczelných władz duszy: z myśli, uczucia i woli; żąda ich uprawnienia, oświadczając się stanowczo przeciwko apoteozie wiedzy. Religiją uzasadnia głównie na uczuciu; istotę jej, zdaniem p. Szczerbowicza-Wieczora, stanowi miłość, instynktowe ciężenie duszy ludzkiej ku ideałowi piękna: „religijność jest uczuciem estetycznym.“ Dla dowiedzenia estetycznego źródła religijności, autor posługuje się trzema pojęciami ideałów: dobra, piękności i prawdy. Ideały „jako niedosięgalne w życiu, zwracają duszę mimowolnie w sfery nadziemskie, ku jej niebieskiej ojczyźnie.“

Temu związkowi i pobratymstwu ducha z niebem p. Szczerbowicz-Wieczór poświęcił obszerny i prawdziwie świetny ustęp, za który każdy, uznający owe pobratymstwo, wdzięcznym mu będzie. Przedmiot unosi autora widocznie; dyalektyka miewa także natchnienia swojego rodzaju.

Żałujemy jednak, iż biorąc pojęcie ideału za podstawę uczucia religijnego, nie pomyślano tu o trwalszém umocowaniu *samąj podstawy*. Autor bowiem (str. 15), w formie następstwa, pozwala ideały nazywać „przekonaniami o potrzebie doskonałości.“ Jest to mimowolny wyłom, który, jak zobaczymy, naraża na ważne niebezpieczeństwa imię i całość bronionej zasady.

Kto ideał nazywa *przekonaniem o potrzebie* doskonałości, ten zamiast postawić go o własnej jego sile, przenosi we względny zakres umysłowości ludzkiej, zdając na łaskę i niełaskę wszystkich jej zwrotów i usposobień.

Ponieważ zaś autor, jak się z ogólnego toku pisma okazuje, ani na chwilę nie waha się uznać istotną, obiektywną nieomylnosć uczucia religijnego, należało więc powiedzieć, iż tu jest mowa nie o *samąj istocie* owych wskazówek instynktowych, lecz tylko o ich rodowodzie psychicznym. Wówczas zrobione przez autora ustępstwo w zastosowaniu do religii, znaczyłoby po prostu, że człowiek, jako istota z *natury* swojej religijna, wytwarza w sobie stopniowo, coraz wybitniejszą świadomość o owém pobratymstwie.

Tymczasem ideał postawiony przez autora, jako postulat natury ludzkiej, pociąga nas siłą ciężenia logicznego, ku tym wszystkim konsekwencyom, z jakimi wystąpili jużto przeciwnicy, jużto jednostronni ryccze tradycyi.

Arcy niebezpieczną jest rzeczą dyalektyka rozumująca w tym kroju, iż poczucie zimna lub głodu, daje nam rękojmię istnienia elizyum ciepła i sytości.

Nie wspominamy już o dobrodusznym Jakóbie Böhmie, który nam powiada bez ogródki, że „gdyby nie on, bóstwa nie byłoby ani na chwilę,“ pomijamy mniej rubaszne, ale niemniej stanowcze paradosa francuzkie, jak np.: „Il crée l'homme à son image, et l'homme le Lui a rendu.“ Ale zamilczć nie możemy o człowieku wysokiego

wpływu w swoim czasie, o Ludwiku Feuerbachu, który całą siłą swojej polemiki osnuł na tym przesądzie metafizycznym.

Przystępując z kolei do rozstrzygnięcia najwyższej z kwestyi religijnych, p. Szczerbowicz-Wieczór uznaje zasługi Kanta na tém polu i wiele przywiązuje do jego dowodów. Atoli szczerości Kanta w tej sprawie zbyt przeceniać nie należy. W ogóle bowiem rozumuje on w tym przedmiocie z pewną obawą, aby jego samego nie posądzono o brak wiary we własne dowodzenia.

Gdyby p. Szczerbowicz-Wieczór, tak gorąco, tak serdecznie broniący godła swojego, zamiast powag olbrzymich, ale w tej sprawie nadzwyczaj chwiejnych, sam posunął się dalej w nakreślonym przez siebie kierunku, wtedy cały grunt zyskałby nierównie więcej spójności.

Prawdziwy zaszczyt poglądom p. Szczerbowicza-Wieczora przynosi jego ustęp o *moralności*. Podajemy go w krótkim streszczeniu:

Popęd człowieka ku dobremu ma także źródło w ideale. Moralność jest z pochodzenia swojego apryoryczną. Na to, podług autora, mamy dwie główne rękojmie: powszechny głos ludzkości i sumienie. W obec moralności w imię ideału, autor stawia utylitarystyczny t. j. moralność w imię korzyści. Następnie daje nam historyczny obraz rodzajów pojmowania dobra, poczynając od sofistów, aż do Locka i encyklopedyi, dalej przedstawia teorię Kanta i jego następców. Słusznie zalicza do utylitarystów Locka; sam bowiem twórca „badań o umyśle ludzkości“ nie powiedziałby inaczej o sobie: nie mógł on popierać w dziedzinie moralności tego, co odrzucił na polu spekulacyjnem. Zasady moralne, podług Locka, pod względem pojęciowym, stoją nierównie niżej aniżeli zasady spekulacyjne, albowiem potrzebują dowodzenia, tymczasem te mają cechę oczywistości.

W rozdziale p. t. „Wstręt do filozofii“ p. Szczerbowicz-Wieczór wysoko stawia znaczenie, broni samoistności filozofii, podając za minimum jej zasług: zdobycze formalne. Filozofia ma i stronę treściową, właśnie najważniejszą, treściową stronę stanowią systemata. Autor słusznie uznaje ważność obecnego zwrotu filozofii na pole psychologiczne.

Z powodu ciągle ponawianych wycieczek przeciw Darwinowi, sądzimy iż ze strony autora byłoby właściwem napomknąć, jeżeli już nie dowieść obszerniej, o ile darwinizm uważanym być może za teorię nową.

„Kwestya duszy“ daje autorowi obszernie pole do wypowiedzenia swoich przekonań. Pouczająco streszczone tu są dowody istnienia i niematerialności duszy, a mianowicie: wydatna różnica pomiędzy jednostkami, oddziaływanie człowieka na samego siebie, mocą podmiotowości swojej, świadomość jego o samej tej podmiotowości, jedność i tożsamość samowiedzy.

Zestawienie Benekego z Condylłakiem i Lockiem nie zdaje się nam właściwem. Ma on wprawdzie sensualistyczne zacięcia, ale

sensualistą nie jest; obstaje za samoistością duszy i za jej duchową naturą. Co zrobiło Benekemu reputacją materyalisty? prawdopodobnie to, że zerwał stanowczo z metodą metafizyczną.

Z powodu doktryn krańcowo-materyalistycznych, dostało się jak to mówią przez *odbitkę*, Heglowi za jego osławioną tezę „wszystko co jest, jest rozumne,“ której jak wiadomo nie przebaczył mu i nasz wielki myśliciel. Nie będzie ona przecież tak straszną, jak ją malują, jeżeli zrozumiemy ją w takim duchu, w jakim była wypowiedziana.

W „poglądach na postęp i jego cele w historii ludzkości“ autor określa stosunek człowieka do przeszłości. Pojęcie „postępu“ jako nowożytne, spowodowało go do nakreślenia w głównych zarysach rozwoju filozofii dziejów. Odróżnienie przeszłości od tradycji jest bardzo trafne. Tradycja jestto „ostateczna treść otrzymana z przeszłości, i owa to treść, wynik, przekazywany z wieku na wiek, stanowi łączność dziejową. „Wadą jest wygórowana i bezwzględna cześć dla przeszłości, ale przed tradycją, i tak zrozumianą tradycją należy uchylić czoło.“

W ocenie przesuwających się przed oczyma, kierunków obecnej chwili, p. Szczerbowicz-Wieczór nie pominął i „kwestyi kobiecój.“

Zasługują na uwagę słowa autora, wyrzeczone na str. 80, w 2 c.

W ostatnich rozdziałach spotykamy równie zajmujące ustępy „o błędnych nowościach w kwestyi wychowania i nauczania.“ Zadaniem wychowania, mówi p. Szczerbowicz-Wieczór, jest rozwój i należyty układ wszystkich władz myślenia i poznawania.”

Wyszktałeniemu humanitarnemu autor przyznaje stanowczo wyższość; o kierunku realnym wyraża się z należytym uznaniem. Nie zgadzamy się jednak z autorem, aby jedynym tytułem usprawiedliwiającym ten kierunek, był utilitaryzm. Nauki przyrodzone ujęte na pewnej wysokości, przedstawiają się także jako grupa *pojęć*, z której przy należytych wykładzie, wysnuć się dadzą żywioły humanitarne.

Niniejszy przegląd kończymy szczerem uznaniem pracy pana Szczerbowicza-Wieczora. Dotknął on w niej najwydatniejszych dążeń w obecnym ruchu pojęć, tak naukowych jak i społecznych; o ich zaletach i wadach wypowiedział sąd zdrowy, oparty na znajomości współczesnego stanowiska. Styl p. Szczerbowicza-Wieczora poprawny, w wielu miejscach świetny, w zupełności odpowiada naturze przedmiotu, jakkolwiek nie zgodzilibyśmy się na pewne zwroty, jak np. „główna rzecz w tém służyć rękojnią (za rękojnię),“ środki przyjąć (przyjścia) w pomoc.“ Również nie należałoby zasad przeciwników nazywać „teoryjkami, formułkami“ i t. p.

Illustrowany Przewodnik po Krakowie i jego okolicach, z dodaniem wszelkich wiadomości i objaśnień potrzebnych dla podróżnych, oraz opisu wszystkich znaczniejszych zdrojowisk w Galicyi, ozdobiony 30 rycinami oraz planem miasta Krakowa. W Krakowie nakładem księgarni i wydawnictwa „Czytelnia ludowej“ A. Nowoleckiego, 1875 r. (w 16-ce str. XLVI, 174—88). Jest do nabycia we wszystkich księgarniach.

Od dawnego czasu dawała się uczuwać potrzeba przewodnika dla licznych wędrowców, którzy corocznie gród ten starożytny odwiedzają, głównie w przejeździe do zdrojowisk galicyjskich, jak Szczawnicy i Krynicy, lub do piękniejszych okolic Tatrów jak *Zakopane*, nieprzywodząc wielu innych miejscowości.

Miasto jak Kraków, tak bogate w zabytki sztuki i historyczne pamiątki, ma wprawdzie swych kronikarzy, pomiędzy którymi stoi na czele Ambroży Grabowski, ale te prace poświęcone tylko dziejom miasta i jego budowlom z pamiątkami, oraz bliższymi okolicom, nie mogły służyć za podręcznego przewodnika dla podróżnego, który w przelocie przez gród ten radby nie tylko poznać ważniejsze pamiątki godne uwagi, ale zarazem oznajomić się z samym miastem, jego ustrojem społecznym, i mieć wskazówki konieczne dla swój wygody i potrzeb niezbędnych w drodze.

Życzenia ogółu starał się zaspokoić wydawca przez ogłoszenie przewodnika, wnader starannój i ozdobnój edycji. Cztery działy na czele podane obejmują dokładne objaśnienie dla podróżnego, co do ceny jazdy doróżkarzy, opłat od telegramów i kolei żelaznej, hoteli i domów zajezdnych: restauracyi, handlów, domów bankowych i kantorów wymiany pieniędzy; listy imienne doktorów, adwokatów, notaryuszów i t. p. Przewodnik dla zwiedzających osobliwości Krakowa, teatr z planem miejsc, w nich zakłady naukowe i w. i.

Właściwą część literacką stanowi: „*przewodnik po Krakowie, ze względu na starożytność i pamiątki*“, napisana przez prof. Władysława Łuszczkiewicza, dobrego znawcę w tych rzeczach.

Autor dzieli pracę swoją na pięć rozdziałów i po wstępie w którym pokrótce nadmienia o dziejach Krakowa, w pierwszym obejmuje „opis miasta w obrębie plantacyi.“ Podział właściwy, gdyż najważniejsze zabytki historyczne w tym obrębie stary gród przechował. Plantacye, które na miejscu warownych murów, zielonym wieńcem otoczyły rynek z pobocznymi ulicami, są jakby tarczą chroniącą od napływu obcego, to serce starożytnego Krakowa. Tu utrzymał się cały charakter przedwiekowy z *bramą Floryańską*, *Sukiennicami*, kościołkiem *Sw. Wojciecha*, wspaniałą świątynią *Panny Maryi* i uliczkami łączącymi się z samym rynkiem; po za plantami rozwijają się przedmieścia, które już mają nowoczesne oblicze. Oddzielną część

miasta stanowi *Zamek Krakowski i Katedra na Wawelu*, panujące po nad Wisłą i miastem. Ich szczegółowy opis obejmuje rozdział osobny. Dalej idą przedmieścia Krakowa, gmachy, instytucje i zbiory naukowe Krakowa, kościoły, kaplice, bractwa i zakony; ostatni dział obejmuje: obchody doroczne i okolice miasta.

Jakkolwiek autor w szczerpłych ramach mieścić się musiał, nic tu z ważniejszych zabytków, pamiątek i pomników, zapomnianém nie zostało. Ważne są nadzwyczaj spostrzeżenia jego, co do pewnego określenia epoki, w którym czasie różne budowle powstały. Jak dowiadujemy się, że *krypta Sw. Leonarda* wiodąca do podziemnych grobów królewskich, jest najstarszą częścią katedry „w rozwiniętym pięknie stylu romańskim, wystawioną za czasów Władysława Hermana.“

Podróżny z tej szacownej pracy prof. Łuszczkiewicza dostatecznie oznajomiony zostaje, co najgodniejszym jest jego uwagi w tym starożytnym grodzie.

Po tym przewodniku artystyczno-historycznym rozdział oddzielny obejmuje *opis Zdrójowisk w Galicyi*, przedmiot najżywiej obchodzący wielką liczbę gości przybywających do Krakowa, których celem głównym są właśnie owe Zdrojowiska. Dwadzieścia z górą miejscowości takich jest tu szczegółowo wymienionych, z potrzebnymi objaśnieniami.

Część ostatnią stanowią ogłoszenia różnych firm zakładów, fabryk, przedsiębiorstw i t. p. Widzimy z tego pobieżnego przeglądu, że *przewodnik* odpowiada zadaniu swemu, i jest rzeczywiście podręczną ksiąteczką wielce użyteczną dla każdego, kto pierwszy raz odwiedza Kraków. Cena dostępna, jak i wartość wewnętrzna zapewniają tej publikacji szerokie rozpowszechnienie. Dodać tu w końcu winniśmy, że od wielu lat ma przygotowany do druku w szerokich rozmiarach *Przewodnik po Krakowie* prof. Józef Łepkowi. Głównie on ma na celu tylko stronę historyczną, archeologiczną i opisanie wszystkich zabytków godnych uwagi tak pod względem sztuki, jako też i pamiątek upłynionych wieków. Gdy nań znajdzie się nakładca, będzie ta szacowna praca dopełnieniem obecnego przewodnika.

W. W.

Geografia Galicyi, podręcznik dla uczniów seminariów nauczycielskich i dla nauczycieli szkół ludowych i wydziałowych. Ułożył *Lucyan Tatomir* starszy nauczyciel Seminarjum męskiego we Lwowie. We Lwowie 1874 r. nakładem Karola Wilda, z godłem na czele: „*Cudze wiedzieć rzeczy ciekawość jest: a swoje potrzeba.*” Fredro przysłowia. (W 12-ce str. XVI, — 262).

Bogata jest Galicya w opisy tak ziemi i zasobów jej płodów przyrody, jako też i pod względem statystycznym i etnograficznym.

W tomie II-gim *Biblioteki Warszawskiej* w zeszycie kwietniowym r. b. obszerne daliśmy sprawozdanie o dwóch pracach statystycznych co do ludności Galicyi, jako téż i dotyczące miasta Lwowa; teraz należy podać wiadomość o dziele powyższém wysokiej wartości, jakim jest bez zaprzeczenia *Geografia Galicyi* P. L. Tatomira.

Autor książkę swoją dzieli na XV rozdziałów, w których podaje położenie, rozległość i granice, plastykę kraju, główny dział wód, stoki kraju i jego wody, klimat i fizyografię kraju: podział Galicyi na powiaty, ludność, płody, przemysł, środki komunikacyi, handel, urzędnia państwowe, władze i urzędnia duchowne, oświata, urzędnia społeczne i pamiątki historyczne.

Pomimo obfitego materiału do opisu Galicyi we wszystkich kierunkach, praca p. Tatomira odznacza się wydatnie. Bagactwo to umiejętnie umiał rozdzielić, i niém każdy rozdział swego dzieła uposażyć.

Ustęp etnograficzny ma rozmiary obszerniejsze, bo jak słusznie autor pisząc dla nauczycieli szkół ludowych wyraża: „że ludzie mający pójść między lud, powinni znać w ogólnych przynajmniej ry-sach usposobienie i zajęcia tego ludu w różnych stronach kraju, a to tém bardziej, że etnograficzne opisy dostarczyć mają zręcznemu nauczycielowi ludowemu obfitego materiału do porównań wielce pouczających, a mających niepoślednią wartość dla życia praktycznego.”

Ustęp ten obejmuje rozdział VI pod napisem *Ludność*. Autor podaje nam liczbę mieszkańców Galicyi na 5,418,016, rozsiedlonych w 11,373 osadach, w których jest 6135 wsi i przysiołków, 4925 obszarów dworskich, 230 miasteczek i 83 miast.

Z miast najludniejsze jest Lwów liczące z górą 87,000 ludności, po niem Kraków do 50,000, reszta z większych ma od 10,000 do 22,000: mniejsza od 2000 do 5000 mieszkańców, lubo co godne uwagi, że Galicya liczy wiosek około 100, z których każda ma przeszło 2000 ludności. Przyrost ludności w ogóle wynosi rocznie po 15 dusz na 1000.

Pierwotnymi rodzinnymi mieszkańcami téj krainy są Polacy i Rusini; obcego pochodzenia Niemcy, którzy wynoszą przeszło 3% ludności, mała garstka Ormian bo zaledwie 2400 dusz, osiedlona we Lwowie i na Pokuciu, a najliczniej w *Kutach*, główném mieście Gór-rali *Huculów*. Napływ Ormiański jest najstarszym ze wszystkich obcych napływów w Galicyi, bo widzimy ich tu już w XI wieku. Obok nich nie wielka liczba jest *Menonitów*, w powiatach Lwowskim i Gródeckim, wędrownych z Francyi.

Równocześnie, jeżeli nie dawniej już się zasiedlili żydzi, którzy dziś wynoszą ogółem blisko 11% ludności Galicyi. Rolnicza sekta żydowska *Karaitów* osiedliła się w Haliczu. Język tatarski, którym do dzisiaj Karaiaci mówią, potwierdza istniejące między niemi podanie, że *Witold* w XV wieku z Krymu pierwszych ich przodków sprowadził i na Rusi Czerwonéj osadził.

Należą tu jeszcze *Cyganie*, włóczący się bandami w pogranicznych od Bukowiny i Węgier okolicach, wiodąc życie koczownicze w ziemnych kureniach i pod namiotami.

Podług wyznania górują rzymscy katolicy, wynoszą bowiem 46%, greko-katolicy przeszło 42%, do tych doliczyć należy obrządek ormiańsko-katolicki. Ludność Galicyi przeważnie jest rolniczą. Autor w obszerniejszych ramach daje charakterystykę ludu galicyjskiego i maluje kmiecia *polskiego i ruskiego*, szczegółowo przedstawiając górali i ich rody różniące się pomiędzy sobą wydatnie. A obejmuje pas gór długi, bo zaczynając od podgórze krakowskiego ciągnący się wzdłuż granicy węgierskiej aż do Bukowiny. Kraina uboga, o której sam *Podhalan* smutną śpiewa piosenkę;

„Biędna to, biędna, ta nasza kraina,
Gdzie chleb się kończy a woda zaczyna!“

Następnie opisuje mieszkańców równin, jak Krakowiaków, Mazurów, ruskich Beżan, Bużan Podolaków, jak lud Pokucki i Opolski.

W rozdziale następnym pod napisem *plody*, mamy dokładne wiadomości o płodach kopalnych, pod którymi mieści autor górnictwo, żupnictwo i hutnictwo. Na czele stoi sól kamienna z opisem najbogatszych kopalni Wieliczki i Bochni; dalej olej skalny, i wosk ziemny, w które najwięcej obfituje, ze wszystkich krajów monarchii austriacko-węgierskiej Galicya; węgiel kamienny, rudy żelazne, i huty; galman i cynk, ołów, ałun, siarka, glinki ogniotrwałe, kamieniołomy i wielka obfitość torfu.

Galicya najwięcej uposażoną jest w rozliczne zdrojowiska lekariskie. Jeżeli spojrzymy na płody roślinne, nieprzebrany tu skarbiec w borach i lasach, posiada też obfite łąki i pastwiska. W dalszym ciągu daje nam autor obraz gospodarstwa rolnego, hodowli zwierząt domowych. Tu przechowała się jedynie *rassa polskich koni*. Dalsze rozdziały któreśmy już wymienili obejmują w treściwym wykładzie przemysł i handel, administrację krajową, urzędnia społeczne, wreszcie ostatni rozdział poświęcony jest *pamiętkom historycznym* z przeglądem dziejów Galicyi od pierwotnych wieków do roku 1846, kiedy Rzeczpospolita Krakowska zniesiona została i z tytułem Wielkiego Księstwa Krakowskiego wcieloną do Galicyi. Zakończa całe dzieło wyliczenie miejsc zasługujących na uwagę ze względu na wspomnienia lub zabytki historyczne.

Mamy więc obraz dokładny Galicyi pod wszystkiemi względami, a praca p. Tatomira jest pouczającą książką nie tylko dla nauczycieli szkół ludowych, ale dla każdego myślącego obywatela, dla każdego co pragnie poznać tę piękną krajinę i bogato uposażoną od *Opatrzności*. Żałować tylko przychodzi, że wydawca nie dołączył dokładnej mapki Galicyi.

Julian odstępcą, tragedia w pięciu odsłonach, napisał R. S. Odessa, czcionkami drukarni słowiańskiej, 1875 r.

Dziwném zrzędzeniem losu na stole redakcyjnym spotykają się dwa utwory dramatyczne jednego dogmatu, jednej i téj saméj dążności, ustawione na jednéj i téj saméj sprężynie: „Julian Odstępcą“ tragedia p. R. S. i „Król Gotów Roderyk“ p. Feliksa Dahk'a (König Roderich, Trauerspiel in fünf Aufzügen. Lipsk 1875 r.).

W obu utworach wprowadzony jest na linią odwieczny antagonizm starego i nowego porządku, walka o kierownictwo; przedmiotem walki owa bezwiedna warstwa, którój ani świat gocki, ani świat Juliana poprzednio nie uznawał.

W obu tragediach zmierzają do tronu dwie postacie: jedna uosabiająca stary, druga, nowy porządek; tu królewicz Julian, tam Roderyk, hrabia Grenady, obaj obrońcy praw ludu (na szczęście Julian szlachetniejszy); tu Zbigniew, książę krwi, narzucony pretendent, tam zostawiony w odwodzie brabia Ceuty, obaj oddani sprawie kleru. Nakoniec tak w „Julianie“ jak i w „Roderyku“ pomiędzy dwoma prądami przesuwają się typy środkujące, zdaniem naszym nader wydatny, tam (w Roderyku) Gundemar, biskup Korduby, niegdyś hetman Gotów, tu zaś, ksiądz Wincenty opiekun królewicza, postać najwdzięczniejsza z całego orszaku.

Słowem poczet charakterów jeden i ten sam bezwarunkowo, co więcej, jeden i ten sam zamach tragiczny; wstrząśnięcie posadami państwa, za pomocą przełomu wewnętrznego, tu—przez podstawienie sztucznego królewicza na miejsce prawego następcy, który dopomina się o podźwignięcie prostaczków i zniesienie monopolu stanowego, tam w dramacie niemieckim, przez wydanie gockiej Hiszpanii na łup Maurom. Oba dramata kończą się upadkiem niecnoty.

Wskazawszy niezaprzeczone podobieństwo pomiędzy dwiema tragedjami, nie zamierzaliśmy bynajmniej uwłaczać zasłudze p. R. S. a mianowicie, oryginalności jego utworu. Od chwili, jak sztuka traci świętą obiektywność swoją, od chwili jak scena wysnuwa się już nie z absolutnego wątku natury ludzkiej, ale z dążności i przemijających prądów, podobne pokrewieństwa, mimowolnie są rzeczą nieuniknioną. Tylko na dnie ducha ludzkiego można być pewnym prawdziwej nieskończoności charakterów, ale tu w sferze spraw sformułowanych, odmierzonych, liczba kombinacji musi być ograniczoną, i powtarzania się typów uniknąć niepodobna.

Czy tragedia p. R. S. jest dziejową? być nią może, odpowiadamy, ponieważ w niej dzieją się rzeczy wysokiej polityki. Gdyby jednak nie wzmianka o Radziejowskim, Michale i para nazwisk rzuconych nawiasowo, gdyby nie narkotyczny proszek, zażywany co chwila przez jednego z dostojników, można by dramat odnieść do

tęj aorystowej epoki, w jaką nas prowadzi Kalderon np. w dramacie: „Życie jest snem.“

Jak u Kalderona zamiast Bazylusza, króla polskiego i jego syna Zygmunta, albo Astolfa księżęcia Moskwy, siostrzeńca królewskiego i t. d., tak „w Julianie“ zamiast prymasa, ojca Ignacego, możnaby postawić typ nr. 1, nr. 2 i t. p. W każdym razie o tle krajowém mowy tu być nie może; czego najlepszym dowodem będzie streszczenie przedmiotu.

Książę Julian, królewicz, ośmnastoletni młodzieniec, energiczny, marzący o podniesieniu ludu, nie przypada do smaku Kamarylli, otaczającej tron ojca. Niechętni członkowie rady państwa oskarżają go przed ojcem o zgubne zasady, grożące upadkiem świętej budowy. A ponieważ to mniemane spaczenie ducha w przyszłym władcy, przypisywano K. Wincentemu, opiekunowi Juliana; więc wymagają na królu usunięcie przewodnika, przez wystanie go z missyą zagranicę.

Julian przechodzi pod kierunek wyżej nadmienionej Kamarylli. Ponieważ jednak uczeń nie daje rękojmi, odpowiadającej jęj widokom a hetman dodany do kierownictwa, jako wódz i dzielny żołnierz, nie popiera tajemnych planów „pozbycia się przeciwnika“ członkowie uciekają się do nowęj sprężyny. Aby utorować drogę do następstwa Zbigniewowi, księżęciu krwi, który ureczyście zobowiązał się być ich narzędziem, jeżeli uzyska koronę, odkrywają przed królem straszną tajemnicę.

Dowodzą oni, jakoby niezbitemi faktami, że niegdyś prawdziwy królewicz urodzonym był nieżywym, że oszczędzając rozpaczy matce i ojcu, na miejsce nieżywego dziecięcia, podłożono syna mieszcanki. Król z początku rażony tém odkryciem, jak gromem, zachwiał się, ale wnet przemawia w nim instynkt krwi, staje przed obrazem (już nieżyjącej) małżonki, błaga, aby z po za grobu wyrzekła słowo zagadki; stanowczo otucha wstępuje w jego serce, badania sądowe, a wreszcie i zeznanie mieszcanki odkrywają intrygę opiekuna. Julian wracający z posłannictwa, składa naocznie resztę nici fatalnego wątku. Wojewodzina Malborska, która w intrydze ważną odgrywała rolę, osadzona w więzieniu, obwiesza się, winni z kolei zostają zamknęci „in fundo.“ Książę Zbigniew nie zapiera się, iż chciał zostać następcą i wyrzucić władzę „z rąk Juliana Apostaty“ i przebija się z dobrze nam znanym wykrzykiem „Julianie zwyciężyłeś.“

Oto główny wątek dramatu.

Mieliśmy więc wszelką słuszność, utrzymując, że autor nie mógł tu się odnosić do tła miejscowego. Pomijamy już egzamin dojrzałości przyczajonego adepta, w którym, jakkolwiek w oprawie ironicznej, wygłaszane są rzeczy niezgodne z duchem dziejów narodu; pomijamy mnóstwo rysów, które, gdyby je stosować do miejsca, zakrawałyby na grube anachronizmy psychologiczne, dziejowe i społeczne. Ależ sam krzyk łabędzi Zbigniewa, „oskarżanie Opatrzności

o zdradę“ jako dyssonans zbyt Hugo'ski, pokazuje, że tu jesteśmy nie u siebie.

Intrygę *podłożenia* dziecka mieszczańskiego, uważamy za sprężynę zbyt spóźnioną; zamiast nurtować zwolna a nieubłaganie, robi ona raczej wrażenie miny: prawdziwy to *deus ex machina*, który nie rozwiązuje, lecz gwałtownie wysadza sytuację. Zresztą jakże ona jaskrawo przypomina „List żelazny.“

Przedśmiertna apostrofa, niegdyś Juliana Apostaty rzymskiego, do Galilejczyka nie zdaje nam się być tu stosowną, „*Tandem vicisti Galilee!*“ mógł powiedzieć niegdyś Julianus rzymski, gdyż on prawdziwie walczył z potęgami Chrystusa, orężem i ironią. Jeden z kapłanów, zapytany cynicznie przez niego, co w tej chwili porabia cięśla Nazareński, odpowiedział mu: „właśnie w tej chwili wyciosał trumnę dla Juliana.“

Czyliż więc słowa broniącego się z całą powagą klassyczną na wyłomie starego świata, słowa szatana Miltonowskiego, miał prawo powtórzyć tuzinkowy hipokryta, karzełek skazujący siebie i wszechbudowę państwa na pośmiech i igraszkę?

Zbigniew w summie wszystkich swoich rysów, jak tu go widzimy od początku do końca, jest osobą niemożliwą.

Z typów ujemnych najpomyślniej udał się autorowi O. Ignacy: jakkolwiek jest to typ z innej szerokości geograficznej; kiedy knowania zostały odkryte, na zapytanie króla: „Co masz powiedzieć na swoją obronę“ odpowiada: „tu nic“....

Streszczając ogólnie nasze wrażenia, wynurzyć musimy szczerzy żal, iż autor przy niezaprzeczonej zdolnościach dramatycznych, znajomości serca ludzkiego, przemawiający językiem typowym, pięknym i poprawnym, w wyborze przedmiotu nie zwraca się ku bardziej dodatnym sferom, z których wieje miłość i ciepło, nie zaduch lub pomroka.

Stosunek mego „Zarysu dziejów literatury polskiej“ do badań i pomysłów dra. Antoniego Małeckiego. Rzecz z powodu artykułu „Tygodnia“ w osobistej obronie napisana przez Adama Kuliczkowskiego. We Lwowie, nakładem Karola Wilda 1875. (w 8-ce str. 32).

Pismo czasowe „Tydzień“ wystąpiło w jednym ze swych numerów r. b. z ciężkim zarzutem przeciwko autorowi *Zarysu dziejów literatury polskiej*, że jest plagiatorem.

„Dr. Antoni Małeczki (mówi ten artykuł) przez ciąg lat kilkunastu, wykładał historję literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim. Między słuchaczami p. Małeckiego zasiadał *niejaki* p. Adam

Kulickowski, który, spisawszy prelekcye swego profesora, zabrawszy mu cały system i podział na epoki, rzeczy najważniejsze i zupełnie oryginalne, wydał potem wszystko w skróceniu pod własnym nazwiskiem, jako własną pracę.“

Sam ton tego zarzutu jest dostatecznym, że pióro, które je kreśliło, kierowane było jedynie niechęcią. P. A. Kulickowski odwołuje się do swojej przedmowy na początku pomienionego dzieła pomieszczonej, w której napisał:

„Podział historii literatury na epoki i okresy stawiał zrazu pewne trudności, z przekonania nie mogłem pójść za żadnym, ile ich mamy w podręcznych książkach i obszerniejszych historiach; kusić się o nieudatę próby nie chciałem. Jedyne właściwe zapatrywanie się w tej kwestyi polega na różnicy kolejno w piśmiennictwie naszym zmieniających się światodziejowych idei. Po głębokich badaniach, wypowiedział je u nas pierwszy Dr. Małcki, najszanowniejszy mój profesor, a że takowe znane już jest i szerszej publiczności, więc wypadło je przyjąć i zastosować w niniejszej książce.“ Słowa te (na str. VII) najlepszą są odpowiedzią na nierozważny zarzut uczyniony.

Dzieło A. Kulickowskiego wychodziło zeszytami: część pierwsza obejmująca okres od najdawniejszych czasów do końca XVIII wieku wyszła w r. 1869; druga doprowadzona do ostatnich czasów ukazała się dopiero w roku 1872, obiedwie opatrzył autor przedmową i w każdej powyżej przytoczone słowa przywodzi.

Pismo nasze o samem dziele p. A. Kulickowskiego już obszerniejsze sprawozdanie dał. Teraz skoro ukończone wyszło z pod prasy drukarskiej; my tu tylko wspominamy o broszurze, która ma z niem związek.

R.

Witte Jan. Przyczynki wyjaśniające Kanta. (Beitraege zum Verständniss Kant's. 1875. Meklemburg. IX, 106).

Jestto jedna z ważniejszych prac, wywołanych ogólnym dziś zwrotem do studyów nad Kantem. Autor (i to stanowi główną zaletę jego pisma) założył sobie wysledzić, co Kant zrobił dla filozofii moralnej w Krytyce czystego rozumu. Zdaniem autora, Kant zdobył formalną zasadę moralności, ale sferę filozofii moralnej zamknął w zbyt zacieśnionych ramach, dając jedynie *etykę obowiązku*. Należy się nam dla wypełnienia całokształtu: teoria cnoty i dobra.

— *Fr. Körner. Instynkt i wolna wola* (Instinkt und freier Wille), przyczynek do psychologii ludzkiej i zwierzęcej. Lipsk 1875 rok (stronnic 209).

Rękawica rzucona ateizmowi i materyalizmowi; autor bierze pod swoje pióro dogmat idealistyczny. Pomiedzy światem ludzkim a zwierzęcym Körner dostrzega coś więcej, jak różnicę ilościową. Barwa to arcy-piękna dla umysłów tradycyjnego autoramentu. Rozumowanie prowadzone jest sumiennie, autor wypowiedział wszystko,

co tylko mógł w obronie *domu swojego*. Psychologia ludzka, w obec zwierzęcej, stanowi najważniejszy dział tej pracy.

— *Konrad Hermann. Mowoznawstwo w związku z logiką, rozwojem ducha i filozofią* (Sprachwissenschaft nach ihrem Zusammenhange mit Logik, menschlicher Geistesbildung und Philosophie). Lipsk, 1875.

Właściwym twórcą kierunku filozoficznego w mowoznawstwie jest Bekker (Organizm mowy). Na przedłużeniu tej linii i Hermann buduje teorię mowy ludzkiej. Podnosząc głównie myśl, jako prawdziwą i najistotniejszą sprężynę w kształtowaniu się mowy, Hermann stara się ograniczyć nieco wygórowaną powagę glottologii. Hermann dał się już poznać z ważnych prac w tej dziedzinie. Tu należą jego: „Gramatyka filozoficzna,” „Problemat mowy i jego rozwój w historii.”

— *Jul. Grill. Praojcowie rodu ludzkiego* (Erz-väter der Menschheit). Dział pierwszy pod specjalnym tytułem: *Pierwsi ludzie*, (die ersten Menschen). Lipsk, 1875.

Obszerne dzieło Grilla (362 stronice w 8-ce) dokonało wyłomu w dotychczasowém ugrupowaniu wielkich rodzin językowych. Już poprzednio autor starał się dowieść jedności źródła w pierwsiach semityckich z indo-europejskimi. (Ueber das Verhältniss der indo-germanischen und semitischen Sprachwurzeln). W dalszym ciągu (w obecném dziele) stosuje on swoją hipotezę do hebrajczyków. Zdaniem jego hebrajczycy stanowią gałąź (nie symityckiego, lecz) aryjskiego szczepu. Na ten raz Grill czerpie dowody z pierwotnych dziejów Starego Testamentu. Zdaniem autora, jest ona przeniesionym w sferę historii „mitem indo-germańskim,” tylko przekształconym.

Autor domyśla się i wpływu *Wedy*. W imionach pierwotnej historii Izraela, Grill słyszy tętno sanskryckie. Nie obeszło się naturalnie bez pewnych naciągów, jakie się zwykły dokonywać na tak zwaną „materyj pierwszój” słowa ludzkiego. Starożytny „Aaron” ma to być podług mniemania Grilla sanskryckie *Atharwan* (kapłan), *Adam* ma to być zhebraizowany *Athama* (*ath*, t. j. słońce); *Ewa* utworzona z zebra adamowego, oznacza ziemię, w powikłaniu z pojęciem księżycy. Naturalnie że tylko w czasie spania *Adama* (słońca) mogło się wydzielić zebro (sierp, pół-księżyc), to jest *Ewa-księżyc!*

To co autor w egzaltacji etymologicznej mówi o pochodzeniu imienia *Jehoszua*, nawet powtórzyłby się nie dało. Pomimo to, dzieło Grilla, po przycięciu nieco skrzydełek hipotezie, powziętój z góry, zastępuje na wysokie uznanie w swoim zakresie.

— *Biblioteka Szekspirowska*. (Shakespeare's Library). Pod tym tytułem wyszedł w drugim już wydaniu „zbiór dramatów, romansów, poematów i powiastek,” które weszły w skład utworów Szekspira. Jest to ciekawy materiał, rzucający światło nie na jedną stronę wzrostu i wyrobienia się tej twórczej potęgi, która stworzyła scenę nowożytną.

— *Fryderyk Drew. Kraje Kaszmiru i Dzummu* (The Jummoo and Kashmir Territories). 1875.

Nadzwyczaj ciekawy i nauczający opis pięknej krainy, którą powszechnie uważano za kolebkę naszego rodu. Autor z położenia swojego miał sposobność przyjrzeć się z blizka charakterowi geologicznemu kotliny zamkniętej górami, zbadał naocznie typowe cechy, zwyczaje, obyczaje, zajęcia i przesady ludowe; opisał ich religią, sztukę, a w końcu dzieła umieścił gramatykę języka *Dogri*. Przytém sporządził mapę dokładniejszą nad to wszystko, co dotąd w tym przedmiocie zrobiono. Nietylko jednak pod względem naukowym dzieło p. Drew ma wysokie znaczenie; miłośnik literatury podróżniczej czytać je będzie z zapałem. Mamy tu mnóstwo jaskrawych obrazów, malujących charakter i stopień cywilizacji. Autor np. z całą zgrozą dramatyczną przedstawił nam dwa krwawe jej rysy: palenie wdów po śmierci męża i *zwyczajowe*, rozmyślnie dzieciobójstwo!

— *W. D. Whitney. Życie i wzrost mowy* (The life and growth of Language).

Jestto filozoficzne ogarnięcie istoty mowy, w duchu filozofii angielskiej, nie przesadzającej dedukcją, ale za to uchwycającej prawdziwą charakterystykę przedmiotu. Język, zdaniem profesora Whitney'a, co do istoty swojej nie może być trafniej scharakteryzowany, jak przez wyraz „Instytucya.” „Jestto warsztat, na którym dana grupa społeczna, każde ciało publiczne (community) wytwarza swoją kulturę. Charakterystykę rassową ludy udzielają sobie drogą krwi; ale nabytki rassowe, język, tak jak religią i naukę, udzielają się drogą wzajemnej wymiany.” Mowa przytém jest bezwarunkowym aktem woli: autor usuwa z mowoznawstwa psychologią i fizyologią; istota i rozwój języka jest natury czysto-historycznej.

— *J. Bruce i David Masson. Zajście hrabiego Manchester z Kromwalem*, (The Quarrel between the Earl of Manchester and OliverCromwell).

Zadaniem tego ważnego pisma jest rzucenie światła, na podstawie nie ogłoszonych dotąd źródeł, na fakt niedostrzeżony albo obojętnie pomijany przez dziejopisarzy, który jednak przyspieszył wybuch wśród wojny domowej, a następnie ogłoszenie Samorządu (Commonwealth). Tym faktem jest, postawiony energicznie przez Kromwela w parlamencie, akt oskarżenia przeciw hrabiemu Manchester, jako „tehórzowi moralnemu“ wyłamującemu się z pod kontroli parlamentu, i widocznie osłaniającemu króla przed pociskami najzaciewniejszych sług parlamentu. Zawiązała się tedy gorąca sprzeczka w izbie; sprzeczkę uciszono, ale cel został dopięty: Kromwelowi oddano dowództwo. Rubikon przestąpiono.

Dzieło Bruce'a (Masson dopełnił je i wydał) ma znakomitą wartość.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Październik 1875 r. — Ruch wydawniczy się wzmagają. Od Nowego Roku przybyć mają dwa nowe czasopisma: *Atheneum*, przypominające dawne J. I. Kraszewskiego, w zeszytach miesięcznych i *Biesiada literacka*, pismo tygodniowe ilustrowane. — W Lublinie, oprócz miejscowego Kuryera od 1 stycznia 1876 r. zacznie wychodzić pod redakcją Leona Zaleskiego: „*Gazeta Lubelska* pismo Rolniczo-przemysłowo-handlowe i literackie.“ Prospekt ogłoszony drukiem obejmuje obszerne ramy. Wychodzić ma trzy razy na tydzień. — W Płocku pod redakcją Józefa Dunkla gazeta pod napisem *Korrespondent Płocki*. — Przy *Gazecie Wielk.* ogłoszona została prenumerata na *Bajki Jana Lafontaine'a* z rysunkami Gustawa Doré'go. Tłumacz nie podany z nazwiska: zdaje się że i dawne przekłady z przeszłego i obecnego stulecia będą użyte, z koniecznymi poprawkami.

— Redakcja znanego powszechnie czasopisma *Revue des deux mondes*, prosiła J. I. Kraszewskiego o upoważnienie na przekład i pomieszczenie w swém piśmie, trzech jego powieści historycznych z czasów saskich: *Hrabiny Kosel*, i *Brüh'a*, któreśmy już drukowali w *Bibliotece Warszawskiej*, a zarazem i *Z wojny siedmioletniej*, którą kończymy dopiero w zeszytach grudniowym z r. b. J. I. Kraszewski już przesłał żądane upoważnienie, i zapewne niedługo przekład *Revue des deux mondes* rozpocznie. Utwory te przyozdobią stronnice tego pisma.

— *Ognisko Domowe* pod redakcją Bronisława Przyrembla wychodzące, a odznaczające się zaciętą dążnością, z dniem 1 października przeszło na własność Jana Noskowskiego współwydawcy *Gazety Wielk.* i przy nióm po niższej cenie ogłoszoną została prenumerata na powyżej wzmiankowane *Bajki Lafontaine'a*.

— W staranném i ozdobném wydaniu wyszły z pod prassy: 1) *Historja Święta Starego i Nowego Testamentu* w raz z Geografią Palestyny. Ułożył ks. M. Gorzeński. Z trzema drzeworytami i mapką Ziemi Świętej. Warszawa 1875 r. (w 16 ce str. III, 131); przedmiot żywo zajmujący każdego, chcącego iść drogą Bożą, wyłożony jest jasno i pięknym językiem. Dzieło to w kółku domowém jest wielce pożyteczném i niemajął będzie pomocą dla matek polskich, zajmujących się wychowaniem swój dziatwy. 2) *Zasady Gramatyki języka Polskiego ułożył* Ig. Boczyliński. *Składnia (Syntaxis)* (w 16-ce str. 94). 3) *Zasady Gramatyki języka Polskiego*. Ułożył Ig. Boczyliński. *Źródłostów (Etymologia)*. Warszawa (w 16-ce str. 119).

Autor znany dobrze w zawodzie pedagogicznym, oba te dziełka poświęcił młodzieży, dla gruntownego poznania ojczystego języka, korzystając z prac prof. Antoniego Małeckiego i księdza Fr. Ks. Malinowskiego, które się w ostatnim lat dziesiątku ukazały i znakomicie posunęły badania mowy naszej.

— „Pan Tadeusz“ Mickiewicza, w przekładzie p. Mikołaja Berga na język rossyjski, wyszedł z drukarni Warszawskiego Okręgu Naukowego w Warszawie (str. XXXII i 318). Na czele dzieła mieści się następujący wiersz, napisany po polsku przez tłumacza w formie dedykacji A. E. Odyńcowi.

„Wśród głuchój samotności, wśród grobowej ciszy,
Gdzie braknie nam współczucia, mało towarzyszy;
Twoje li tylko serce wieszczą dobrze słyszy.
Ty li tylko podajesz mi rękę zbawienia,
Unosisz mnie do góry, udzielasz natchnienia
I poisz mnie napojem niebieskiej świątyni;
Oazo z czystém źródłem, wśród suchój pustyni!
Odłamie dawnych wieków, na których ich słońce
Odbiło się na zawsze piękne i błyszczące!
Co nosisz w swoim sercu Mickiewicza czasy,
I Litwę, i jój niebo, i rzeki i lasy;
Przyjm tu w przekładzie bratnim *Pana Tadeusza*,
Dziedzictwo pokrewnego dla nas geniusza;
Przyjm, luby mój Edwardzie, niech twe serce wieszczę
Rozczulą te melodye raz jedyny jeszcze;
Niech wstanie miły szereg znajomych postaci:
Soplicy, Gerwazego, ich krewnych i braci,
I Niemen twój zaszumi z puszczą Białowięzy;
Niech przyśni ci się jeszcze... czemu serce wierzy.
Obadwaj przed uroczym poezyi obrazem,
Ścisnąwszy się za ręce pomarzemy razem;
Wzlecimy w nasze niebo jak złote motyle,
Gdzie czuje się inaczej, gdzie oddychać mile.
Bo wierzaj mi, ostatni Wajdeloto Litwy:
Tam świat zupełnie inny, tam ustają bitwy;
Tam nie ma różnych ludów, różnych ziem i wiary,
Gdzie naszych geniuszów zatknięte sztandary;
Gdzie słońce Apollina nieustannie świeci
I gdzie panują tylko — mocarze poeci!“

— Wyszedł „*Katalog książek polskich* wydanych od r. 1860 do końca 1874 roku.“ (W 8-ce str. 287), Warszawa. Wydanie i nakład spółki księgarzy, 1875.

— J. I. Kraszewski z powodu projektu wzniesienia pomnika dla zgastego *Karola Libelta* w kilku miejscach, słusznie zapytuje

„dlaczegoby zamiast osobnych pomników, nie postawić Libeltowi jeden w Krakowie.“ I radzi wnieść go w pobliżu Kolegium Jagiellońskiego na rozszerzonych w tém miejscu alejach. My się więcęć godzimy z podniesioną już u nas myślą, że najstosowniejszym miejscem nietylko dla Libelta ale i dla Kremera, byłaby katedra na Wawelu. Akademia umiejętności w Krakowie mogłaby obmyśleć środki po temu, ażeby w téj świątyni była ustron artystów, w którejby pamięć przechowano podobnych mężów pióra i zasług jak Kremer i Libelt.

— Nowy przekład *Iliady Homera* z oryginału greckiego rozpoczął *Feliks Jezierski* znany tłumacz *Złotej Legendy* Longfellowa. Przy *Odyssei* L. Siemieńskiego, przekład *Iliady* był wielce pożądany. Próby tego tłumaczenia w następnych zeszytach Biblioteki Warszawskiej podamy.

— Nakładem J. Ungra wyszedł tom XI *Dzieł Zygmunta Kaczkowskiego*: tak całość wydawnictwa ukończoną już została. Z ogłoszonego prospektu dowiadujemy się że taż firma rozpoczyna następne publikacye, które dla prenumeratów Tygodnika Ilustrowanego lub Wędrowca będą w daleko niższej cenie: 1) *Album Malarzy Polskich*. Serya 1-a *Monachium*, pod kierunkiem Józefa Brandta. 2) *Dziela Karola Szajnochy*. 3) *Mikołaj Kopernik* dramat w pięciu aktach przez Wincentego Rapackiego. 4) *Dziwolągi*. Szkice humorystyczne przez Józefa Bliżińskiego z rysunkami Franciszka Kostrzewskiego.

— Nakładem księgarni Stoppelle i Stan wyszła komedia Edwar-da Lubowskiego: *Niedoperze*.

— Dnia 12 października r. b. odbyło się we Lwowie w Zakładzie Ossolińskich doroczne uroczyste posiedzenie. Posiedzenie zajął kilku słowy kurator Zakładu J. E. hr. Kazimierz Krasicki, poczem dr. Stanisław Smolka odczytał sprawozdanie, z którego dowiadujemy się, że zbiory tego znakomitego Zakładu znacznie się wzbogaciły w przeciągu ostatniego roku. Rada miasta Lwowa darowała Zakładowi 130 obrazów i 1660 rycin z zbiorów, zapisanych jój przez majora Kühnla. Pan Ludwik Zaremba Skrzyński, zapisał bibliotece zbiór dzieł treści ekonomiczno politycznej i przeznaczył stale 100 złr. rocznie na uzupełnienie tego ważnego działu księgozbioru; ś. p. ks. Kuźmiński z Wielkich Mostów, zapisał Zakładowi całą swoją bibliotekę. Muzeum otrzymało wiele cennych darów, jak np. szczątki wielce ciekawego *Ikonostasa* z cerkwi wołoskiej we Lwowie, laskę marszałkowską sądów kapturowych, działo żelazne wykopane w Kołomyjskiem, działo szwedzkie od OO. Karmelitów we Lwowie i t. p. Zakład nabył cenny zabytek bibliograficzny: *Postilla catholica* z r. 1573 na własność za 100 złr. Wydawnictwa Zakładu postępują bez przerwy. *Kodex Tyniecki* ma się już na ukończeniu. Liczba gości i osób studyjących w muzeum powiększyła się bardzo znacznie, albowiem o 500. W czytelnicy literackiej pracowało w przeciągu ubiegłego roku 1078 osób, co znaczy w przecięciu dziennie 5. Z czytelnicy dla młodzieży korzystało razem 5532 osób, czyli w przecięciu

dziennie 30. Do domu wypożyczono 132 osobom 2384 tomów. Muzeum zwiedziło 1508 osób, odbywało w nim studia 264: księgozbiór wzrósł znacznie. Inwentarz dzieł unikatów doszedł do liczby wcale okazałej 69,721. Rękopisów posiada Zakład 1966, autografów 2632, dyplomów 727, rycin 21,492, obrazów 615, okazów starożytnej broni 578, innych rzeczy muzealnych 1476. Dochody Zakładu podwyższyły się także, nadwyżka wynosi 4,998 złr. Cały majątek Zakładu Ossolińskich wynosi w papierach 156,435 złr., w nieruchomościach 482,705 złr.

Po odczytaniu sprawozdania wystąpił sędziwy historyk, czcigodny dyrektor Zakładu, August Bielowski, i w treściwej mowie dał wierny obraz całorocznej działalności instytucji, zostającej pod jego kierunkiem, oraz wspomniął pokrótce o wydawnictwach, jakimi zarząd w najbliższym czasie obdarzy publiczność. Mówiąc o rozszerzających się z dniem każdym stosunkach Zakładu, o coraz większej jego użyteczności, osobliwie dla zamiejscowych uczonych doznających w tej mierze jak największych ułatwień, szczególny nacisk położył na solidarność i ścisłe związki, łączące go z najwyższą korporacją naukową w kraju, z krakowską akademią umiejętności, przyczem z wielkim uznaniem wyraził się o wszystkich publikacjach, jakie pod firmą i nakładem akademii wychodzą.

Najszerzej rozwiódł się szanowny mówca nad doprowadzonem temi dniami do końca wydawnictwem kodeksu Tynieckiego, którego pierwszy tom wraz z obszerną przedmową przygotował do druku dr. Wojciech Kętrzyński, drugi zaś dr. Stanisław Smolka. Pan Bielowski szczegółowo opowiedział całą genezę powstania tego szacownego zbioru; wspomniawszy o przewiezieniu do lwowskiej biblioteki uniwersyteckiej resztek archiwum tynieckiego klasztoru, ocalonych wśród burz wojennych, gdzie zamknięte, dla nikogo nie były przystępnymi, mówił o gorliwych zabiegach ś. p. Aleksandra Batowskiego, który ukradkiem wygotowywał odpisy ważniejszych dokumentów, o pożarze z r. 1848, w którym spłonął niemal cały ten zbiór, o nabytcu kopii od brata ś. p. Batowskiego, porównaniu ich z innymi odpisami lub wynalezionymi w części oryginałami, o edycji pierwszego tomu dr. Skrzydyłki, nie odpowiadającej wymaganiom krytyki i ponownem wydaniu tegoż wraz z drugim. Całe dzieło w ciągu nie wielu tygodni znajdzie się w handlu księgarskim i w ręku czytającego ogółu. Następnie zapowiedział mówca, że Zakład poczuwając się do wdzięczności dla szlachetnego swego założyciela, przedsięwziął wydanie ważniejszych pamiątek po dostojnych jego przodkach, jako to podróży i pamiętników, których znalazła się dość znaczna ilość. Szereg tych publikacji rozpocznie w roczniku Zakładu, autobiografia słynnego kanclerza Jerzego Ossolińskiego.

— Otrzymujemy ze Lwowa wiadomość, że znany od lat wielu literat, autor znakomitych monografii Podola Galicyjskiego i Górali Hucutów, Władysław Zawadzki, zakłada we Lwowie księgarnię, po-

łączoną z wydawnictwem. Szereg zamierzonych nakładów rozpoczyna zbiorem pism Dominika Magnuszewskiego, którego najpiękniejsze utwory dramatyczne, jak *Hieronim Radziejowski*, i *Władysław Biały*, oprócz wielu innych, dotąd nieznanne spoczywały w rękopiśmie. Nowy ten zakład otoczony gorącą sympatją sfer literackich miejscowych, pod dobrą wróżbą powstaje, i zdaje się zapowiadać pomyślną przyszłość.

— Wyszedł z druku: „*Kalendarz na rok 1876, kolenda dla gospodyń*”, przez autorkę 365 obiadów. Warszawa 1875 r. (w 8-ce str. 280). Na czele pomieszczoną jest: „*Streszczona teoria gospodarstwa domowego w odczytanie mianym w zakładzie nauk, sztuk i rękodzieł dla kobiet przez L. Ćwierczakiewicz, d. 28 stycznia 1871 r.*”

Równocześnie wyszedł z pod prassy *Kalendarz gospodarski dla kobiet na r. 1876*, ułożony staraniem Red. Przeglądu Tygodniowego. Warszawa 1876, (w 8-ce). Jestto dzieło przeszło dwa razy obszerniejsze ǳod kolendy p. Ćwierczakiewiczowej. Kalendarz ten drugi rok istnienia swego liczy. W dziale literackim mamy trzy życiorysy powieściopisarek polskich wraz z ich portretami: Elizy Orzeszkowej, Waleryi Marrené (Morzkowskićj) i Maryi z Brzezinów Sadowskićj (Zbigniew), zarazem z oceną krytyczną ich utworów.

— Korrespondent *Wieku* z Wiednia pisze: „Dzień 12 września, rocznica wielkopomnego zwycięstwa Sobieskiego, obchodzony corocznie wspólną na Kahlenberg wycieczką przez towarzystwo rzemieślnicze „Siła,” nie przeminął w tym roku bez śladu; owszem, obchodzony był z większą jeszcze niż dawniej uroczystością, gdyż ks. Czerwiński kapelan kolonii naszćj, nadał obchodowi charakter poważny, religijny, przez co podniósł wysoko jego znaczenie. Na szczycie Kahlenbergu, w kościele stojącym na tém samćm miejscu, gdzie w starożytnćj kaplicy Sobieski słuchoł mszy św., odprawił uroczyste nabożeństwo i miał stosowne do okoliczności kazanie, które wszystkich do głćbi wzruszyło. Ten wyższy nastrój ducha, wyniesiony z kościoła, zachowała nasza gromadka i w sali jadalnćj pobliskiego hotelu, gdzieśmy się potćm zgromadzili. Zabierał tutaj głos gospodarz „Siły” a nastćpnie ks. Czerwiński. Po południu, młodzieź rzemieślnicza obojćj pćci odłączyła się, aby pamiątkę bohaterćskiego tańca przodków z pohańcami uświćcić rzeczywistym nowoczesnym tańcem, a starsi udali się na górę Leopolda, zkąd spuściwszy się koleją drutową po prze-rażająco stromćj spadziścioci nad brzeg Dunaju, wrócili parostatkiem do miasta. Przypadek zdarzył, że w tym samym dniu kilku Serbów zwiedzało Kahlenberg. Dowiedziawszy się o przyczynie naszego zebrania, wzięli udział w nabożeństwie i duch panujący w naszćm zgromadzeniu widocznie na nich oddziałał. Słuchali z zajęciem nuczonych przez nas pieśni nabożnych i zapewne niejedną z nich pomyślał, że może w tćj samćj chwili ich spółbracia biją się z tym samym wrogiem, który tu przed dwustu laty tak srogą poniósł klęskę, lub na gruzach jakicćj wioszczyny hercegowińskicćj do Boga zanoszą błaganie.

Miłe nam było to przypadkowe zainteresowanie się obcych przechodniów naszym obchodem historycznym, dodajmyż że w Węgrzech uznano potrzebę bliższego rozpatrzenia się w naszej historii, zwłaszcza co się tyczy stosunków w jakich kraj nasz zostawał niedługo z niemi. Dla zachęcenia do poszukiwań na tém polu a zarazem dla obznajmienia z niemi swego narodu, peszteńska akademia umiejętności wyznaczyła nagrodę w sumie 200 dukatów za napisanie najlepszego dzieła traktującego o tym przedmiocie.

— Drogocenne zabytki starożytności polskich nieuszanowane przez właścicieli w kraju, rozsypały się po całej Europie. Z Kissingen korrespondent donosi, że oprócz pięknego zbioru numizmatów polskich, znalazł róg do prochu, z białej kości przepysznie rzeźbiony, własność króla Zygmunta III. Z jednej strony jest popiersie tego monarchy, z drugiej herby w pośród arabesków: przytém buława z takieżże kości, na której herby pokazują do jakiej narodowości należała. Wreszcie róg myśliwski czyli trąbka równie z białej kości, z herbami i popiersiem króla Augusta II. W około napisy: *Fridericus Augustus Rex Poloniae M. D. L.*, pod spodem 1697. Po bokach wyrzeźbione polowanie z gońcami na dzika i oddzielnie na jelenia.

— Kiedy w roku 1873 obchodziliśmy 19 lutego uroczyste czterechsetną rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika, na scenie krakowskiej w dniu tym przedstawiono dramat „Kopernik, poemat dramatyczny osnuty na tle historycznym, przez Józefa Szujskiego.“ Utwór ten Kronika Rodzinna wydrukowała. Dopiero teraz otrzymujemy egzemplarz oddzielnego wydania, nakładem autora tego poematu, w nader ozdobnej edycji, w kroju ewartkowym, na wyborowym papierze i pięknymi czcionkami drukarni „Czasu.“ (stron. 64).

— Nowy obraz Matejki przedstawiający „Zamordowanie króla Przemysława przez Brandeburczyków“ znajdujący się długo na wystawie w Wiedniu, obecnie jest na wystawie w Krakowie.

— W niedawno wydanym numerze berlińskiego pisma, poświęconego modom „*Der Bazar*,” znajdujemy tłumaczenie udatne poematu Seweryna Goszczyńskiego: *Sobótki*, przez p. Winklewskiego. Szczególniej udał się tłumaczowi ustęp palenia Sobótek. Obok przekładu dodany jest i krótki życiorys Goszczyńskiego.

— W muzeum techniczno-przemysłowem krakowskim od d. 1 października rozpoczęły się lekcye malarstwa, rysunków i drzeworytnictwa dla kobiet. Szkoła zostaje pod opieką i głównem kierownictwem dyrektora szkoły sztuk pięknych Jana Matejki. W pierwszym oddziale, rysunków i malarstwa udziela Hipolit Lipiński, w drugim rysunków Józef Siedlecki, w trzecim Leonia Bierkowska. Drzeworytnictwa udziela Henryk Danielski.

Prelekcye na wydziale sztuk pięknych, jako też na wydziałach historyczno-literackim i nauk przyrodniczych, rozpoczną się w połowie listopada r. b. i trwać będą do maja 1876 r. Jednocześnie roz-

poczną się wykłady na wydziale handlowym dla kobiet, i gospodarczym, jeżeli zbierze się liczba odpowiednia uczennic.

Muzeum to, staraniem i poświęceniem dra. Baranieckiego założone i doprowadzone do najświetniejszego stanu, obecnie wzbogacone zostało przez pana Ludwika Michalskiego, właściciela plantacyi tytoniu na Sumatrze, kartami chińskimi do grania, kupionemi w Singaporze, sztyletem malajskim z Sumatry, nożem zakrzywionym skalpelowym Battawów, niegdyś ludożerców z gór w Deli, oraz tytoniem wyrabianym w Deli, w ostatku żelazkiem do prasowania z Singaporze, znakiem stowarzyszenia chińskiego zwanego „*Kon gasi Guichen*“ (przypominającego związek wolno-mularski) który każdy członek przy sobie nosić powinien.

— Nakładem księgarni H. Friesa w Lipsku wyszedł I tom ważnego dzieła dla historyi Geo-i Etnografii południowych Słowian, p. t.: *Donau Bulgarien und der Balkan, von F. Kanitz*. O tym ze wszechmiar ciekawym narodzie mało co dotychczas pewnego wiadano, gdyż nikt prawie nie zapuszczał się w te odległe strony dla badań naukowych. Niedokładne, pobieżnie tylko skreślone opisy Bułgarii wydali niektórzy podróżni francuzcy. Pierwszy dopiero z Niemców Kanitz, rodem z Austryi, posunął się w głąb Bułgarii i zbadał dokładnie kraj cały. Piętnaście lat z małemi przerwami (od r. 1860 do 1875), objeżdża ten niestrudzony podróżnik naddunajskie prowincye, a po raz siedemnasty już przebył szczyty Bałkanu. Pod względem naukowym przedstawia nam dzieło Kanitza wiele szczegółów historycznych i etnograficznych: najciekawszymi są jednak całkiem nowe odkrycia geograficzne. W podróżach swoich malowniczo i zajmująco opisanych, nie pominął Kanitz żadnej, choćby najmniejszej wioski, i wszystkie swoje spostrzeżenia sumiennie notował; z tego powodu cenna praca jego stanowić będzie podstawę do wszelkich późniejszych badań nad Bułgarią. Wydanie ozdobione piękniemi drzeworytami i mapą Bułgarii, odznacza się wielką starannością. O dziele tém podamy obszerniejszą wiadomość w następnych zeszytach naszego pisma, i obszernie wyciągi, które czytelnika dokładnie poznamy, z tak szacowną pracą.

— *Opisu Katedry Gnieźnieńskiej* przez ks. kanonika Ignacego Polkowskiego, wyszedł zeszyt trzeci i zawiera oprócz pięciu arkuszy tekstu z drzeworytami, starannie fotografowane monumenta: 1) Tomasza Josciusza i Wincentego Oczko kanoników, 2) Wojciecha Baranowskiego arcybiskupa-prymasa † 1615, 3) Wawrzyńca Gembickiego arcybiskupa, † 1624, 4) Andrzeja Olszowskiego arcybiskupa, † 1677, i 5) Michała Radziejowskiego kardynała, † 1706.

— Otrzymujemy z Krakowa następną wiadomość: „Trąba obrzędowa górników wielkich, rodzaj tak zwanych u Niemców *Trinkhörner* lub wilkomów, znana z wystaw w latach 1858 i 1873, liczy się do nader celnych wyrobów złotniczych z XVI wieku. Jestto róg bawoli, okuty srebrnemi obręczami, podtrzymywany przez postać Herkulesa wyrobioną ze srebra. Na skówce wryty rok 1534, orzeł Jagielloń-

ski, wąż Sforcyów, oraz herby Bonarowa i Ogończyk; z czego jasne, że za królowania Zygmunta i Bony, w r. 1534, ową trąbę obrzędową (tegoż samego przeznaczenia co współczesny jój srebrny kurek, strzelców krakowskich) sprawił górnictwu wielickiemu Seweryn Bonar kasztelan sądecki, żupnik, którego żona Kościelecka z domu, Ogończykiem się pieczętowała. Wyrób nader piękny, ozdobny, w stylu odrodzenia. Szczegóły te wyjmujemy z *Przewodnika dla zwiedzających Wieliczkę* (Kraków u J. Wildta 1860), gdzie je umieszczono wedle wiadomości podanej przez profesora Łepkowskiego.

Zabytek ów podziwiano, wielce ceniono, cieszą się nim; więc w licznych reprodukcjach artystycznych upowszechniano jego wizerunek, i tak: pan K. Beyer fotografował róg wielicki w *Albumie krakowskiej wystawy starożytności* (tablica 50), Towarzystwo naukowe krakowskie zyskało (z daru pana K. Rogawskiego) jego geometryczny rysunek, zaś muzeum wileńskie piękną akwarellę; w *Kalendarzu krakowskim* (J. Wildta z roku 1860) dano drzeworyt. Wreszcie gdy zarząd salin posłał ów klejnot górników wielickich na wystawę powszechną, tam zwrócono nań uwagę. W *Mittheilungen*, organie komisji konserwatorskiej wiedeńskiej (Tom XVIII z roku 1873, stronnica 312), ukazał się drzeworyt rogu wielickiego, wykonany wyborne w ksylograficznym zakładzie państwa. To zyskanie szerszej sławy, było dla naszego zabytku nieszczęściem. Niebawnie bowiem, gdy go po skończonój wystawie odesłano z Wiednia do Wieliczki, dzienniki galicyjskie rozniosły zeszłej jesieni, niefortunną wiadomość, że róg zaginął. Spodziewać się należało, że prokuratora zrobi użytek z tych doniesień. Gdy przecież sprawa w milczeniu tonąć się zdawała, sądził professor Łepkowski, że zarówno traktowanie rzeczy z urzędu jako i jawność, są w tym razie konieczne; a zatem (*ex privata diligentia*) udał się do p. Adama Gorczyńskiego konserwatora zabytków pomnikowych (na obwody wadowicki i bocheński) z życzeniem, aby na miejsce pojechał, o fackie zaginięcia tak cennego zabytku się przekonał i uczynił co mu z urzędu zrobić wypada. Dowiadujemy się, że p. Adam Gorczyński jeździł do Wieliczki, gdzie się przekonał, iż róg górników wielickich rzeczywiście został skradziony; o czém przesłał raport do komisji centralnej konserwatorskiej, doradzając, aby oprócz śledztwa, zarządzono nadto obesłanie po zbiorach europejskich wizerunku naszego zabytku. Oczywiście bowiem, że go skradziono nie dla zysku jaki przynieść mogły skówki srebrne, ale w celu sprzedania do zbiorów publicznych zagranicznych, lub zbieraczom prywatnym, którzy się na wystawie wiedeńskiej w wartości owego zabytku rozpatrzyli. Sądzimy więc, że oprócz władz policyjnych i sądowych, oprócz górników i mieszkańców Wieliczki, nadto i podróżnicy nasi zwiedzający zbiory europejskie, przyczynić się mogą do odszukania zaginionego rogu; dlatego sprawę tę poruszamy, a spodziewamy się, że inne krajowe i zagraniczne dzienniki powtórzą także podane przez nas wiadomości. Pisma ilustrowane nasze, mają w niniejszej relacji

wskazane źródła, do upowszechnienia w drzeworytach wizerunku za-
bytku o który chodzi. Dziś ten kierunek poszukiwania jest tém wła-
ściwszy, gdy policyjne śledztwo zaraz po zniknięciu rogu owego na
miejscu zarządzone, dotąd okazało się bezskuteczném.

— Jeszcze na początku roku 1873, professor Łepkowski udał
się był do rady powiatowej sądeckiej, z propozycją aby królowej
Jadwidze, żonie Władysława Łokietka, a matce Kazimierza Wielkie-
go, która w Starym Sączu umarła, i tam pochowaną została, wysta-
wić w tém mieście w klasztorze panien Klarysek nagrobek, ku uczcze-
niu jój pamięci. Projekt ten poparty przez prezesa rady, uskutecz-
niony został staraniem proboszcza z Łącka, który zebrał fundusz na
ten cel potrzebny. Nagrobek ten umieszczony w kościele panien
Klarysek ma taki napis:

†

Królowa Jadwiga
żona Władysława Łokietka
matka Kazimierza W-go
w tym klasztorze r. 1333 przyjęła
sukienkę zakonną.
Tu pochowana r. 1340.

— W Krakowie wyszła broszura dr. Konstantego Hoszowskiego,
senatora b. Rzeczypospolitej Krakowskiej i członka Akademii Umie-
jętności, pod tytułem „Rozbiór krytyczny biografii Erazma Ciołka,
biskupa płockiego i wysłannika do dworów panujących.“ Jest to
krytyczne sprostowanie niektórych błędnych faktów z życia Erazma,
podanych przez ks. Żętowskiego w jego „Katalogu biskupów,“ oraz
innych biografów piszących o tym mężu. Praca ta opiera się na do-
kumentach autentycznych i rzuca światło na czasy i stosunki, w któ-
rych Ciołek żył. W końcu dany jest według „Metryk koronnych“
wywód szlacheckiego pochodzenia Ciołka, w tekście oryginalnym
łacińskim.

— Księgarnia „polska“ we Lwowie rozpoczęła wydawnictwo sze-
regu książeczek technicznych do praktycznego użytku. Polska litera-
tura techniczna, zwłaszcza z ostatnich czasów, jest dosyć uboga;
oprócz dzieł Jarmunda i wybornych przewodników dla cieśli, mular-
zy, garbarzy i giserów, oraz kilku innych (w handlu księgarskim
wyczerpanych), mało co więcej wyszło z druku w tój gałęzi. Nie-
dawno wyszły trzy rozprawki inżyniera Petiona: „O konserwacji
drzewa,“ „O uogniotrwaleniu dachów“ i „O wyrabianiu sztucznych
kamienic,“ mające bardzo praktyczne zastosowanie, zasługujące na jak
najszczerze rozpowszechnienie po gminach, gdyż sposoby poda-
ne są tanie i łatwe, tak, że każdy najuboższy właściciel domku, mo-
że i potrafi zabezpieczyć go od ognia i t. p. Obecnie wyszła z dru-
ku tegoż autora broszura: „O budowie tanich pomieszczeń“ z ryciną
litografowaną. Projekta podawane przez p. Petiona, mogą i powin-

ny znaleźć jak najszersze zastosowanie tak w gospodarstwie wiejskiem, jak i po miastach i miasteczkach. Książeczki te sprzedają się po 30 centów. W dalszym ciągu wyjdzie tegoż autora: „O robotach ziemnych.“ Popularyzowaniem wiadomości technicznych, autor oddaje nie małą usługę społeczeństwu.

— „*Konrad Książę na Mazowszu i zakon niemiecki, napisał dr. August Sokolowski.*“ (Poznań w 12-ce str. 57). Jest to przyczynek nie tylko do biografii Konrada, tak wydatnej postaci XIII stulecia, i pierwszego okresu zasiedlenia się zakonu Krzyżaków, ale dotyczący samychże dziejów księstwa Mazowieckiego, które dopiero po zgonie ostatnich swych książąt ze krwi Piastów, Stanisława i Janusza, wcielone zostało do Korony.

— *Stosunki Kazimierza Sprawiedliwego z Rusią.* Napisał Kazimierz Górski. We Lwowie 1875 r. (8-ce str. 33). Studium to dziejowe, ktytyczne, oparte na pierwotnych źródłach, i prostujące błędy, jakie poprzedni badacze zrobili, przy opisach stosunku Polski do Rusi na początku XIII stulecia. Zajmująca ta praca wykazuje współzawodnictwo z Węgrami, i tych ostatnich przebiegłą politykę, przez którą Ruś zupełnie się w tym okresie, od wpływu Polski usunęła.

— Wiadomo iż przed kilku laty, zaraz po wystawie paryżkiej którą świat cały podziwiał, ciesząc się postępem materyalnym, postępem społeczeństwa, wyszło obszernie dzieło w języku francuzkim pod tytułem: „*La Décadence de l'Europe*“ dowodzące niezbiteimi faktami powszechnego upadku ludzkości we wszystkich objawach prywatnego i publicznego życia. Przed samem zamknięciem wystawy, mury Paryża pokryte były ogromnemi afiszami głoszącemi „Upadek Europy.“ To dzieło zyskało rozgłos we wszystkich krajach. Nie było prawie dziennika, któryby o niem nie wspominał. W wielu pismach pojawiły się jednocześnie szczegółowe rozbiory téj pracy. Druga jéj część, wykazując potrzebę społeczną reformy, jest właściwie mówiąc, *filozofią zastosowaną do polityki*, na zasadach *praw przyrodzonych*, z odwołaniem się do *powagi* Nowego Testamentu, który przez „niezależny“ czyli „*wolny rozum*“ uważany być powinien za „*najlepszy ze wszystkich istniejących dotąd kodeksów.*“

Obecnie autor „Upadku Europy“ (p. Stefan Buszczyński) wydał dwa dzieła rozwijając dalej swój system i stosując go do urządzeń politycznych „*według praw wieczystych,*“ wykazanych w przyrodzonym ustroju społeczeństwa, *statystycznymi cyframi* przedstawiającemi ludność Europy i rzeczywiste jéj składowe części pod względem etnograficznym. Jedno z tych dzieł wyszło w języku francuzkim u *Le Chevalier* w Paryżu pod napisem *Le Catéchisme social* (Społeczny katechizm); drugie po niemieku w Lipsku u *Kasprowieza* (Brockhaus'sche Buchhandlung) pod tytułem: *Die Wunden Europas* (Rany Europy): statystyczne tablice z tekstem noszącym nazwę *Analepsis.*

Autor wbrew teorii J. J. Rousseau dowodzi, iż społeczeństwo nie jest wynikiem *umowy*, nie jest „*contrat social,*“ lecz ustrojem przyro-

dzonym. Punktem wyjścia jego filozoficznych rozumowań jest *wolna wola*, podstawą praktycznego zastosowania *prawa przyrodzone*. Uznawszy je zgodnie z zasadami Montesquieu'go znanymi z jego dzieła „*L'esprit des lois*,” nadaje im kształt żywy w urządzeniu narodów, zakreślonym ręką natury. Dwa te dzieła będące uzupełnieniem jednego i tegoż systemu, nawzajem się też dopełniają.

— „Orel“ pismo słowackie wydrukowało w przekładzie z polskiego: „Filozoficzny pogląd na historję świata“ B. Trentowskiego, wyjęty z jego „Chowanny.“ Przekładu dokonał Paweł Heczko, jeden z lepszych pisarzy słowackich. Pismo „Orel“ wychodzi raz na miesiąc już rok szósty, w stolicy Słowaczyny węgierskiej St.-Martin. Redaktorem jego jest Jędrzej Fruchta-Sytniański.

— *Slavonic Fairy Tales, collected and translated from the Russian, Polish, Servian and Bohemian. By John T. Naaké, of the British Museum With 4 illustrations. (London 1874 r.)*—to jest *Klechdy Słowiańskie*, przełożył z czterech języków słowiańskich Jan Bogumił Naaké, urzędnik Muzeum Brytańskiego (Adjunkt Biblioteki oddziału słowiańskiego), który już przed kilkoma laty zamieszczał różne klechdy słowiańskie w czasopiśmie „*Good Things for the young of all ages*“ (Dobre rzeczy dla dzieci różnego wieku). Powyższy zbiór odznacza się bardzo wiernym przekładem, pomimo trudności, jakie tłumacz spotykać musiał przekładając te starodawne utwory narodów słowiańskich na język narodu, tak wielce różniącego się od nich swemi pojęciami. W przedmowie tłumacz powiada, iż przedstawia czytelnikom angielskim małą wiązanekę dziko rosnących kwiatów, uszczkniętych nie dla naukowego interesu, jakkolwiek i ten posiadają, lecz dla ich świeżego zapachu. Klechdy czeskie, powiada dalej, mają w swęj oryginalnej formie więćej wykończenia niż inne. Polskie malują biernie cnoty i gorącą miłość wieśniaków, których życie przedstawiają. Wielka prostota i naiwność cechuje klechdy ruskie. Serbskie są jedyne w swoim rodzaju, i pod pewnym względem, możnaby powiedzieć, najbardziej zajmujące. Bujna wyobraźnia narodu serbskiego przejawia się w całej pełni w tych pięknych utworach, które obudziły podziwienie nawet Goethego.

Tłumacz, jak sam mówi, nie ma pretensyi do zasług z powodu przełożenia na język angielski tych klechd. Materiału dostarczyli mu K. Wł. Wójcicki, M. Maksimowicz, Bronicyń, Chudziński, J. Erben, Milszcizek, Radostowa, Tyl, i W. S. Karadzicz.

Pierwszorządne czasopisma angielskie wyrażają się bardzo pochlebnie o tęg pracy p. Naakego, zaznaczając że przekład dokonany jest bardzo dobrą angielszczyzną. Między innymi „Standard“ powiada: „Jestto najstaranniejszy wybór.... Klechdy te noszą na sobie oryginalne narodowe piętno, i nietylko przez dzieci, ale i przez wielu innych z przyjemnością czytane być mogą. Dzieci szczególniej jednak z zajęciem i ciekawością otwierać będą kartki tęg pięknej książki“.... Inny poważny organ naukowy „Academy“ tak się wyraża:

„Czytelnicy angielscy mają obecnie sposobność obznajmić się z jedenastu polskimi klechdami, ośmiu czeskiemi, tyluż ruskiemi, i trzy-nastu serbskiemi, w skromnym lecz bardzo pożytecznym zbiorze... Są one w ogóle bardzo dobrze dobrane, a przełożone z dokładnością, zasługującą na serdeczne podziękowanie tłumaczowi... Mówiąc o tój pięknej książeczce, musimy nadmienić, że autor w zupełności zadosyć uczynił swój obietnicy.”

— Kości Zyzki, bohatera hussyckiego, zmarłego w r. 1424 i pochowanego w kościele farnym miasta Czasławia w Czechach, przypadkowo znaleziono niedawno wraz z innemi przy restauracji rzezonego kościoła. Trudno jednakże z pewnością oznaczyć, która z wydobytych trumien zawiera właśnie śmiertelne szczątki zwycięzcy z pod Kutnej-Hory i rycerza sztandaru Jagiełłowego z pod Grunwaldu i Tanuenbergu.

— Professor geologii Szabo, Węgier rodem, wydał niedawno opis księstwa serbskiego. Mały ten kraj, stanowiący rdzeń południowych Słowian, liczy między 1,400,000 swych mieszkańców, blisko czwartą część nie należącą do serbskiej narodowości. Do tych zaliczają około 100,000 Bułgarów: są to pracownicy i oszczędni ludzie i nie mieszają się z Serbami. Charakterystyczną jest ta okoliczność, że rząd wywierając na nich nacisk nie pozwala im używać w szkołach swego, lecz serbskiego języka. Rumuni liczą 175,000 głów, a razem z Cyncyrami czyli Kucy-Włochami 200,000. Zarówno jak Bułgarzy zamieszkują wschodnią Serbię, zawsze w ścisłych massach obok siebie; zachowują stale swoją narodowość i mowę, a mają wiele kościołów i szkół. Także i tutaj wywierają Serbowie ostry przymus, gdyż nauka musi być udzielaną w języku serbskim, a dzieciom zabroniono pod karą mówienia po rumuńsku. Nauczycielami, popami i urzędnikami, są tam Serbowie, którzy ani słowa po rumuńsku nie rozumieją. Mimo tego wszystkiego nie dadzą się Rumuni zserbić, przeciwnie rumunizuje się wielu Serbów. Następnie Cyncary, w liczbie około 25,000, zatrudniają się przeważnie rzemiosłami i handlem, i uważani są prawie tak samo jak u nas żydzi. Żydów jest tylko 1,500: ograniczeni są na sam Białogród, gdyż niewolno im nigdzie zresztą w kraju ani osiaść, ani też handlem się zatrudniać. Pochodzą oni z dawnych czasów z Hiszpanii, a rzecz dziwna, że i dziś niektórzy z nich mówią jeszcze po hiszpańsku. Reszta ludności, około 10,000 obcych, przypada przeważnie na poddanych państwa austriackiego.



Dnia 27 września r. b. zmarła w 77 roku życia *Karolina* *z Potockich Nakwaska*, znana autorka *Dworu Wiejskiego* (Poznań 1843—1844, w trzech tomach), *Powieści dla dzieci* (trzy tomy, Lipsk 1846 rok), *Pamiętnika o Adamie Potockim* (Kraków 1862 rok). Wszystkie te prace postawiły zmarłą w rzędzie pierwszych autorek polskich. Była małżonką Henryka Nakwaskiego, a córką Adama hr. Potockiego pułkownika jedenastego pułku jazdy b. Księstwa Warszawskiego.

OD REDAKCYI.

Biblioteka Warszawska, pismo poświęcone naukom, literaturze, sztuce i przemysłowi, rozpoczynając rok trzydziesty piąty swego istnienia, wychodzić będzie jak dotąd i w roku 1876, raz na miesiąc zeszytami, obejmującemi najmnień dziesięć arkuszy druku.

Wobec ożywionego ruchu prassy krajowej i potrzeb społecznych, redakcyja dla nadania odpowiedniego rozwoju swemu organowi, przybrała nowe sily do grona współpracowników, z którymi dążąc stale, jak zawsze za postępem wiedzy, pozostanie wierną zasadom i tradycyom, wpośród których jéj pismo powstało, prowadzoném było i będzie.

Zestawienie przedmiotów zawartych w 136 tomach Biblioteki Warszawskiej z lat 1841—1874. Przez Karola Estrejchera. W Krakowie, w drukarni Leona Paszkowskiego. (W 8-ce str. VII, 319). Na czele redakcyi w treściwym zarysie podaje w tym spisie bibliograficznym, wiadomość o pierwotnym związku swego pisma i pierwszych założycielach, a zarazem o powiększonem gronie współredaktorów aż do roku bieżącego. Wydanie całe odbito w 500 egzemplarzach. Autor tak mozolnego dzieła w przedmowie pisze o swój pracy: „Oddawała mi ona od lat dziesiątka nieustanną przysługę, a widząc jęj praktyczną dogodność, oddałem ją chętnie na użytek redakcyi Biblioteki, wyrażając tém życzliwość moją pismu, które uznaję za stojące na czele wszystkich publikacyi literackich polskich, dzierżące zawsze z godnością pióro dla pożytku oświaty krajowej, najstarsze w dzisiejszj rzeszy pism, a zarazem najchętniejsze w przygarnianiu mężów istotnej pracy i talentu.”

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Cena egzemplarza rs. 1, kop. 50 (złotych 10).

Sprostowanie. Na stronnicy 162 w przypisku wiersz czwarty zamiast: *Jana Kazimierza*, czytać należy *Kazimierza*.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger*.

W drukarni J. Bergera,
w Warszawie przy ulicy Elektoralfj Nr. 14

Дозволено Цензурою.
Варшана, 16 Октября 1875 года.